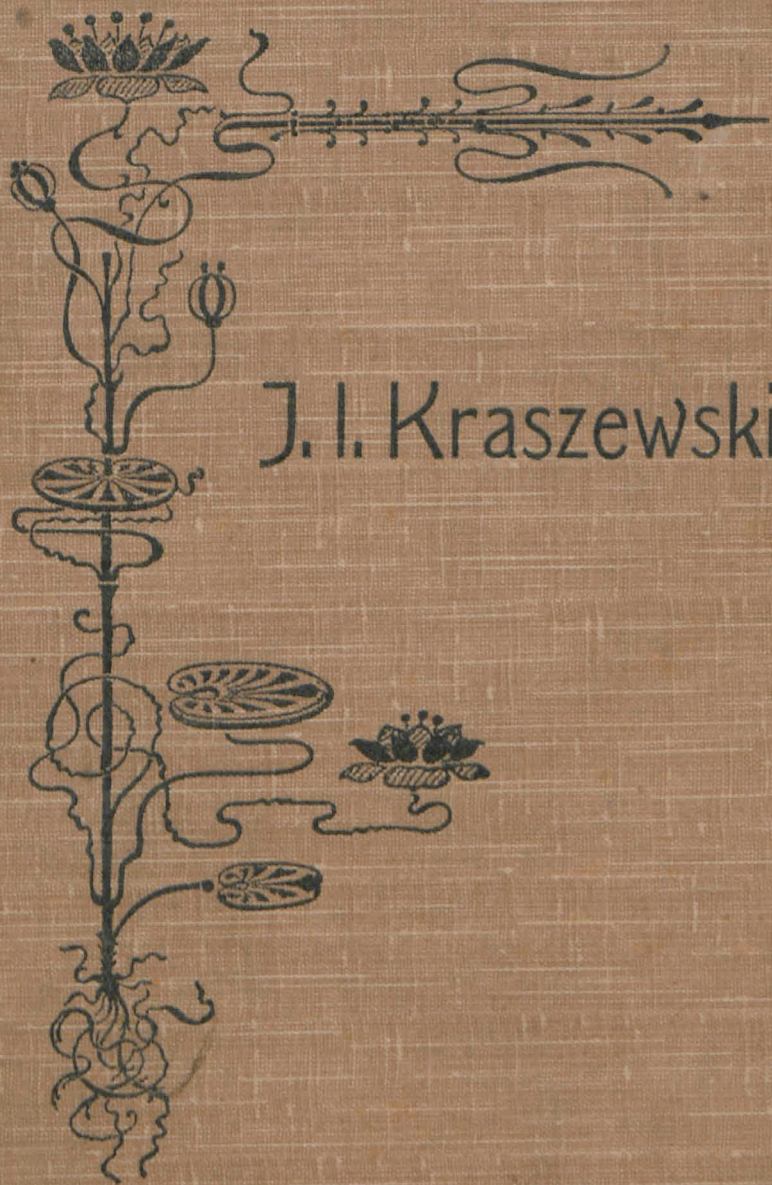




J. I. Kraszewski

BAJBUZA.

BAJBUZA

(CZASY ZYGMUNTA III).

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

Ktawicki

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLUCKSBERGA.

—
1898

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Июня 1898 года.



III/II 308

I.

Upłynęło lat parę.

I w Rzeczypospolitej i w cichem a spokojnem Nadstyrzu zaszły zmiany, które życie sprowadza.

Sama nawet naszej powieści główna postać, pod wpływem czasu i okoliczności uległa pewnemu przeistoczeniu.

Byłci to zawsze ten sam w głębi rotmistrz waleczny, a marzyciel wielki, który się był gotów dla Rzeczypospolitej naprzód, potem dla wszelkiej ludzkiej pocziwej i zacnej sprawy poświęcić, ale doświadczenie, doznane zawody na ludziach, ostudziły go znacznie.

Życie zamknął w ciasniejszych szrankach, mniej już po za swój kąt i ziemię wyglądał na widownię rozleglejszą, nie sądząc się do działania na niej powołanym.

Za to w ciasniejszym tem kółku był on sługą wszystkich, rozjemcą i pomocnikiem, a w spełnieniu tego, dobrowolnie na siebie wziętego obowiązku, nie można go było nawet o chętkę zdobycia jakiejś wziętości posadzić.

Niczego się bowiem nie dobijał, a często dla przekonania szedł wbrew ludziom, narażał się im, ściągał krzyki i nieprzyjazne przeciw sobie objawy.

Patrzano na niego jednak z poszanowaniem, bo wszystkie te zwykłe sprężyny, co pobudzają ludzi do działania—miłość własna, próżność, chęć z bogacenia się, uzyskania władzy i przewagi obce mu były.

Posądzał go niejeden, że się tak świętym czyni przez próżność jakąś, lecz najpilniej badając jego czynności, nie mu zurzucić, cienia na nim znaleźć nikt nie mógł.

Potwarz sływała po nim, jak woda po kamieniach, obmywając a nie nadwężając.

Radzi nieradzi, przyjaciele i niechętni szanować go musieli.

Dwór w Nadstyrzu powoli, nieznacznie się zaludnił.

Przybył naprzód z rotmistrzem, nieodstępny jego, pocziwy, oddany mu cały Szczypior, człek prosty, nie orzeł, ale roztropny, niemający też do orle go polotu najmniejszej chętki, druh i sługa wierny.

Chociaż żołnierz z powołania, dał się skłonić Szczypior, że tymczasowo tu na spoczynek pozostał.

— Ja cię niewolić nie chcę — rzekł mu, gdy przybyli do Nadstyrza, Bajbuza. — Siedź, póki ci tu dobrze, a nie kosztuje ofiary. Zateśkniesz w pole, konie masz, orzeź jest, pachołków ci dam, ruszaj. Tymczasem pilnego jeszcze nie ma nic, a co ty będziesz robił tam na leżach lub na granicy. Zawszeć droga otwarta, tymczasem spoczniij.

Szczypior się na to chętnie zgodził. Lasy dookoła w kluczu i majątnościach Bajbuzy były ogromne, a zwierza pełne, psy miał rotmistrz doskonałe, stajnie były pełne koni. Było się czem i zabawić i czego pilnować. Sam Bajbuza też chętnie od czasu do czasu na łowy ciągnął i w lesie przesiadywał w szałasie.

Sąsiedztwo bliższe i dalsze, gdy się o rotmistrzu dowiedziało, że z wielkiego teatrum, od dworu, od hetmana, z boju pod Byczyną przybywał, ciekawe nowin i człowieka, napływało do Nadstyrza.

Dworzec stary, obszerny, stał gościnnie otworem, choćby największej liczbie przybywających. Przyjeżdżał szlachcie z tem, że miał wieczorem powracać, stawał na noc, a często i tydzień przesiadywał.

Za jednym, który opowiadał co słyszał i widział w Nadstyrzu, płynęli i drudzy ciekawi. Starzy się legitymowali tem, że nieboszczyka znali i jejmość z kniaziów Kurcewiczów, macierz pana rotmistrza, inni mu się przypominali, że na jednej z nim ławie w szkole, choć zdaleka siedzieli. Rad był wszystkim, a nie chciał lub nie mógł po całych dniach siedzieć z nimi, zastępował go Szczypior, zawsze gotów do pustej gawędy i do kubka.

Potem nieznacznie poczęto Bajbuzę pociągać za pośrednika i rozeznać, że spokojnego umysłu i sprawiedliwym był.

Zwaśniła się szlachta, jechał jeden z nich, jak w dym, do Bajbuzy, a rotmistrz chętnie się zgadzał zgodę czynić i od sądów odciągnąć.

Ale kto się nie czuł praw, ten do niego się nie uciekał, bo się przekonano wprędce, że najlepszego przyjaciela potępił, gdy sprawę miał złą.

— Ja cię kocham bardzo — mówił — gotówem wszystko dla waszeczki uczynić, ale sumienia przyjaźni nie sprzedam... Nie masz słuszności za sobą.

Znano go z tego, że nielitościwym był prawdómowcą, lecz nawet, gdy najprzykrzejsze musiał komu czynić wyrzuty, czynił to łagodnie i bez gniewu; starał się błąd wytłumaczyć, winę zmniejszyć, rany łagodzić.

Bywało, że szlachcie obrażony tem, iż za nim nie poszedł, krzyknął.

— Z przyjaźni kwitał

Kłaniał się naówczas Bajbuza i mówił.

— Z Panem Bogiem.

A najczęściej potem ten, co kwitował tak porwecz, wracał nazad i przepraszał.

Wiedzano, że choćby setny raz był obrażony, zawsze się dał przebłagać. Zburczał tylko, bez gniewu.

Samo potem jakoś z tego urosło, że rotmistrz, gdy zasłyszał o bezprawiu, o kłótni, o zgorzeniu jakim, choć go nie wzywano przybywał, aby zwaśnionych jednać i pokój przywrócić. Bywało tak, że mu nadasany przemówił.

— Nie wdawaj się w to, co do ciebie nie należy.

— Jak, nie należy?—odpierał Bajbuza—a to mi się podoba. Szlachtą jesteście, do jednej rozrodzonej należymy rodziny, jakże to może być, abym ja się w tej sprawie nie czuł interesowany? Uczynisz waszeć bezprawie, zakałę przez to nam wszystkim. Jeżeli ja temu zapobiedz mogę, tom powinien. Nie zechcesz mnie słuchać, wola twa, ale ja w sumieniu uczuję się czystym, żem choć ratować próbował.

Drudzy się wysmiewali, gdy im te prawdy głosił i powiadali.

— Na kazalnicę się powinien był sposobić.

Koniec końcem naokół nie było nad niego. Zadrościli mu ci, co się za wziętością ubiegali, lecz drogi nikomu do nieczego nie zagrażał.

Wielu utrzymywało, że w końcu duma jego się odkryje i sięgnie po jakieś dostojęstwa. Wiedzano o tem, że go znał i cenił hetman, że dobrze był ze Stanisł. Zółkiewskim, że jako rycerza i jako człowieka wysoko u dworu położeni szanowali go, że miał mir u królowej wdowy, która, prawdę rzekłszy, dotąd mu pożyczonych pieniędzy nie powróciła, a Bajbuza milczał i nie upominał się. Zdawało się więc wszystkim, że się to skończy na jakiej kasztelanii, starostwie, a bodaj potem wyższem krześle.

Ale o tem tu wcale słyhać nie było, a Szczypior śmiejąc się upewniał, że gdyby mu ofiarowano krzesło, nie przyjąłby go może.

— Będzie-li rzeczpospolita potrzebowała oddziału i ręki dzielnej, wystawi znowu kopijników, da pieniędzy, ale się o zapłatę za to upominać nie będzie.

Ci co tego zrozumieć nawet nie mogli, milczeli głowami potrząsając.

Bajbuza w ogóle na ludzi się nie oglądał, chwalił go, nie nadymał się, ganili, szedł swą drogą, nie oglądając się.

Przekonywano się tak często, iż po sobie słusność miewał i co przepowiedział, to się ziściło, iż potem bieżono do niego po radę i zdanie.

— Cóż to z tego będzie, co czynić mamy?

Ale rotmistrz ostrożnym był, a gdy rzeczy nie pewien się czuł, milczał lub otwarcie zeznawał.

— Czekajcie, nie dojrzało to jeszcze, sądzić nie pora. Ja nie rozumiem.

— No! — mówiła szlachta — jeżeli Bajbuza nie rozumie, to już my się nie mamy co porywać.

Oprócz Szczypiora, który już się tak zasiedział, że nie myślał opuszczać Nadstyrza, choć czasem zdawało mu się, iż tu jest gościem, liczba rezydentów z każdym dniem rosła. Działo się to nieznacznie, niepostrzeżenie, bez żadnej o to umowy. Zjawiał się jakiś biedak, który nie wiedział co ma począć z sobą, często nie sam nawet, ale z dwojgiem czeladzi i z kilku końmi.

Nikt go tu nie znał, on nikogo. Szczypior naprzód gości takich przyjmował, a wiedział, iż nikogo odprawić nie godziło się. Szły więc konie do stajni gościnnych, czeladź do czeladnych izb, wóz pod szopę, a gość dostawał komorę lub choćby łóżko z kim drugim dzieląc izbę. Siadał potem do stołu, opowiadał *curriculum vitae*, słuchano go i pobyt się przeciągał, bo mu tu było jak u Boga za piecem.

W ten sposób dostał się tu naprzód, po powrocie rotmistrza, niejaki Rózek, szlachcic, który przy Holubku był pod Byczyną. Stanowiło to rodzaj pobratymstwa, bo mogli mówić o tym sławnym a oplakany boju, gdy się pierwszy raz pono, od niepamiętnych czasów, krew polska od oręża polskiego polała.

Rożek był rycerz dzielny, miał tego niewątpliwe dowody na całym ciele, bo rzadko tak porąbanego szpetnie widzieć było można człowieka, ale też bezwstydnie kłamał. W uniesieniu czasem takie prawił duby smalone, że ludzie od śmiechu pękali. Pił też i jadł okrutnie, a gęba mu się nie zamykała.

Sam jeden jak palec, odarty dosyć, z trokami za kulbaką starą, na koniu skóra i kości, przybył do Nadstyrza. Kto go tu przysłał? opatrność Boża. Rotmistrz, starego już, kalekę niemal, ubogiego przyjął jak najserdeczniej. Szczypior mu otwarcie powiedział: Siedź sobie póki chcesz, chleba ci nie pożałują, koń się odpasie i ty wydobrzejesz na lepszej strawie, ale zachowaj się spokojnie, burd nie rób, bo on tego nie lubi. Przestrzegam też, jeżeliś po żołniersku nawykł do wiejskich bab się zalecać, że u nas to nie uchodzi.

— Cóż? klasztor?—rozśmiał się Rożek.

— Zwij to tam jak chcesz—odparł Szczypior—ale wiedz, że gdy do Bajbuzy dojdzie skarga, nie masz co ino konia siodłać i ruszać precz.

Rożek nadto głodnym był, a opatrzone go. z rozkazu rotmistrza, przez szatnego tak sownie i konia mu pielęgnowano, że gotów był do wszelkich praw domu się zastosować.

Bajbuzie się nie naprzykrzał. Przychodził do stołu, zabawiał opowiadaniem, śmiano się z niego, a potem szedł spać do gościnnej izby. Tu chociaż zegarka nie miał, czy wytrąbiono na obiad lub wieczrę, czy nie, miał taki instynkt przedziwny, że punkt o godzinie, gdy do stołu siadać było potrzeba, znajdował się już na miejscu.

A że często dla gości przekąski i nie jeden raz podawano, stawał dla towarzystwa, choćby się najczęściej powtarzało, i gotów był przepijać do każdego, ile razy było potrzeba.

W kilka tygodni tak już tu przystał, oswoił się, poznał nawet ze psy podwórzowymi, wszystkich kuch-

tów umiał po imieniu i nazwisku mianować jak gdyby się tu narodził.

Szczypiorowi był wielce dogodny, bo wyręczał w łajaniu, a kłął tak zamaszyscie, dobitnie, iż można było powiedzieć, wykwitnie, coraz z nowymi inwencjami, że i to zabawiało nawet.

Ponieważ do kościoła parafialnego dosyć było daleko, a rotmistrz dbał o to, aby bez Boga nie był on sam i służba, zdawna więc kazał postawić kaplicę przy ogrodzie. Ale czasu tych różnych wypraw, chociaż już była pod dachem, nie dokończono jej wewnątrz i pustowała.

Po powrocie z pod Byczyny, zawinął się rotmistrz i kaplicę nie tylko dokończono wewnątrz, ale we wszystkie aparaty zaopatrzono. Łożył na to po pańsku, nie żałując i mówił: występujemy dla królów, a dla Króla królów byśmy skąpie mieli. Prawda, że on tego nie potrzebuje, bo Jemu lasy hymny śpiewają i rzeki się modlą swym szumem, a świątynią Jego świat cały, ale my biedni ludziska musimy go do kościołów dla siebie wpraszać, bośmy mali i inaczejbyśmy go nie widzieli i nie zrozumieli, a co najgorzej, zapominali o nim.

Gdy kaplica była gotowa, obejrzał się za kapelanem Bajbuza. Chciało mu się zakonnika, ale o tego niełatwo było, musiałby się mieniać, bo za klasztorem zawsze żyć nie mógł. Tymczasem nastęrczył się ksiądz o kulach, dla nóg chorych, biedny, bo mu probostwa dla zdrowia dostać nie było można, a nie miał nikogo, coby mu wyrobił takie, gdzieby wikary za niego obowiązki spełniał.

Ten ksiądz, Jacek Rabski, którego żywot pono był bardzo burzliwy i nieszczęśliwy, jak do portu dopłynął do Nadstyrza. Jeździł tak biedny prawie o żebranie, a choć dobrego rodu, nie wstydził się tego i mówił:

— Pan Bóg mnie tak pokarał... z ręki jego wszystko przyjąć potrzeba.

Jak innych gości, księdzę też uczciwie ugoszczono w Nadstyrzu. Spytał go zaraz rotmistrz, czy mszę świętą odprawiać ma prawo i zdoła. Odpowiedział Rabski, że gdzie tylko kościół po drodze wszędzie nieomieszkiwał, a choć o kulach do ołtarza szedł, przy ołtarzu mógł się bez nich obejść.

Kaplica już była przez biskupa łuckiego poświęcona, nazajutrz proszono Rabskiego o mszę świętą. A że rzadko się ona tu odprawiała, kapliczka była pełna i nabożeństwo się odprawiło jak nie można piękniej. Sam rotmistrz, który ministranturę doskonale pamiętał, służył do mszy ze Szczypiosem.

Rabski przy stole i w rozmowie okazał się kim był, to jest wielce obytym ze światem i ludźmi, świadomym, a nawet czytany człowiekiem. Miał tylko jedną wadę, która później dopiero jawną się stała, temperament tak gwałtowny, że czasem nie umiając się powstrzymać, wybuchał i od zmysłów odchodził.

To to nieszczęśliwe usposobienie i niemoc do panowania nad sobą wszystkich nieszczęść, a nawet choroby księdzę Rabskiego były przyczyną.

Ale w domu rotmistrza, między mężczyznami, mniej to było niebezpiecznem, niż gdziekolwiek indziej. Nie zapraszał go zrazu rotmistrz, ani on może myślał o tem, by tu mógł pozostać, ale Bajbuzę zdjęła litość wielka.

— Co ten nieszczęśliwy z sobą pocnie—mówił w kilka dni potem do Szczypiora.—Gdyby się tylko jako tako chciał zachowywać, a burzy mi nie wzniecał, chętnieby go za kapelana wziął. Niechby choć w niedzielę mszę świętą odprawił, zdrowiejby u nas z tem było. Co myślisz?

Szczypior miał zwyczaj zawsze to myśleć co Bajbuz. Znajdował więc wniosek jego doskonałym.

Postanowiono poczekać, pomyśleć, a księdzę wstrzymywać. Temu zaś tak było dobrze w Nadstyrze, iż panu Bogu dziękował, że choć dni kilka odetchnie.

Natura w księdzu Rabskim była szlachetna, ale krew popsuta i zburzona. Każda niepocziwość go poruszała i gniewała niewypowiedzianie, a gdy się uniósł, rosło stopniowo uniesienie, czasem aż do szału, gdy go chciało powstrzymać.

Bajbuz zmiarkował, że chcąc go mieć znośnym, nie potrzeba było niczem drażnić. On też sam, tyle już wycierpiawszy przez krewkość swoją, zaczynał się poskromiać. Doradził mu ktoś, ażeby, gdy w sobie do porywczoci tej czuje skłonność, póty ust nie otwierał, dopóki Ojciec nasz i Zdrowaśki nie zmówi. Skutkowało to nie źle i Rabski się mitygował.

Raz zaś w usposobieniu łagodnem, człowiek był najmiłszy w świecie, z tem tylko, że ta żółć, którą w sobie nosił, czyniła go zbyt surowym ludzkich spraw sędzią. Sądził bez miłosierdzia.

Po kilku tygodniach pobytu w Nadstyrzu, objął tu Rabski kapelanią, dano mu do tego chłopaka, którego z sobą przywiózł, pomoc dla posługi, dobre mieszkanie, wygody, a nawet wolność przychodzenia lub nie do wspólnego stołu.

Miał oprócz tego książki, ciepły kąpiel, ludzi gdy chciał, nie mogło mu być lepiej. Na obiady, chyba gdy zbyt brzydka pora, nie przychodził, inaczej zawsze się stawiał i *Benedicte* odmawiał.

Naostatek przybłąkał się tu jeszcze niejaki Przygodzki. Ten też niegdyś służył rycersko, potem gospodarzył, wreszcie nowicyat u Bernardynów rozpoczął, wywłókszy się wprędce w mieście osiadł, a nawet handlów kosztował, ale nigdzie nie wytrwał. Utrapiiony był człowiek z tem, że coraz mu nowe myśli i zacheianki przychodziły, zapalał się do nich i nigdzie nie wytrwał. Jakaś się przytem, śpiesznie i śmiesznie mówił, co go czyniło w towarzystwie pociesznym. A że, obudzając śmiechy, nie gniewał się i znosił je, znoszono go. Przygodzkiego tu przez litość przygarnięto, bo już nie wiedział, co czynić z so-

ba i z tem się oświadczał często, iż sobie życie odbierze.

Szczypior dowodził, że i tego nie uczyni, bo nimby węzła zaplątał na stryczek, jużby mu się odechciało, a gdyby się miał topić, toby go woda zimna odstraszyła.

Pomiędzy innemi przymiotami tego nieszczęśliwego było, że na myśliwstwie się znał, szczególnie na wabikach, siłach i różnych kunsztach łowieckich, a również do łowienia ryb był wprawny, czy z sakiem, czy z wędką, czy z niewodem.

Miał w Nadstyrzu robotę, a znudziło mu się w lesie, szedł nad rzekę i tak żył tu jakoś nie wyrwając się dalej.

Po przybyciu do domu, Bajbuza się o księżną dowiadywał razy kilka, ale w majątku o niej nie wiedzieli nic, oprócz, że się spodziewać nie kazala.

Potem nadeszła wiadomość, iż księżna została panią Spytkową i że miała wraz z mężem zjechać do majątności na czas krótki dla obejrzenia jej.

Z powodu tego, gdy mowa była o Spytkach Jordanach w ogóle, a Rabski genealogie wszystkie znał doskonale chwalać się tem nawet, że panu Paprockiemu wiele dawał niegdyś wskazówek, trafił zaraz na tego, który miał być mężem pięknej księżnej Teresy.

Był to człowiek majątkowo bardzo już, jak się wyraził, cienko śpiewający, choć włosów były obszerne. Dzieci przytem z pierwszego małżeństwa miał dorosłe. Sam on zaś, wielki włóczęga, niegdyś po wszystkich dworach europejskich znany, ulubieniec księcia Ferrary, w łaskach u cesarza Rudolfa, znany na francuzkim dworze, miał być, zdaniem ks. Jacka, wielce ujmującym, miłym, światłym, gładkim ze wszęch miar człowiekiem. Nie mu zarzucić nie było można, bo i w sztuce rycerskiej celował, i mówić umiał, i umysłu był bardzo przenikliwego, ale statku w tem nie było. Opowiadano o nim historie różne, jakie

po dworach tych miewał, zawsze zakończone smutnie, a wszystkich ich powodem były kobiety.

— Jeżeli się albo sam już postarzewszy umiarkował, lub go żona młoda potrafi w mierze utrzymać, uspokoić i uczynić sobie wiernym, szczęśliwą z nim być może. Lecz przysłowie powiada: czem się skurupka za młodu napoi, tem na starość cuchnie.

Tego się obawiać należy.

Oczekiwano potem długo na przybycie państwa Spytków do majątności, którą księżna dożywociem trzymała, aż przyjechali nareszcie. Doszła wieść o tem, że dworno bardzo, szumno, świetnie, ludno przybyli i ledwie się pomieścić tam mogli.

Wkrótce potem Spytek sam zjawił się z odwiedzinami w Nadstyrzu, politycznie bardzo dziękując rotmistrzowi za okazywaną niegdy, terażniejszej żonie jego, sąsiedzką życzliwość i opiekę.

To, co Rabski o nim mówił, całkowicie się sprawdziło. Spytek był, acz nie młody, mężczyzna piękny jeszcze bardzo, w obejściu się więcej włocho, niż polski szlachcic, wymowny nie tylko we własnym, ale w pięciu czy sześciu obcych językach, prawdziwy Kortedzianin. Chodził nawet ubrany z włoską lub hiszpańską, twierdząc, iż polski strój i golona głowa niewygodną była.

Podobał się rotmistrzowi, bo się może o to starał, lecz Bajbuza uczuł i otwarcie potem oświadczył, że w tem wszystkim, co tak pięknie mówił, wiary nie miał. Lekko, płochy, a nadto względnie dla drugich odzywał się o wszystkim.

Rzecz oczywista, iż Bajbuzie natychmiast należało odwiedzić tego sąsiada, a rad był księżną zobaczyć. Pojechali więc ze Szczypiosem oba.

Tłómaczył się Spytek, iż będąc gościem sam, przyjmować ich nie mógł jakby pragnął.

Wyszła księżna... Bajbuza ją znalazł smutnie zmienioną, bladą, i choć się siłowała na to, aby szczęśliwą okazała, wszystko mówiło, iż nią nie była.

Mąż okazywał dla niej miłość i względy, jakie może we Włoszech nie razily, wychodząc na okaz, ale w Polsce one dziwnemi się wydawały, bo u nas poszanowanie uczuć człowiekowi najdroższych było takie, że ich przed publiką nie obrażano.

Spytek nie na męża, ale raczej na *cavaliere* starającego się wyglądał. Ona ciągle się rumieniąc, skłopotana, zmięszana przyjmowała te objawy, tak dalece, iż prostoduszny Szczypior mówił potem.

— Chyba on to dla ludzi tylko takim się okazuje czułym, bo ona to przyjmuje jakby się zuchwałemu kłamstwu dziwiła.

Śmiał się z tego Bajbuza, lecz instynkt Szczypiora pono nie zawiódł. Spytek o swych majątnościach, dobrach, dostatkach i zamku starym, mówił też nadto wiele, a ludzie służebni, gdy wracali do Nadstyrza, rozpowiadali, że we dworze wcale dostatków i zamożności widać nie było.

Rotmistrz przykro był uderzony tem, iż na twarzy księżnej Teresy szczęścia, którego się spodziewała, nie wyczytała. Stosunek ze Spytkiem zresztą trwał krótko, bo on tu nie bawił długo. Wypuścił majątność żony dzierżawą, przyczem sobie dokończyć kazał parę tysięcy, i raz jeszcze odwiedzawszy Nadstyrze, nagle potem z żoną zniknął.

Z tego co nowy opowiadał dzierżawca, wnosić było można, że ów pan rozległych włości w tej chwili żądny był grosza bardzo. Ludzie podszeptowali, iż z żoną dosyć się ostro i bezwzględnie obchodził.

Zasmuciło to wielce Bajbuzę, ale miał też wiele innych pod czas powodów do niepokoju i trosk.

Wszystko, co go dochodziło ze stron różnych, jałkoś panowania świetnego i spokojnego nierokowało.

Wprawdzie wiadomości pod owe czasy przychodziły nie zbyt pewne, często zafarbowane przez tych, co je przynosili. Nie drukowano jeszcze dzienników, biegały z rąk do rąk przepisywane korespondencye, a te w głąb kraju przychodziły późno. Szczególniej

przykrem to było Bajbuzie, którego sprawy publiczne nie przestawały obchodzić, choć miał teraz pewien wstręt mięszać się do nich.

Dowiadywał się ze wszech stron i jak najdobitniej, że między królem a Zamojskim rozbrat był stanowczy. Ale, słuchając o nim tu w Nadstyrzu, nie wiedzieć co było myśleć, miał-li słuszność młody król, że hetmanowi się powodować nie dawał, a do Radziwiłłów skłaniał, czy Zamojski, który w imię kraju domagał się tego, czego dać nie chciało?

Zbliżka poznawszy hetmana, Bajbuza za nim ciągnął, ale z drugiej strony, ci, co go o dumę, chęć panowania, o ambicję nienasyconą obwiniali, także nie bez pewnych podstaw zarzuty temu czynili.

Po owej bytności w Rewlu i widzeniu się z ojcem, gdy potrzeba było całej siły biskupa Baranowskiego, aby Zygmunta wstrzymać od opuszczenia Polski, w chwili właśnie, gdy jej wojna z Turkiem zagrażała, miał Zamojski chwalać się z tego czynu biskupa zbureczeń.

— Było go puścić! z Panem Bogiem, niechby sobie do Szwecyi powracał. My nigdy z niego nie zrobimy króla prawdziwie polskiego. Mamy już takie szczęście! Mówi on po polsku, ale myśli po niemiecku, a gdyby nie królowa wdowa, na zamkuby słowa chyba w języku naszym nie posłyszec. Otaczają go szwedzi, niemcy, włosi, hiszpanie, a weneracya dla domu rakuzkiego górą nad wszystkim.

Ten rozbrat pomiędzy królem a hetmanem, gdy coraz się wybitniejszym stawał, coraz głośniejszym, a przywodzono różne fakty, które miały zniechęcić Zamojskiego, między innemi oddanie pieczęci nie temu, którego kanclerz zalecał, a potem usunięcie ode dworu wszystkich, co hetmanowi byli przyjaźni, między innymi i bardzo umiarkowanego Leśniowolskiego, co to króla ze Szwecyi przywoził, dał wielce do myślenia Bajbuzie.

Bajbuza T. II.

Muzeum
JIK
ROMANOWE

2

308

W prawości i prostocie swego ducha nie mógł on pojąć tego, aby mąż tak wielki jak Zamojski, o którym on miał wyobrażenie tak wysokie, dla jakiegokolwiek względów prywatnych, z pobudek miłości własnej, mógł działać.

— Złe być musi z królem, kiedy hetman staje przeciwko niemu i zgodzić z sobą nie mogą!

Chętka go brała niezmienna sięść na koń, ruszyć bodaj wprost do Zamościa, który właśnie się naówczas budował, rozrastał i na jakąś vice-stolicę przerabiał, stanąć przed dawnym wodzem i wprost go spytać.— Wytlómacz mi, dlaczego to czynisz? Nie można-li pojednać was, abyście szli razem zamiast stać jako nieprzyjaciele.

Lecz natychmiast przychodziła mu uwaga, jakim on prawem mógł tak przemawiać do hetmana?

Chodził jednak niespokojny i zachmurzony. Wieści po kraju tymczasem uparcie szerzyły, że król, chociaż do Szwecyi nie odjechał, ciągle z dworem rakuzkim rokował, aby mu odstąpić koronę.

Oburzało to Bajbuzę. Jakimże prawem! Nie była ona dziedziczna? Mógł ją porzucić jak Henryk, ale frymarzyć nie miał najmniejszego prawa. Nie było tak dalece z kim w Nadstyrzu o tem rozprawać, oprócz księdza Rabskiego. Rotmistrz się niepokoił.

Niekiedy sumienie go dręczyło. On tu na wsi sobie spokojnie zażywał wczasu, a kraj tymczasem na łup był oddany prywacie i ludziom, którzy o jego losy nie dbali. Bajbuza byłby chętnie się poświęcił i bodaj ostatni grosz dobył ze skrzyń w lochu stojących, ale w którą się tu obrócić stronę.

Po długich rozmyślach, zastyszawszy, że król znowu w Krakowie gościł z królową wdową i królewną Anną, nie mówiąc nikomu powodów, jakie go skłaniały do podróży, w miejscu swem na gospodarstwie zostawiwszy Szczypiora, z małym pocztem, pod pozorem blabym, pojechał do Krakowa. Istotną pobudką

było, aby na własne się przekonać oczy, co się tam działo.

Wiara w Zamojskiego czyniła go już nieufnym, prawie niechętnym królowi.

Mając ten cel na widoku, Bajbuza naturalnie, nie potrzebował śpieszyć, jechał rozglądając się i rozsluchując, a że ze służby wojskowej znajomości miał liczne, badał każdego, z kim się zetknął.

Ogólne usposobienie w kraju znajdował wszędzie prawie królowi niechętne.

Duchowieństwo tylko sławiło go z pobożności wielkiej, a szczególnie Jezuici wynosili pod niebiosy, bo oni tu największy wpływ mieli. Rotmistrz miał to szczęście z dawnych lat znać ks. Piotra Skargę, o którym mu powiedziano, że królewskim kaznodzieją był назначony, a że z nim niegdyś wielce się był poprzyjaźnił i był jego wielbicielem, cieszył się tem, że od niego prawdy się dowie i na tem, co mu ks. Skarga powie, będzie mógł polegać.

Tymczasem podróż ta powolna do stolicy, w ciągu której go kilka razy dawni towarzysze broni zatrzymywali i odciągali, coraz większym niepokojem i niepewnością umysł jego napępiała.

Narzekano powszechnie, skarżono się, utyskiwano, malkotentów nie mniej było jak za Batorego.

— Może to w naturze naszej jest — rozumował Bajbuza — że my nigdy się tem, co mamy, nie zaspakajamy, a coraz lepszego szukamy.

Może to i dobrem jest, że nam powszedni chleb nie starczy, a na ziemi chciałibyśmy stworzyć *civitate Dei*, ale gdzież do tego królestwa weźmiemy obywateli?

Zdawało mu się chwilami, że warcholskiego ducha należało poskromić, wszakże do tego dążył hetman za Batorego, a tu teraz on sam warcholę poczynął?

Rodziła się tedy wątpliwość w jego umyśle, kto tu miał słuszość? którą drogą iść?

Nim mi się uda zobaczyć hetmana—mówił sobie—spotkam się z ks. Skargą. Ten mi powie prawdę.

Przypominał sobie z przyjemnością te czasy, gdy dawniej widywał, w skromnej celi, wśród ksiąg, gdy umysł znużył pracą, odpoczywającego przy ręcznej robocie i przy żywej rozmowie, razem klejącego pudełeczka, oprawiającego księgi, malującego obrazki dla dzieci, szyjącego nawet, gdy było potrzeba i naprawiającego skromne suknie swoje.

Ta prostota obyczaju przy umyśle wyższym, przy takim darze słowa, że nawet w powszednich stosunkach wywierało ono wrażenie porywające, napełniało Bajbuzę czcią i uwielbieniem dla niego... Mówił myśląc o nim—*Ecce homo!*

Dawniej wyrazy te w zapale stosował do hetmana, teraz już jakoś zwątpił o nim nieco.

Człowiekiem dla niego był, ale tym, o którym mówił rzymski poeta, iż nie ludzkiego obcem mu nie było, nawet słabości.

Bajbuzie się nie podobało to fundowanie wielkości własnej i stolicy przeciw stolicy, akademii przeciw akademii, dworu przeciwko dworowi. Opowiadano mu, że hetman gromadził około siebie możnych, tworzył stronnictwo, zabierał się może na sejmie stanąć przeciwko królowi.

To mu hetmana czyniło mniejszym, słabym, ale go nie potępiał, bo chciał widzieć, słyszeć i przekonać się, czy to, co opowiadano, prawdą było istotnie.

Z głową pełną najsprzeczniejszych poglądów, zdań, rozsiewanych szyderstw i przekasów, sam nie wiedząc w czem prawda była, dobił się Bajbuza do Krakowa.

Pierwszy niemal, z kim się tu spotkał, był poczciwy Kaliński, który we dworze bawiąc, jak gąbka nasiąknął tem, w czem był zanurzony, potrzebował go tylko nieco pocisnąć, aby z niego dobyć co chciał.

Kalina przybiegł uradowany, a humor jego urósł, jeszcze, gdy zaraz na wstępie otrzymał gościnnie, pa-

rę pistoletów kosztownych, jakimi się pochlubić było można.

Ust mu nie potrzeba było otwierać. Przyniesiono wino i przekąski, Kaliński siadł i potoczyły się opowiadania o dworze, o królu, o królownie, o już po cichu obmyślanem małżeństwie, których Bajbuza słuchał z nadzwyczajnem zajęciem. Na pierwsze zapytanie o hetmana, Kaliński ręką zamachnął.

— Nieprzyjaciół nasz jawny jest! — zawołał.

II.

Tegoż wieczora zapytał Bajbuza o ks. Skargę, bo w tem największą ufność pokładał.

Ks. Skarga był w Krakowie na dworze i wyprawą jego zachwycali się tu wszyscy. Widzieć się z nim mógł każdy, chociaż zajęty był bardzo swą polemiką z dyssydentami i innemi pracami, a na świat i między ludzi nie rad wychodził.

— Jużcie mnie starego sługę swojego, gdy zapukam do celi, wpuści.

— Nie wątpię—rzekł Kaliński—ale jeżeli przez niego chcecie co u króla sobie wyrobić, jabym raczej radził do Gołńskiego, spowiednika i doradcy się zwrócić. Ten tu więcej znaczy, niż ks. Skarga, który do świeckich spraw niechętnie się miesza.

Bajbuza śmiać się na głos zaczął.

— A! Kalino ty, Kalino moja! — zawołał—jakże ty mnie nie znasz, gdyś posądzić mógł, że ja do Krakowa przybyłem, aby się o coś starać i coś u króla wyrobić? Człeczcie pocziwy! ale cóż mi król dać może?

Kaliński się zmięszał.

— Gadaj zdrow, wszystko — zawołał.

— Ale ja niczego nie chcę — mówił rotmistrz. — Bogatszy jestem niż król, bo więcej mam niż potrzebuję; o honory i tytuły się nie dobijam, panowania i rozkazywania nie jestem chciwy! Jedno mi może król uczynić dobro, gdy się przekonam, że kraj pokochał i że kraj go nawzajem kocha.

— Ba! ba! — syknął Kaliński — otóż to właśnie psuje nam hetman i przeszkadza do tego.

Królowi stawiają na drodze zawody we wszystkim. Podejrzewają go nieustannie. Wszystko złe co on uczyni.

Odsunąć musiał Leśniowolskiego, o czemeście pewnie słyszeli, bo ten hetman stronę trzymał. Na to miejsce mamy Radziwiłłów, a ci są potęgą nie tylko na Litwie.

Marszałek Albert u króla teraz w estymie wielkiej, dalej idzie jeszcze poufalszy, podkomorzy Bobola, no i podkanclerzy Tarnowski.

— Wszystko ludzie nowi — odparł rotmistrz.

— Starzy zdradzali go — mówił Kaliński. — Hetmana i hetmana mu narzucać chciano, a Zamojski nie przy królu, ale ponad królem stać chciał. Dosyć już i tak, że wielką buławę dzierżąc władzę ma ogromną.

Westchnął, popił Kaliński i głos zniżając dodał:

— Między nami, król się chce żenić z austriaczką i to mu za złe mają.

— Może nie bez powodu — odparł Bajbuza — bo się u nas wszyscy boją i wpływu i zamachów rakuzkich, a nikt tego szlacheie nie wybije z głowy, że król w układy wchodził z arcyksięciem Ernestem o odstąpienie mu korony.

Kaliński zamilkł.

— Ja tam o tem nie wiem — rzekł po namyśle — ale gdyby istotnie tak zrażonym był, toć go raczej trzeba jednać sobie i łagodzić, niż rozjätzać.

Dochodzą tu nieustannie wieści o zjazdach, na

których przeciw królowi mówią zuchwale, a wszystko to z naprawy hetmana.

— A więc z nim już tak źle jest.

— Ośmielił się gwałtownie królowi czynić wymówki za mianowanie podkanclerzem Tarnowskiego, i to tak zuchwale, że go potem przeproszać musiał.

— Ale przeprosił! — dodał Bajbuza.

— Tak jest, ale zgoda taka, to jak szata raz rozdarta, którą choćby najrzęczniejsza szwaczka zszyła, zawsze ślad zostanie.

— Masz słuszość — odparł rotmistrz — ja też nieskończenie ubolewam nad tem, że młody król nieco względniejszym nie był dla tego, który sam mu tron dał, walczył i cierpiał dla niego.

Kaliński się uśmiechnął.

— U nas na dworze powiadają, że on to wszystko nie dla króla przecie czynił, a dla siebie. Rakuszanin ma być groźny.

— Mylisz się, mój Kalino — rzekł Bajbuza — wiem o tem najlepiej, bom z ust Żółkiewskiego słyszał, dawali mu rakuszanie coby ino chciał, aby go sobie pozyskać i starostwa i ziemię i pieniądze i tytuły, ale się nie sprzedał.

— Bo wiedział, że rakuszaninby mu słowa nie strzymał — rzekł Kaliński. — My tu teraz Zamojskiego inaczej sądzimy.

— Słyszę i dziwuję się — odparł Bajbuza — a serce mi się ściska. Król bez niego bezsilnym będzie.

Kaliński głową potrząsnął.

— Myśmy się go powoli obawiać przestali — odparł wesolo.

Takim był rozmowy początek. Nazajutrz Bajbuza spoczywał w gospodzie, a miał ją u kupca w rynku, i Kraków mu się wydawał ożywionym dosyć, ale żywioł w nim niemiecki znowu brał górę. Szczególniej austriaków snuło się mnóstwo, których z włosów i ze strojów poznać łatwo.

Ktokolwiek z dawnych znajomych dowiedział się

o rotmistrzu, który sobie serce ludzkie jednać umiał, przychodził go witać. Każdy też z sobą sam o tem nie wiedząc coś przynosił.

Stanowczo widać było, że tu około króla Zamojski nie miał przyjaciół, sarkano na niego tak jak dawniej na Zborowskich, że niepokój mnożył, wodę mącił, że wszystko chciał zagarnąć.

Bolało to Bajbuze, który w początkach nie mogąc się powstrzymać, stawał w obronie hetmana, ale w końcu jednogłośnie wyrzuty zmusiły go zamilknąć i czekać, dopóki się lepiej nie rozpatrzył..

Zdawało mu się rzeczą niepojętą, ażeby ten mąż, który Batoremu dopomagał tak dzielnie do utrzymania ładu, do poskromienia wybuchów, dzisiaj szedł razem z Kazimierskimi i sam się zaciągnął w szeregi przeciwników króla.

— Nie — mówił w duchu — ludzie są złośliwi, nie rozumieją hetmana, okłamują go, spotwarzają. Ten, który na gardle ukarał Samuela, i zmusił do milczenia sejmowych krzykaczy, niepodobna, ażeby sam postępował teraz jak oni. Młody Zygmunt nie jest przecież tak twardym jak był Batory.

Parę dni spędziwszy na rozmyślach, rotmistrz w końcu przystroił się jak godziło na zamek, i poszedł naprzód pokłonić królowej wdowie.

Tu go wprawdzie przyjęto zaraz, obiecując posłuchanie, ale mógł dostrzedz, że nie był zbyt pożądanym gościem, czego przyczyny nie rozumiał. Przychodził z sercem pełnem poszanowania.

Królowa Anna niedługo kazawszy czekać na siebie, wyszła do niego, widocznie pomieszana, w żałobnych szatach, których nie zrzuciła, zestarzała mocno na twarzy, pochylona nieco, ale zawsze poważna i majestatyczna. Za nią zdala postępowało dwie towarzyski, które nieco opodał pozostały. Trzymała w rękę piękny, kamienny różaniec, który palce jej machinalnie, gorączkowo przebierały.

Uśmiechnęła się zdala Bajbuze i naprzód pozdro-

wiwszy go po włosku, natychmiast poprawiła się i poczęła po polsku mówić do niego.

Rotmistrz składał życzenia i pozdrowił ją, ciesząc się, iż widział spokojną teraz na krakowskim zamku u portu, szczęśliwą.

Królowa westchnęła głęboko.

— A tak—odezwała się—przyplnęliśmy w istocie, lecz port jeszcze nie osiągnięty, szukamy wnijscia. Wiele jeszcze pozostało do czynienia. Mamy utracień podostatkiem i z ojcem króla, i ze szwedami, z własnymi nawet nieprzyjaciółmi, którzy nam pokoju nie dają.

Tu królowa, jakby się już zanadto wymówiła nieostrożnie, zwróciła rozmowę nagle.

— Przychodziecie pewnie, mój rotmistrzu, o swoją należność u mnie się upomnieć. Nie mogłam dotąd jej wam spłacić, przebaczenie.

Bajbuza zaprotestował, bo w istocie teraz dopiero przypomniał sobie dług i postrzegł, że krok jego fałszywie tłumaczonym być może.

— Ale ja wcale nie z tą myślą tu przybyłem. abym się upominał—odezwał się żywiej.—Wiem, że teraz W. Król. Mość masz wiele wydatków jeszcze, a ja czekać mogę.

Rozjaśniła się zaraz twarz królowej i czulszą się stała dla Bajbuzy.

Zbliżyła się ku niemu.

— Możemy wam czem u króla mogła usłużyć—rzekła—wprawdzie zarzucają go prośbami, wyciągają zewsząd ręce, na każdy wakans jest po dziesięciu kandydatów zasłużonych, a każdy potem przysparza nam dziewięciu niechętnych, ale dla was będę się starała.

Zczerwieniał się rotmistrz jak dziewczeczka, tak mu to posadzenie przykro zabrzmiało.

— N. Pani—odparł—Bóg mi świadek, ja o nie nie myślałem i nie myślę prosić, bo mam wszystko czego potrzebuję, a staranie o honory innym przeka-

zuję. Radbym tylko widzieć W. Król. Mość spokojną, szczęśliwą, a króla też w zgodzie ze wszystkimi.

Królowa Anna niedowierzająco słuchała, wpatrując się w niego; sądziła, iż albo on jej, albo ona jego nie rozumiała dobrze.

— Ja — rzekła — bardzo chętnie będę pośredniczką i pomocą wam u króla, powiedzcie mi tylko otwarcie, jeżeli co macie na myśli. Sama nie mogąc, poproszę Radziwiłła, uczyni to dla mnie.

Bajbuza stał zdumiony.

— Najmocniej zaręczam W. Kr. Mości — powtórzył — że wcale o nie prosić nie myślałem. Jest dosyć takich, których datkami jednać potrzeba, niech mnie Bóg uchwata, abym się do nich liczył.

Królowa słuchała z niemniejszym zadziwieniem.

— Niech wam Bóg płaci — rzekła. — Nadejść może lepsze czasy, nie zapomniemy o was.

Spytała go, czy na długo przybył do Krakowa; odpowiedział Bajbuza, iż sam nie wie, ile czasu tu pozostanie i wspomniał, że radby widział hetmana.

— Al tu się go pewno nie doczekacie — odpowiedziała Anna chmurnie. — Wiele miałam z powodu jego do przecierpienia za życia nieboszczyka króla, którego on do surowości skłaniał, a potem winę jej na niego składał; teraz zaś nie mogąc królowi narzucać swych myśli, przeciwko niemu kunuje i nieprzyjaciół mu przyczynia.

— W. Król. Mość przebaczysz mi — odezwał się rotmistrz — iż ja pana hetmana bronić będę. Ludzie go to zapewne takim malują, jakim nie jest. Niepodobna, aby królowi przymnażał trudności, sam go utwierdziwszy na tronie. Osobiste porozumienie łatwoby to wyjaśniło.

— Ale hetman siedzi w swoim Zamościu, a król go szukać nie może — odezwała się królowa i, przypominawszy sobie zapewne w tej chwili Spytkowę, wtrąciła z uśmiechem:

— Sąsiadki waszej, księżnej Sapieżynej, któraście

się opiekowali, nie znajdujecie już przy mnie. Skłoniłam ja do tego, że rękę oddała Spytkowi, który wart był, jak sądzę, jej wyboru.

Bajbuza opowiedział, że widział młode małżeństwo. Po kilku jeszcze słowach obojętnych, królowa wdowa rada temu, iż ani o dług nie naglił, ani o nie prosić nie myślał, bardzo go uprzejmie pożegnała. A że się rzadko trafiło, aby ktoś niczego nie pragnął, dodała przy pożegnaniu.

— Mój rotmistrzu, będzie-li co do rozporządzenia w mocy króla, a dowiecie się zawczasu, piszcie do mnie, pomogę wam, a król pewnie mi nie odmówi.

Bajbuza zmilczał nie chcąc już przedłużać tą treścią mu przykrej rozmowy.

Ztąd wprost poszedł szukać na zamku mieszkającego ks. Skargi, który jako kaznodzieja królewski przy kościele miał pomieszczenie.

OO. Jezuici nie mieli jeszcze w Krakowie podobowcas Collegium, które później z takim przepychem dla nich wzniesione zostało.

Kaznodzieja króla, jako zakonnik i mnich, mieścił się bardzo skromnie w dwóch izdebkach niewielkich, zarzuconych księgami, ale czyściuchnych i wesołych.

Nikt nigdy go nie zastał próżnującym. Jeżeli nie klęczał na modlitwie, czytał, pisał, lub zabawiał się jakąś ręczną robotą po staremu. Z postaci jego poznać było można męża, w którym pokój Boży panował, którego dusza w harmonii była ze światem i nie wzdragała się walec dni powszednich. Bój ten nie mącił pokoju wewnętrznego ducha.

Nawet gdy z kazalnicy gromił lub jeremiaszowe żale i skargi głosił, duch ten pozostawał spokojnym, bo ponad ziemskimi się unosił strefami i mieszkał wyżej nad nie.

Z tym spokojem na twarzy znał go rotmistrz, który w progu począł się uniewinniać, że mu przychodził czas zabierać.

Ks. Skarga go sobie przypomniał zaraz i powitał wesoło.

— Słyszałem — rzekł — żeście byli ranni pod Byczyną.

— Dawno się to już zabiłżniło i zapomniało — odparł Bajbuza — gorzej tylko, że owe zwycięztwo nie wydało takich owoców, jakich po niem spodziewaliśmy się. Zdawało się, że pokój wewnętrzny przyniesie, przededna, zagładzi wspomnienia przeszłości.

Ks. Skarga słuchał może nie odgadując konkluzji, a Bajbuza dodał wzdychając.

— Bolesna to rzecz, że hetmana przy królu nie ma.

Zmleczal w początku ojciec, poprawił księgi na stole, czekał, czy rotmistrz nie zmieni przedmiotu rozmowy.

— Tak — odezwał się w końcu — smutna to, że hetman się od króla oddalił i zajął stanowisko, z którego żli korzystać mogą i zechcą, lecz nie ma w tem winy młodego pana naszego. Ludźmi jesteśmy, nikt Zamojskiemu wielkich nie odmówi przymiotów, szkoda, że ma też słabości ludzkie, że żąda panowania, do którego nawykł za nieboszczyka króla, zamiast ustąpić, wzrosła. Szkoda, bo z rad jego król mógł korzystać.

Zamilkł.

— Ja — odezwał się rotmistrz otwarcie — służyłem pod nim, nawykłem szanować go i wierzyć w niego, mnie też szczególnie dotyka, iż go tu nie widzę, a słyszę czynione mu zarzuty.

Siedzę teraz na wsi, nie jestem obeznany z tym stanem spraw, jaki się z nowego położenia wyrobił, i wdzięcznym był ojcu, gdyby mnie raczył objaśnić.

Ks. Skarga długo mu patrzył w oczy, jakby badał szczerłość tego pytania.

— Rotmistrzu — rzekł — bardzo to rzecz jest prosta, że obowiązkiem jest na polu bitwy słuchać hetmana, a czasu pokoju króla, który ponad nim stoi

i władzę swą ma nie nadaną mu przez nikogo, ale z Bożej łaski i namaszczone jest do rozkazywania.

Bajbuza nie miał co odpowiedzieć. Milczał długo, rozwiązanie wątpliwości było tak stanowcze, iż nie już nie pozostawało, tylko je przyjąć i niem się zaspokoić. Po małym przestanku jednak rotmistrz o swej podróży do Krakowa mówić zaczął i boleć, że po drodze tyle głosów słyszał niechętnych dla króla, szczególnie z powodów jego skłonności dla rakuzkiego dworu.

Ks. Skarga westchnął tylko.

Miejmy nadzieję — rzekł — że powoli, gdzie ludzie lepiej króla młodego poznają, ocenić go też potrafią słuszniej. Skarżyli się na Batorego, on tak surowym ani chce być, ani potrafi, prędzejby może wyrzekł się tronu, niż do takich jak nieboszczyk przeciw Zbrowskim środków uciekał. Wiecie pewnie, że w Rewlu ledwie biskup Baranowski skłonił go do powrotu, tak był zrażonym.

— Cóżby naówczas świat rzekł, na tę nieszczęśliwą rzeczpospolitą naszą — odezwał się Bajbuza — gdyby po ucieczce Henryka, po męczeństwie Stefana, drugi król koronę rzuciwszy, uciekał od nas!

Westchnął ks. Skarga i dodał.

— Trudno lub niepodobna przewidzieć przyszłość; naszą rzeczą spełniać najbliższy dnia obowiązek. Modlimy się tylko o chleb powszedni, i przyszłość też zakryta przed nami. Troska dnia każdego starczy mu.

Wszystko to nie uspokoiło jeszcze Bajbuzy. Czuł, że powinien się być wypowiedzieć szczerze, chciał-li ztąd zaczerpnąć jaką pociechę i skazówkę postępowania. Odezwał się więc.

— Jam wprost przyszedł do was, ojcze, uspokojenia sumienia szukając. W kraju widocznie znowu podział na obozy się gotuje. Ci, co przy Zamojskim stoją, na prawach się opierają i bronią ich.

Ks. Skarga przerwał.

— Przypomnijcież sobie czasy niedawne, gdy ten Zamojski sam praw istniejących rzeczypospolitej zmiany życzył, znajdując, że one zbyt swawoli i rozkielzaniu posługiwały. Dziś król jest na tem stanowisku hetmana, a Zamojski niestety jeżeli nie doszedł do tego, jakie zajmowali Zborowscy, niedaleko już od niego stoi.

— Potępiacie więc go?—spytał Bajbuza.

— Nikogo nie potępiam—odparł ks. Skarga—kto czystem sercem służyć chce rzeczypospolitej, ale mylić się tu może każdy.

— A król?

— Do króla *gratia status* się zastosować daje—rzekł Skarga.

Znowu Bajbuza mileżeć musiał. Ośmielił się w ostatku odezwać z tem, że króla o zamiar frymarchenia koroną obwiniano.

— Nie jestem wtajemniczony w te *arcana*—rzekł uśmiechając się O. Skarga—i nie wiem, czy należy wierzyć wszystkiemu, co złośliwość ludzka wymyśla. Rozpuszczane wieści te dowodzą tylko, jak król ma nieprzyjaciół wielu, a to go w tych panowaniach początkach nie może natchnąć wielką miłością dla kraju.

Z całego tego toku rozmowy rotmistrz już mógł wyrozumieć, że tu hetman w nieczyich oczach nie był usprawiedliwion. Wszystko niemal złe jemu przypisywano.

Ks. Skarga, któremu to badanie uciążliwem być zaczęło, starał się na lepsze przedmioty odwrócić rozmowę. Zapytał Bajbuza o królową Annę, ale żadnej nie otrzymał odpowiedzi. Była to bolesna rana, której dotykać nie śmiano. Obok króla, najgorliwszego katolika, ta uparta dyssydentka, w biały dzień chodząca do zborów, które się otwierały tem śmieiej, dolegała może więcej królowi i jego dworowi, niż wszystko, z czem tu walczyć przychodziło. Milezano o niej, i ks. Skarga spuściwszy oczy nie odpowiadał długo.

— Mój rotmistrzu—rzekł w końcu—Bóg jeden wie, dlaczego do każdej czary, którą człowiekowi wychylać przychodzi, kropla gorzkiego piołunu musi się przymieszać. Gorycz to wielka; módlmy się, aby kielich ten Pan Bóg od nas odwrócił.

Napróżno potem starał się jeszcze Bajbuza rozmowę przedłużyć, ks. Skarga dał mu do zrozumienia, iż go powoływało zajęcie obowiązkowe, pożegnać się więc i oddalić musiał.

Spodziewał się ztąd wynieść pociechę i uspokojenie, jasne pojęcie dalszej drogi, a wychodził zachwiany, niepewien i smutny.

Powrócił też do gospody chmurniejszy niż wyszedł. Kaliński, który tu już czekał na niego, wesół, rad z siebie, nie patrzący daleko, nie rozbierający tak troskliwie położenia, zdał mu się godzien zazdrości.

Dla niego wszystko było jasnem i pewnem. Był królewskim sługą, czynił co mu kazano i nie był za nic w sumieniu odpowiedzialnym.

— Co bo wy się tak frasnacie o przyszłość—rzekł wesół, z kilku słów Bajbuzy wyrozumiawszy jego niepokoju przyczynę. — My małeńcy ludzie nie nie poradzimy przeciwko sile wypadków, więc po co tu sobie łamać głowę? Wiecie co? pani Borzkowska, Ewunia wasza, dowiedziała się o przybyciu, zaklęła mnie więc na wszystko najświętsze, abym was do niej przywrowadził. Kobięcie odmówić się nie godzi.

— No cóż? za mąż nie wyszła?—zapytał Bajbuza.

— A! nie—rozśmiał się Kaliński—ma tylu do wyboru, że się nie może ważyć, kogo wziąć, a mnie się widzi, że najchętniejby wam rękę podała.

— A! a!—rzekł rotmistrz—wybić jej to z głowy potrzeba, abym ja się kiedy miał żenić. To nie moje powołanie. Nadtom długo swobody kosztował. Ale chodźmy do Borzkowskiej.

Zastali tu wszystko tak jak przed paru laty porzucili, nie zmieniło się nic, tylko malowana twa-

rzeczka wdowy nieco się wydawała zmęczoną i przywiedła, chociaż ruchy i mowa młodociane były do zbytku.

Z zapalem powitała Ewunia rotmistrza, ciesząc się, że przecież za Krakowem zatęsknił, który też tęsknił za nim.

— Za mną?—przerwał rotmistrz—ale ja nikomu na nie przydatny, sobie i ludziom ciężarem. Jedyna rzecz, do której od biedybym może służyć mógł, to wojna, a dzięki Bogu, ta się nie obiecuje, bo wielka groza od strony Turków, zaczepkami kozaków wzniecona ustala. Pokój zapewniony, a ja skazany na chodzenie za plugiem.

U Ewuni mówiono już wiele o przyszłym małżeństwie króla, o którym jeszcze nikt właściwie nie wiedział, czy przyjdzie do skutku. Utrzymywała się jednak uparcie ode dworu zawiewająca wieść, że jedna z arcyksiężniczek jest już dla króla przeznaczona, że układy się toczą.

— Naówczas i Kraków odżyje—mówiła piękna Ewunia.—Stara królowa modli się i siedzi zamknięta, a rachunki jej czas pochłaniają, młoda królowa nikogo tu oprócz dyssydentów swych szwedów i Niemców znać nie chce. Na zamku nudy śmiertelne przeżywane tylko muzyką, ale my jej nie słyszemy chyba w kościele. Zabaw nie ma żadnych, król w ciasnem się kółku zamyka.

— Ludzie się oburzają—dodała piękna Ewunia—iż król rakuzką chce wziąć dziewczkę. A co nam to szkodzi, bylebyśmy królowę młodą mieli?

— Tak, tak—zamruczał siedzący na boku jeden z przyjaciół wdowy—ale się jejmość pani mylisz sądząc, że młoda królowa tu życie wniesie. Przybędzie tylko ojcom Jezuitom do procesyi i nabożeństw gorliwa promotorka, nie więcej, i co dziś król sam jeden się modli, to będzie we dwoje.

— A wy mu to za złe macie, że się modli?—zapytał Bajbuza.

— Bo zakonnikiem nie jest, ale królem—rzekł kwaśny gość—a gdy on tereyarskie jezuickie odprawia chóry, senatorowie czekać nań muszą.

Wpuszczają ich nareszcie potem, mówią, pytają, a słowa z niego dobyć nie mogą. Dopiero po naradzie z O. Gołyńskim przez usta Radziwiła lub Tarnowskiego przychodzi odpowiedź.

Nie mógł wytrzymać rotmistrz i przerwał.

— Ale bo wy tu, jak widzę, w królu widzicie wszystko złem tylko, chociaż nie miał ani czasu, ani zrzeczności dać się wam poznać.

Wstał z kąta poruszony ów antagonistą królewski.

— Waszmość widzę—odezwał się—regalistą jesteś, ale to ztąd pochodzi, że na króla zdaleka patrzysz, a my tu sprawy jego bliżej oglądamy. Gdyby nie królowa wdowa, nie byłoby na dworze do kogo przemówić po polsku, taka tam siła Niemców, a dla nich wszędzie najpierwsze miejsce. Dalej ojcowie Jezuiti prym wodzą, oni dyrektorami sumienia, w ich rękę wszystko. O. Gołyński tu królem, a nie Zygmunt III.

Wesołym młodego pana nigdy nie widział nikt, choć się słyszę zabawia, ale zamknięty ze swymi, gdzie i karty na stole widują. Kości tylko braknie, ale i te przyjść mogą, choć na mieście ich zakazują.

Cofnął się rotmistrz przed tym potokiem plotek miejskich i zmilczał. Czoło mu się zmarszczyło.

A choć piękna wdowa usiłowała go rozbawić i rozśmieszyć, wyszedł ztąd zgorszony.

Śpieszył do stolicy w nadziei, że ztąd pociechy jakiejś zaczerpnie, a przekonywał się, że tu wszędzie gorzej stały sprawy niż zdala je sobie wyobrażał.

Ochota go brała puścić się ztąd jeszcze do Zamościa, ale zarazem obawiał się, aby tam jeszcze gorszego czegoś nie dostał. Pomiędzy Zamościem a stolicą przepaść już była.

Wytrwał jednak Bajbuza dni kilka jeszcze, aby

z pierwszych wrażeń nie sądzić ostatecznie o położeniu; ale dni te potwierdzały je tylko i zwiększały obawy, aby do zejść między koroną a buławą nie przyszło.

Kaliński mu na wieczerną przyprowadzał zawsze kogoś z dworzan króla, od których nie nad narzekanie na hetmana nie mógł posłyszeć.

Już się prawie zabierał zniechęcony do Nadstyrza powracać, gdy przypadkiem dowiedział się o przybyciu jednego z zaufanych hetmanowi, daleko z nim spokrewnionego, dosyć głośnego z rycerskich czynów, i pod Byczyną też czynnego Urowieckiego, przy którym się naówczas znajdował.

Nie mogło się nie pomyślniejszego trafić dla niego. Urowiecki był zupełnie wtajemniczonym w to, co hetman zamierzał i myślał. Żołnierz był, człowiek szorstki, surowy, mężny i nie ulegający nikomu, a prawdomówny, gdy raz usta otworzył, choć nie zwykł był mówić wiele.

Od Byczyny nie widział go Bajbuza, ale dowiedziałwszy się, iż na mieście był, natychmiast pobiegł do niego.

Serdecznie się powitali.

— A wy tu co robicie? — zawołał Urowiecki — przecież wątpię, abyście się mieli zapisać w poczet sług króla, który nas chce zaprzedać rakuszaninowi.

— Ja? — odparł Bajbuza — ale jam tu właśnie języka dostać przybył, bo zgola nie rozumiem, co się dzieje. Siedzę już dni kilka i nie stałem się mędrszy przez to. Nauczcie mnie.

— Nie wiecie więc o niczem? — zapytał Urowiecki.

— Ale o czemże mam wiedzieć?

— O tem, że nas król własny zdradza i sprzedaje! — krzyknął popędliwie stary wojak.

Byćżeby to mogło? nie sąż to niechętnych plotki? — ośmielił się wtrącić Bajbuza.

— Takby można sądzić — żywo począł Uro-

wiecki — gdyby nasz hetman, czarno na białem, z podpisem własnej ręki króla dowodów na to nie miał, że koronę rakuszaninowi chce odstąpić, a sam do Szwecyi powrócić. Bogdajby go był ks. biskup Baranowski w Rewlu nie strzymywał, rychlejbyśmy końca doczekali.

— Cóż więc hetman czynić myśli? — zapytał rotmistrz.

— Co obowiązek nakazuje — mówił Urowiecki. — Nie ma tu już co oszczędzać majestatu, potrzeba go pozwać przed sejm, niech się tłumaczy, potrzeba dowody położyć, a jeśli senatorów potrafi sobie pozyskać i wysłiznie się nam, mimo jawnych dowodów winy... ha! bogdajby rokosz zwołać przyszło.

Wyraz ten jak grom zabrzmiał w uszach rotmistrza. Rokosz, zwołanie całego tłumu szlachty, kto żyw dla obrony praw, dla wojowania z majestatem, było środkiem ostatnim, ale zarazem groziło wybuchem wojny domowej.

Rzadko dotąd nawet jako groźba wyraz ten dawał się słyszeć.

— Rokosz! — zawołał Bajbuza — ależ to straszna jest rzecz. Wy to najlepiej wiecie, jak za Stefana hetman tę swawolę szlachecką poskramiać pragnął, a swobodę nawet ograniczyć. Mógłżeby on dziś sam do najniebezpieczniejszego uciekać się środka i węzy już tak luźne, do reszty zwolnić. A toż wojna domowa.

Urowiecki westchnął ciężko.

— Wszystko to prawda — rzekł — ale czasy się zmieniły. Król się zmienił, wszystko inne. Maż hetman pozwolić na to, coby nawet dziedzicznemu monarsze nie przystało, aby elekcyjną koronę ktoś sprzedał lub ustąpił? I komuż jeszcze? temu, kogo rzeczpospolita zdawien nawykła za nieprzyjaciela uważać?

Bajbuza pochwycił się za głowę, ale straszna ta wiadomość tak mu się zdała nieprawdopodobną, że choć ją z ust Urowieckiego słyszał, zawołał:

— Ależ frymark ten prawdą-li jest?
Stary rotmistrz zżymał się.

— Iwasiu mój — odezwał się nawykły go tak nazywać—albowiem ci to nie mówił, że dowody czarno na białem mamy? Nie starczy ci tego? Jedź ze mną do Zamościa, hetman ci pokaże listy, nie zaprze się król ręki własnej. Mamyż to utaić? możemyż dopuścić, aby się frymark dokonał i najazd może wywołał. Wojna tak czy inaczej nieunikniona.

Bajbuza spuścił głowę smutnie.

— Ale—dodał Urowiecki—być bardzo może, iż odslaniając złe zapobieżym mu, uczynim je głośnem, ruszy się co żywe do obrony praw i król z Radziwilem swym i Tarnowskim... Naówczas...

Ale któż przewidzi, co się stać może?—wtrącił stary.—To pewna, że my za sobą mamy prawo, słuszość, sprawiedliwość. Hetman lekkomyślnie nie nie przedsięwzię; gdy raz rękę na pługu położy, orać będzie.

Na tem się rozmowa z Urowieckim skończyła, a rotmistrz do gospody powróciwszy, natychmiast konie i wozy do podróży kazał sposobić.

Nie miał już tu na co czekać, ani się nie nowego spodziewał.

III.

Szczypior i Rożek znaleźli się na ganku, aby przyjąć przybywającego rotmistrza, ale mu zaraz z twarzy wyczytali, że pociechy z sobą nie przywoził żadnej. Wrócił, jeżeli być mogło, smutniejszy i niespokojniejszy niż był przed podróżą. W Nadstyrzu zaraz ożyło wszystko, bo bez niego dziwna tu panowała martwota i cisza; a jedną z przyczyn

jej była nieobecność poci pięknej, na którą szczególnie Rożek i Przygodzki utyskiwali. Poci tę reprezentowała sama jedna staruszczenka pewnie osiemdziesięcioletnia, która jednak o wieku swym dokładnych nie miała wiadomości. Zwała się ona Leszczakowską, była od pół wieku już wdową i wychowywała rotmistrza, który ją jak matkę kochał i szanował. Leszczakowska, powiernica wszystkich jego myśli, utrapień, trosk, nie wychodziła już prawie ze swoich izdebek, chyba latem o kijku, siedziała z pończochą i z krzesła zarządzała domem.

Nie było dnia, żeby raz lub dwa nie odwiedził ją rotmistrz, nie posiedział u niej i nie zdał jej sprawy z tego co się działo w domu. Był nawet tak delikatnym, że w rzeczach gospodarstwa domowego, z obawy aby jej mimowolnej nie uczynić przykrości, nie nie rozkazał nie poradziwszy się Leszczakowskiej.

Nazywał ją matusią.

Jak zwykle tak i teraz rotmistrz z konia zsiadłszy, uściskawszy Szczypiora, powitawszy Rożka, spytawszy czy nie ma co nowego i dowiedziawszy się o przyjeździe na świat dwojga żrebiąt, poszedł wprost do Leszczakowskiej i ręce jej pomarszczone ucałował z uczuciem wielkiem.

— Matusiu, a cóż z tobą? jak tam kaszel? co mówią nogi?

— Chrypi w piersiach, chrypi—odparła staruszenka, która siedziała z głową obwiązaną chustką farbowaną w szafranie i uśmiechem uszczęśliwionym witała wychowanka.—Co tam o mnie starej myśleć i pytać, ale cóż z tobą? co z tobą? Przywiozłeś jaką pociechę do domu? Co się na świecie dzieje!

Rotmistrz usiadł przy niej.

— Żle matusiu moja, albowiem ja tak głupi, że nie rozumiem nic, lub niedorzeczy się wszystko składa. Król zupełnie z Zamojskim zerwał, a hetman przeciwko niemu występuje. Kto ma słuszość, kto tu winien? Bóg święty wiedzieć raczy.

Zdaje się, że młody pan nienawykły do rządzenia, a jeszcze w kraju, w którym monarcha władzy absolutnej niema, trochę sobie za śmiało poczyną. Zdaje mu się, że jego wola wszystkiem, a tu się u nas trzeba i na powszechny konsens oglądać. Ztąd konflikt.

Hetman też, ja nie wiem czy winien, czy winni ci co króla do niego zrazili, dosyć, że nasion wiele do niezgód zasiano, a wszystkie oparte na rakuzkich praktykach.

Staruszka, którą Bajbuza przyzwyczaił do podobnych spowiedzi słuchała z zajęciem.

— A z kimże ty, moje dziecko? — zapytała — naturalnie że z hetmanem. Toć twój wódz ulubiony.

— Radbym z nim, tak — westchnął Bajbuza — lecz w takiej jestem niepewności, że gotówem się od wszystkiego powstrzymać, aby nie zblądzić.

Leszczakowska rozśmiała się, głową potrząsając.

— Gdzieżbyś ty zaś miał spokojnie wysiedzieć, gdy się wszyscy ruszą, a publiczna sprawa powoływać będzie! O! już w to ja nie wierzę. Radabym dla ciebie, abyś raz o sobie pomyślał, zamiast zawsze troskać się o to dobro powszechne, ale już ciebie nic nie zmieni.

Żenić się nie chcesz, rodziny nie masz, więc ci kraj rodziną.

— Najgorszem to — wtrącił powstając Bajbuza — że człowiek nie wie kędy iść i z kim trzymać. Na tatara lub turka, na rakuszan, zatrąbią, zabębnią, siadasz na koń i rzecz skończona; a tu wybieraj między panem Zamojskim a królem JMością?

Nigdy tak mocno nie czułem, że głupim jestem! — dokończył smutnie.

Leszczakowska zaprotestowała, całując go w głowę. Nadchodził czas wieczery, poszedł powitać resztę domowników. Wszyscy już czekali około krupniku z półgęska, którego woń przyjemnie się rozchodziła po jadalni. Ks. Rabski pośpieszył czule

witać i odmówić *Benedicite*, siedli, a Rożek zabrał głos dla opowiadania dziejów czasu niebytności rotmistrza, do których swym obyczajem sporo cudowności domieszał.

Wstawszy raz w nocy widział około księżyca dziwne zjawisko, górą krzyż, z jednej strony miecz, z drugiej miotłę, co miało jego zdaniem oznaczać wojnę, bodaj domową. W jednej ze wsi sąsiednich przyszło na świat ciele o dwóch głowach, co także było przepowiednią bardzo niedobłą. Żydzi mówili coś już o Turkach, a oni byli zawsze uwiadomieni najlepiej.

Nawet z dwojga nowo narodzonych żrebiąt, jedno miało strzałkę niezwyklejnych kształtów, co nie było bez znaczenia. Konstellacye się składały bardzo dziwnie.

Śmiał się z tego ks. Rabski, chociaż w ogóle wpływowi gwiazd na losy ludzi i narodów nie zaprzeczał.

Przygudзки z rozmaitych ruchów świata zwierzęcego i ryb czynił też wnioski, ale czysto meteorologiczne.

Szczypior wyliezał, co zabili w lesie i jak szły polowania. Włodarz mówił o gospodarstwie. Spodziewano się w tym roku obsiać łęgi i mieć z nich plon obfity, bo woda tyle lat z rzędu je zalewała, że chyba w tym roku musiała im przebaczyć.

Wszyscy domownicy oczekiwali nawzajem wiadomości, jakich im mógł udzielić ze stolicy rotmistrz, ale badany odpowiadał zimno i krótko, że tam nowego tak dalece nie było nic.

Mówiono tylko napewno o blizkiem króla ożenieniu na nadchodzącą wiosnę, a żoną miała być arcyksiężniczka rakuska.

Wszyscy na to głowami poruszili, bo wstręt i obawa tego domu były powszechne.

Pod koniec już wieczery, Szczypior jakby sobie dopiero teraz przypomniał najpilniejszą rzecz, o której zabył.

— A toć ja panu rotmistrzowi najciekawszej nowiny nie zwiastowałem.

Zwrócił się Bajbuza powątpiewając, aby coś dla niego tu ciekawem być mogło.

— Księżna Teresa, myślę się, pani Spytkowa— rzekł Szczypior— sama jedna powróciła do majątku, pono z nowym mężem wyżyć nie mogąc. A że majątko wypuszczona w dzierżawę, a dzierżawca przypożyczył, zagadka to jest więc, z czego ona tu żyć będzie? Sam nawet dwór w części zajęty przez dzierżawcę, a to człek prosty, gbur i zawadyak.

Bajbuza aż się na siedzeniu poruszył.

— Prawdą-li to?

— Najpewniejsza — dodał Szczypior — księżnej, chcę mówić Spytkowej, sam nie wiedziałem, alem od proboszcza słyszał. Nie jest to tajemnicą dla nikogo. Spytek nie tylko, że jej majątek puścił i pieniądze zagarnął, klejnoty jej u żydów pozostawiał, ale tak się z nią obchodził, a pożyczę z powodu jakiejś włoszki w domu stało się tak przykrem, że jejmość uchodzić musiała. A że jej konie pozamykano, kolebkę zabrano, więc pożyczonym brożkiem parą koni się tu, o jednej słudze i pacholiku dostała.

Zapałał gniewem Bajbuza.

— Jam to zaraz temu małżeństwu źle rokował— zawołał.— Spytek mi się nie podobał, choć i gładki i rozumny człowiek, ale serca w nim za grosz niema. Księżnej piękność go oczarowała, a miłować jej z poszanowaniem nie umiał. Szkoda biednej niewiasty.

Nie mówił więcej przy stole Bajbuza, ale naza jutrz konia sobie zrana podać kazał i nie wypocząwszy po podróży, puścił się zaraz do pani Spytkowej.

Wszystko, co mu opowiadał Szczypior, prawdą się okazało. Jejmość zajmowała we dworze dwie izdebki, których jej z trudnością dzierżawca Zawalowski ustąpił. Nie chciała zrazu przyjąć rotmistrza, wstydząc się go, ale się nie dał odprawić i natęczywie

słudze powiedział, iż od progu nie odejdzie, dopóki dopuszczonym nie będzie.

Otworzyły się więc drzwi w końcu i płacząca Spytkowa pokazała się.

Ze wzruszeniem przystąpił do niej rotmistrz. Nie tała się już przed starym przyjacielem, pożycie z lekkomyślnym człowiekiem było niemożliwe, musiała uchodzić. Gotową była tu ubóstwo znosić raczej, niż tam urąganie się miłośnicy jakiejś włoszki, która usiadła się na to, aby ją wygnać.

Bajbuza miał ochotę wielką wyzwać na rękę Spytkę i ubić lotra, ale nie uchodziło to, niestety!

— Tak, jak jest przecież pozostać nie może; ja tu wszystko za pozwoleniem waszem urządzę lepiej. Naprzód Zawalowski mi musi iść precz, ja mu dam inną dzierżawę, potem czego brak, to się znajdzie, a w miłość odetchniesz swobodniej. Jesteśmy dawno sąsiadami, jam się zawsze szczycił tem, że z prawa naturalnego opiekę miał nad wdową. Teraz tembardziej nad pokrzywdzoną obowiązany jestem.

Zaprotestowała Spytkowa ręce łamiąc.

— Zlituj się rotmistrzu! co ludzie powiedzą. Spytek będzie miał pozór do rzucania na mnie potwarzy. Cała wina spadnie na nieszczęśliwą.

— Na to ja poradzę— odparł Bajbuza— obawiasz się w miłość ludzkich potwarzy, ale moja noga tu nie postanie od dzisiejszego dnia, a choćbym najszczęśliwszym był służąc jej, uczynię to pośrednictwem, nie będę się narzucał. Zostawcie staranie o tem mnie. Złym gębom potrafię nakazać milczenie.

Zawalowski przewidywał pewnie już z rozmistrzem rozprawę, znał jego zamożność, słyszał o przyjaźni dla księżnej, przygotował się więc skorzystać z gratki.

Bajbuza go znał tylko zdaleka, ale wiedział, że szlachcie w dorobku litości mieć nie będzie. Szło mu o to, aby dzierżawcy się zbyć co rychlej, a Spytkowej przywrócić tu wyłączne panowanie.

Krótko więc a węzłowato rzekł do Zawalowskiego

— Słuchaj waszmość panie Onufry... wszak tak wam imię?

— Istotnie! — skłonił się Zawołowski.

— Rzecz jest taka. Z dzierżawy ustąpić musisz, i to jeśli nie dziś, nie jutro, to jak najrychlej będzie można. Zapłaciłeś za nią temu Spytkowi, wiem ile, i to coś mu dopożyczył, a to coś mógł włożyć i coś się zabierał zyskać, i rumaczą i zawód zapłacę ci też. Daj kredki.

Tym pośpiechem zmieszany Zawołowski, za protestował.

— Ależ to prepotencya... pogadajmy... posłuchaj w. mość.

— Nie mam czasu — rzekł rotmistrz — dawaj kredkę.

Szlacheć się nastawił.

— Tak nie idzie! ja tu przy prawie stoję — zawołał.

— A ja niewiasty praw bronie i za waszmościne krzywdy i t. d. placę sownie. Czegóż więc chcesz?

— Pogadajmy — jaką szlacheć uparty.

— Mówię ci, że ochoty ani czasu nie mam, dawaj kredkę.

Zawołowskiemu już nie o pieniądze szło, ale o obrażoną miłość własną, że go rotmistrz tak samowolnie rugował, począł następować sierszisto.

— Jam tu w moim domu — rzekł — impozycy nie ścierpie...

Spojrzał na niego z góry Bajbuza.

— Wierz mi — rzekł — że ja wszystkich prawa szanować umiem, a szczególnie słabszych. Krzywdy ci uczynić nie chcę, ale wody z tobą warzyć nie mogę. Biedna kobieta cierpi, jam jej opiekun. Nie zdasz się po dobrej woli i prędko, jutro najadę i wywiozę cię precz. Zapłacę potem, a choćby więzę odsiedzę za gwałt popełniony, to mi wszystko jedno, ale Spytkowa czekać w lichym alkierzyku na twoje zlitowanie nie będzie. Masz wóz i przewóz, dasz kredkę czy nie?

Zawołowski się w głowę poskrobał, było to dobrym zaakiem. Z drugiej izby przestraszona połowica dawno mu ukazywała na migi, że uledez był powinien. Poszedł w milczeniu po kredkę i położył ją na stole przed rotmistrzem, który natychmiast ostygł.

— Dyktuj — rzekł.

— Drzyj łyka póki się dają — w duchu sobie powiedział szlacheć leniwie przystępując do stołu.

— Ileś dał? — począł badać Bajbuza.

Kłamać nie było można, trzeba było naprzód prawdę wyznać, dopiero gdy przyszło do indemnizacyi, szkód, zysków i t. p., Zawołowski zażądał nad miarę wiele.

Krzywił się Bajbuza, ale nie sprzeczał. Sum wymaganych nie pisał jednak, ale to co sam uznawał sprawiedliwym. Parę razy Zawołowski palcem zatarł napisane cyfry, a rotmistrz je z zimną krwią przywrócił, nie mówiąc ni słowa. Dawał mu się wykrzyzczać, narzekać, kłąć, w piersi bić, i pisał co słusznem widział.

Przyszło nakoniec do addycy. Bajbuza ją zrobił, sprawdził, od stołu wstał i protestującemu szlachećcowi rzekł:

— Masz, jakem ci mówił, wóz i przewóz, jeżeli jutro nie przyjedziesz po pieniądze, moi ludzie tu będą o południu i oczyszczą dwór... Pozwiesz mi o gwałt, najazd, o co zechcesz. Dam się raz drugi skondemnować, zaapeluję, będę cię po sądach wodził, abym za cheiwość ukarał. Odbierzesz swoje, ale dobrze się wymęczywszy. Jeżeli to w smak? jak wola i łaska. Ja com powiedział, uczynię.

— Przecież gwałt!

— Czasem człowiek musi go popełnić! — westchnął Bajbuza — nad biedną niewiastą litość mam. Krzywdą wam się nie dzieje. Samowolą grzeszę, ale gwałtu tego na sumieniu mieć nie będę.

To mówiąc, gdy się już ku progowi zwracał, uklękała się sama Zawołowska i wpadła prosząc za mężem.

zem. Nastąpiła zgoda. Szlachcie natychmiast się wynosić przyrzekli.

— Pieniądze, jeśli chcesz, jedź ze mną; napiszesz cessyą, skwitujesz z pretensyi i płacę ci je bez zwłoki.

Wszystko się na tem skończyło, że rotmistrz musiał kubek wina wychylić, chleb przełamać, posłuchać lamentów Zawałowskiej, ale wyszedł potem zupełnie spokojny do Spytkowej.

— Proszę miłość waszą, abyście byli spokojni, Zawałowskiego tu jutro nie będzie. Do stajni, do spiżarni co potrzeba Szczypior przywiezie. Ja to rozumiem dobrze, iż mnie się pokazywać nie wolno.

Pocałował w rękę milczącą jejmość, siadł na konia i pognął do Nadstyrza.

Domownicy się uradowali, tak im wesołym głosem odezwał się na ganku. Poszeptał coś ze Szczypiozem, a nazajutrz w godzinie obiadowej Zawałowski w żupanie siarczystym, w pasie najlepszym, jaki mu po ojcu się dostał, nadjechał wielce akomoduujący się, pokorny i grzeczny.

Podpisał cessyą, kwity, reces... co chciano, drżącą ręką zagarnął przygotowane pieniądze, podochocił sobie przy stole i odjeżdżając, poprzysiął Rożkowi, z którym się najwięcej zbliżył, że za rotmistrzem w ogień był gotów i w wodę.

— To panie człowiek!—wołał nieco ochrypłym głosem—to panie jest bohater. Pod Byczyną gdyby nie on, nigdyby Maksymiliana nie wzięli, i to generalnie wiadomo. Zamojski, gdy go przy nim nie stało, cienko śpiewa.

Ale takich ludzi na krzesła nie promują, bo się ich boją. Więc siedzi na wsi, nie nie znaczy, ale gdyby na szlachtę huknął: Za mną panowie bracia! toby się posypali za nim tysiącami. To panie, człowiek!

Miał potem wielką ochotę Bajbuza do Spytkowej pojechać, sam się przekonać, jak jej tam szło, czy czego nie brakło, ale pocziwe poszanowanie dla ko-

biety, która swe dobre imię jedno miała, wstrzymywała go. Posyłał Szczypiora tylko, który gorliwie spełniał rozkazy.

Nadchodziła wiosna, gruchnęła nagle wiadomość, iż król się żeni. Dzień nawet wesela został wyznaczony. Żeni się z arcyksiężniczką, do czego praktyki jakieś przywiązywano.

Szlachta się poruszyła jak pszczoły w ulu, ale już zapobiedz było niepodobna. Król miał za sobą część senatorów i ani myślał zważać na burzę, która się zrywała.

Zamojski zwołał zjazd do Lublina, a tu w głos rozległy się zarzuty czynione królowi przez hetmana. Zadawał mu nie już same małżeństwo, skojarzone bez zgody senatorów i narodu, ale jakieś podstępne układy, których dowodem były podechwyczone listy własnoręczne króla.

Nie depominano się u Maksymiliana o poprzysiężenie układów, zawartych w Bendzynie, samowolnie i pod niebytność podskarbiego otwarto skarb rzeczypospolitej, pieniądze na zapłatę żołnierza z kwarty użyto na prywatne króla potrzeby, rozdawnictwa dostojenstw bezprawne i wiele innych nadużyć rzucano w oczy młodemu królowi zamiast podarku weselnego.

Po całym kraju grawamina te przepisywane, komentowane biegły z rąk do rąk i najspokojniejsze jątrzyły umysły. Wszystko to zwiastowało zamach na ustawy same rzeczypospolitej, było przepowiednią tego *absolutum dominium*, którego się tak obawiano.

Z tego zjazdu głośniego w Lublinie, Zamojskiego przyjaciele jechali z żałami do króla, a na ich czele wojewoda krakowski Firlej, lubelski wojewoda Zebrzydowski, Firlej kasztelan radomski, Herburty, Lanekorońscy, Oleśnicy, Gorajscy i wielu innych. Z drugiej strony w poselstwie szli Solikowski, Maciejowski, Gowoliński biskupi, a z nimi Ostrogski, Tęczyński, Stadnicki. Miał król obrońców naprzód w duchowieństwie, potem w ważniejszych rodach, gdy Za-

mojski, niestety, opierał się na dosyć burzliwych żywiołach, które powołać musiał.

Ten krok, uczyniony do króla, prawie był bezskutecznym, odkładano wszystko do sejmu. Król do stojeństwa swego znajdował niegodnym, aby rękojmie dawał, gdy mu wiary odmawiano.

Wbrew więc hałasom, małżeństwo przyszło do skutku, a lekceważenie życzeń i skarg narodu dało się uczuć i umiano je wyzyskać przeciwko królowi.

— Czyni co chce! nie pyta nikogo! absolutnym się już czuje! — wołali przyjaciele Zamojskiego — jeżeli temu się nie położy końca, niedługo sejmu i rad potrzebować będzie.

Na chwilę świetne uroczystości weselne odciągnęły umysły. Rotmistrz posłał Szczypiora, aby w Krakowie języka dostał. Muiej już czuły dla króla i królowej wdowy, gdy teraz subsydy rakuzkie im przypływać musiały, wyprawił chorążego z listem i prośbą, aby mógł też swą należność otrzymać.

— Nie nalegaj bardzo — rzekł mu na wyjeździe — wszelako darować nie widzę dziś potrzeby i królowa ze swych posiadłości męzowskich musiała już coś uzbierać.

Zabawił posel czas dosyć długi, a nie powrócił aż w czerwcu, lecz przywiózł relacją szczegółową, gdyż do Krakowa przybywszy przed dniem wesela, na własne oczy wszystko oglądał.

Powszechny naówczas głos był, że wesele króla przypominało jeszcze dobrze krakowianom pamiętne hetmana Zamojskiego z Batorówną, ale mu z wielu miar nie dorównywało.

Wprawdzie rycerstwa się około króla zebrało daleko więcej, bo go do siedmiu tysięcy liczono, ale zresztą wszystko, zwłaszcza dwór młodej królowej nie wydawał się świetnym, bo więcej nad pół setek z sobą towarzystwa nie miała. Jechała z nią matka, biskup wrocławski i hrabia Lichtenberg. Kolebka wytworna, w której wjeżdżała, była darowaną przez króla.

— Zygmunt — opowiadał Szczypior — wyjechał naprzeciw niej do rozbitych namiotów za miastem, gdzie Tarnowski ją witał, a biskup wrocławski mu odpowiadał.

Od królowej Anny mówił Goślicki, i cały orszak ruszył do miasta; królowa młoda z matką w ośmiu woźnikami zaprzężonej wyłaczanej kolebce, w drugiej wdowa królowa Anna z siostrzenicą królewną szwedzką, panie dworu i panowie.

W bramie Floryańskiej stała uszykowana piechota miejska, ubrana z włoska, w niebieskich sukniach z bramowaniem srebrnem.

Łuki tryumfalne wystawione były na Kleparzu, u kościoła Panny Maryi Myszkowskiego kasztelana wojnickiego, i przy Grodzkiej ulicy. Na wszystkich stały muzycy i śpiewacy, a u zamku przy bramie z dwoma piramidami, dziesięć panien kasztelanowej oświecimskiej Padniewskiej najpiękniej się popisały.

Rzucano też wybite umyślnie srebrne pieniądze z palmami dwoma, które rzeka przedzielała, a one się wierzchołkami z sobą łączyły. *Amor distiantia jungit.*

Szczypior się wszędzie prawie umiał weisnąć, bo i w kościele na koronacyi się znajdował i o sporze wiedział między kardynałem Radziwillem, a arcybiskupem lwowskim, który ślub chciał dawać... korony ze skarba bez podskarbiego wzięto, ale z jego przyzwoleniem.

Zaraz potem królowa wdowa zachorowała, jak powiadano zgryziona tem, że z siostrzenicą szwedzką jadąc, nasłuchiwała się od niej różnych przeciwko obłudom katolickim przekasów. Na uczcie też wielkiej po koronacyi nie była królowa wdowa.

Widowiska na zamku w istocie, jak opowiadał Szczypior, bardzo przypominały z wesela Zamojskiego pamiętne jeszcze, jako obluki Wolskiego, żółw Myszkowskiego, Akteon przez psy pożarty, Neptun w wozie przez delfiny ciągnionym, Orfeusz zstępujący do piekieł, Wisła z wodnemi nymfami i t. p.

Stanisław Miński wojewoda łęczycki, który niedawno był żonę utracił, reprezentował Orfeusza do piekiel zstępującego za Eurydyką. Wprawdzie mówiono, iż tu jak na onem weselu hetmana, obłoki się nie zapaliły, ale też ochoty i wesela czuć nie było.

Na drugi dzień, w niedzielę, popisywało się rycerstwo w turniejach, które igrzyskami były tylko dla oka, a nikomu się nie nie stało, bo nawet z konia się nikt nie zwałił. Znowu potem kunszta wyprawiano różne, puszczano ognie sztuczne, okazywano tryumf Perseusza, wieśniaka reprezentował Stanisław Stadnicki, a Piotr Myszkowski starosta chęciński Wezuwiusz, ciągniony przez czterech krokodylów wystawił.

Szli jeszcze przed królestwem Jazłowiecki i Sieniawski przebrani po persku, potem Etyopowie i znowu rycerstwo do turnieju, ale z tego tak jak nie nie było, bo noc nadeszła i król dał znak, że ma dosyć.

Wszystko to opisując Szczypior, dodawał co słyszał, iż "się tam potrosze wyśmiewano i z ludzi i z komedyi, niebardzo do uroczystości tej dobrze zastosowanych. Zważano też, że król turniejami wcale się nie zajmował, a nawet je przerwać rozkazał, co przypisywano temu, iż go sprawa rycerska w ogóle wcale nie pociągała.

Natychmiast potem, jakby uciekając, oboje młodzi państwo do Niepołomic się udali.

Szczypior przed weselem nie mogąc się dobić do królowej wdowy, gdy ta potem zasłabia, czekać musiał aż go przyjąć raczyła.

Oddał zawczasu list rotmistrza, i królowa uprzejmie go powitała, obietnic wielkich nie szczędząc, lecz razem oświadczała, że skarb jej z powodu wesela wyczerpany został, więc teraz nie nie może dać. Natomiast insynuowała, iżby coś u króla dla rotmistrza wyjednać mogła, ale Szczypior w imieniu jego podziękował, mając polecenie żadnych nie przyjmować faworów od dworu, aby go nie wiązały.

Odesłany potem do podskarbiego królowej, chorąży się z nim musiał długo targować o termin wypłat, i z biedą zapewnienie pozyskał, że potroszę spłacać będą należność.

Miał już z tem powracać do domu Szczypior, gdy ze zjazdu w Jędrzejowie, który przeciwko królowi zwołano, nadjechali do Krakowa posłowie i Zygmunt z Niepołomic musiał zjechać dla nich do Krakowa. Zatrzymał się też i chorąży, aby usłyszeć jak się to skończy.

Wrzawy wzniecano wiele z zarzutów królowi czynionych, ale dwór sobie z tego wszystkiego nie zdawał wielkiego czynić frasunku, i odpowiedziano lekko, a Radziwiłłowie podyktowali dodatek w końcu uczyniony, admonicyą burzliwej szlachcie, aby na zjazdach swych z większem poszanowaniem królewskiego majestatu się obchodziła.

Kardynał zaś Radziwiłł, któremu zarzucano, że w praktykach rakuzkich udział miał czynny, tłómaczył się dumnie i ostro.

Zetknięcie się więc z posłami jędrzejowskimi nie tylko nie złagodziło nieporozumienia i nie spowodowało skutku, ale zdawało się do nowego rozjątrzenia dawać pobudkę. Posłowie skarżyli się, że ich lekceważeniem zbywano, dwór sarkał na marszałków, a szczególnie na hetmana, bo jego już głową ich wytykano.

Zasypywano Szczypiora pytaniami ze wszech stron, tak, że ciekawości nadstyrzan wywołać nie mógł. Opisywać im musiał wszystko począwszy od stroju króla i królowej, aż do luków i bram krakowskich, ich przystrojenia, napisów, allegoryi, komedyi, na które patrzył, i wreszcie odprawy posłów i wróżenia, jakie ona czyniła. Powtórzył im co już wówczas z ust do ust chodziło, a co później stary prymas Karnkowski niezgrabnie w mowie swej przytoczył, że Zygmunt może dlatego panować w Polsce nie umiał, bo się na ojca zapatrywał, który nad

chłopami królował, gdy tu rycerstwu przewodniczyć przychodziło.

Znaczyło to, iż tam w Szwecyi władza niezem ograniczoną nie była, tu zaś z prawami stanu i starodawnymi przywilejami liczyć się należało.

Z jednej tedy strony król sobie poczynił dosyć śmiało, z drugiej szlachta butnie, a Zamojskiemu przypisywano, że ją do tego ośmielał i pobudzał.

Szczypior o tem wszystkiem z prostotą sobie właściwą opowiadał, powtarzając słowo w słowo co słyszał, nie prawie nie dodając z siebie, nie roznamietniając się, ani za, ani przeciw. Szanował on wielce Zamojskiego, ale i królewski majestat czynił na nim wrażenie, a potęga rakazkiego domu z nim połączona, przyczyniła się do powiększenia jego blasku. Walka między tronem a narodem dla Szczypiora nie wydawała się tak groźną, ani tyle znaczącą, co poważnie i surowo wszystko biorącemu Bajbuze.

Choraży pewien był, że jak za Batorego, wielka wrzawa skończy się na niezem, rozwieje, a przy władzy zostanie zwycięstwo. Powtarzał on co niegdyś głosił Zamojski, iż polskie piwo zwykło się bardzo burzyć w początkach, ale wprędce siłę traci.

Samo to małżeństwo króla, zawarte wbrew powszechnemu wstrętowi, dowodzić się zdawało, że na opór szlachty wcale Zygmunt zważać nie myśli. I jak szlachty butę przypisywano Zamojskiemu, tak królewską samowolę Radziwiłłom.

— Cóż hetman na to wszystko?—pytał niespokojnie Bajbuza.

— Powiadają, że nie ustąpi i na przyszłym sejmie ma króla pozywać do tłumaczenia, żądając inkwizycyi i dochodzenia prawdy zarzutów, jakie mu czyni. Dowiadywał się też, kto z senatorów popiera hetmana, kto z nim idzie, na jaką siłę on rachuje, ale Szczypior mało o tem wiedział, w ogóle dość sobie lekceważąc groźby, i powtarzając co u dworu

mówiono, że się hetmana nie obawiają, a władzę jego ograniczyć nawet potrafią.

Naostatek, gdy się już ten przedmiot wyczerpał, choraży wziął na stronę rotmistrza i dodał pocichu co go doszło o Spytku. Ten jakoby, dowiedziawszy się, iż Bajbuza żonie jego w pomoc przyszedł, bronił jej, dzierżawę dla niej skupił, głośno się miał odgrażać, iż nieproszonego opiekuna rozumu nauczy. Przypisywał on jemu i jego intrygom zniechęcenie żony dla siebie, a nawet ucieczkę jej z domu.

Postąpił sobie Szczypior płocho plotki te powtarzając rotmistrzowi, którego znał, iż on sobie najmniejszego zarzutu czynić nie dopuszczał. Powtarzał on to nieustannie: Imię moje bez skazy wziąłem i takim je po sobie zostawię!

O pogroźkach i obwinieniu posłyszawszy, uniósł się straszliwie Bajbuza.

— Cóż to ten włoch sobie myśli—krzyknął.— Powinien przecież wiedzieć, że ja się nikogo w świecie nie lękam, a zamiast czekać na niego, aby on mnie szukał, sam go znajdę i zmuszę odszczekiwać potwarz niecną.

Do mnie ona nie przystanie, ale biednej kobiecie przykrość uczyni.

Uśmierzał go Szczypior dowodząc, że wszyscy znali Spytka z jego lekkomyślnych przechwałek, a na paplanie jego nikt uwagi nie zwracał, i nie godziło się mu nadawać większą wagę, podnosząc i biorąc do serca; ale rotmistrz uspokoić się nie mógł nawet tem zapewnieniem, że królowa Anna, która o wszystkim wiedziała, Spytka do siebie przypuszczając zabroniła i tłumaczyć się mu nie dała.

Znano go ze spraw dawnych.

Dał więc i Bajbuza nateraz pokój pogoni za oszczercą, odkładając rozprawę z nim do pierwszego spotkania, ale tem oględniej musiał postępować, aby do nowych plotek nie dostarczyć treści.

— Na przyszły sejm—poddawał mu Szczypior—

na który się wszyscy wybierają słuchać jak też król tłumaczyć się będzie z tego, co mu zarzucają, pewnie i wy jechać zechcecie. Jeśli się Spytek nastęrczy, naukę mu dacie, a gonić za nim nie warto.

Rotmistrz wcale dotąd pewnym nie był czy na sejm ten pojedzie, ale zaczynał się namyślać czyby istotnie nie wypadało bliżej się przypatrzeć temu co się w kraju działo. Na rękę też było pokazać się na świecie z odkrytą przyłbicą, aby nie sędzono, że dla pogroźek Spytka zamyka się w domu.

Ciekawość i chciwość czynu dawna zaczynała w nim budzić się znowu, oskarżał się o ostrygłość i o grzeszne zapisanie w szeregi neutralistów, których sam potępiał.

— Wiesz Szczypior — rzekł do przyjaciela — gotuj ty dla mnie do drogi ludzi i konie, trzeba się przewietrzyć.

IV.

Powiedział sobie Bajbuza, że dla rozpoznania i osadzenia położenia, nigdzie się udać nie było właściwiej, jak do hetmana. Bądź co bądź, był to mąż ze wszech miar pojmujący, co rzeczypospolitej było potrzeba, dał tego dowody za Stefana. Nikogo się nie obawiał, nie już nie miał do pożądania, chyba jedną koronę, ale tej nie chciał, tak jak żadnych dostojęstw nie pragnął.

— Pojadę mu się pokłonić do Zamościa, w którym nie byłem nigdy, będzie mi rad, nauczę się czegoś.

Tegoż wieczora, przy posiłku, napomknął o Za-

mościu, tym nowym, który od lat dziesiątka rósł tak w oczach cudownie, i spytał ks. Rabskiego, czy tam nie bywał.

— Jakto, nie bywałem? — odparł ksiądz — alem ja w blizkiej okolicy mieszkał, gdy jeszcze Zamościa na świecie nie było, tylko zameczek na wysepce w Skokówce, nad Topornicą. Pojedźcieżno teraz, co się za miasto włoskie zbudowało, wyrosło, jaki handel, co za gmachy, jarmarki, składy, ilu tam ormian? Już jeżeli co, to Zamość najlepszym jest świadectwem potęgi hetmana... — Rzekł — i stało się. — Dłż już Zamość ze Lwowem, z Lublinem, z Warszawą walczyć może. Stolica to nie możnego pana, ale jakby udzielnego książęcia. I takimby Zamojski dawno był, gdy tylko chciał.

Teraz gdy dwór go ku sobie nie nęcił, wojna nie odrywała na granice, Zamojski cały się oddawał temu swojemu dziełu, które potomkom chciał, jako ordynację nienaruszalną, na wieki zostawić.

Około króla zbierała się garstka, przy Zamojskim zawsze były gromady i tłumy szlachty i panów. A od czasu gdy został zmuszony przeciw królowi występować, pomnożyło mu się jeszcze przyjaźnych i adherentów. Skupiali się wszyscy przy nim.

Nie czekając więc na zwołanie sejmu, Bajbuza wyruszył sam, bo Szczypiora musiał, choćby dla czuwania nad Spytkową pozostawić, ale z pocztą światnym co się zowie, z prawdziwym pańskim dworem. On sam wcale o tę wystawę nie dbał, ale stara Leszczakowska inaczejby go nie puściła, dbając o honor domu.

Musieli jechać hajdacy w barwie, musiało iść parę koni podwodnych, para wozów okrytych, a czeladzi i pacholików też sporo. W taką podróż, gdzie się na każdym kroku spotkać z kimś było można, nawet na wypadek potrzeby wieszono rzeczy, co się chyba na podarki tylko przydać mogły.

Zwyczaj ten obdarzania się trwał od dawnych

bardzo czasów, nie przybywano bez gościńca, nie rozjeżdżano się bez upominków. Pościeli żadnej wozie nie potrzebował rycerski taki człek, bo jej nie używał, kobierzec, wojłok, skóra jaka, poduszka często wprost z kulbaki zdjęta starczyła, ale za to jedzenie dla siebie, dla czeladzi i dla koni nawet potrzeba było mieć. Siodeł, lęków, kulbak, terlic zapaśnych się brało zawsze kilka, opon i kobierców więcej niż było potrzeba, a srebra też choć trochę, aby okazać zamożność.

Dla Bajbuzy najczęściej nie rozpakowywano nawet, ale na wypadek wozie się z tem musiał. Nie puściłaby go ani stara matusia Łeszczakowska, ani Szczypior.

I tak jednego poranka, po obejrzeniu w podwórzku koni, wozów i ludzi, pożegnaniu domowników, dosyć smutny puścił się w drogę Bajbuza naprost do Lublina i Zamościa.

Pora letnia była, dni gorące, podróż więc odbywała się w znaczniejszej części wieczorami i rankami, a w skwary odpoczywano po gospodach. Śpieszyć się nie potrzebował Bajbuza, swobodnie więc, stanowniczego przodem śląc, posuwał się dalej.

Po drodze, ponieważ mało uczęszczanym jechał gościńcem, nie spotykali prawie nikogo, do dworów nie lubił zajeżdżać rotmistrz.

W Lublinie stanął odpocząć, spodziewając się tu spotkać może z kim ze znajomych dawnych. Znalazł w istocie starego Mrocza, niegdy rycerskiego człeka, ale teraz więcej siedzącego przy kubkach za stołem, niż na koniu, i rozpowiadającego tylko o dawnych swych czynach przestawnych. Od niego dowiedział się, że hetman w Zamościu na nowym zamku był, a na gościach mu nie zbywało, bo się do sejmu gotowano gorąco.

— O! będziecie mieli tam i na co patrzeć i czego posłuchać — rzekł mu Mroczek — a hetman was przyjmie serdecznie, bo o swoim żołnierzu pamięta.

Z natężoną ciekawością jechał Bajbuza do Zamościa, powziąwszy już wielkie wyobrażenie o tem mieście jak grzyb z ziemi nagle wyrosłem, ale to co tu zobaczył, przechodziło wszelkie spodziewanie. Miasto w znaczniejszej części murowane, z domami i kamienicami piętrowymi, wspaniale się wznosiło kurtynami zamknięte, warowne, potężnymi bramami i basztami opatrzone. Kilka kościołów, zamek nowy, cekhauzy, ratusz, majestatycznie się przedstawiały. Mimowoli w rynku otoczonym domostwem z arkadami przypominały się miasta włoskie, których Zamość był naśladowaniem.

Wszystko nowe było jeszcze jak z igły, bo niewiele nad lat kilkanaście poczęło się tu ruszać, dawniej około zameczku Skokówki, ledwie mała i nieznaczna znajdowała się osada, teraz sklepy, giełda, gospody, ratusz ormianami szczególnie napelnione, z Lublinem mogły iść o lepszą.

We wszystkiem tu wykształcony smak pański czuć i widać było, ale też i naśladowanie obyczaju włoskiego.

Wjechałszy przez Lubelską bramę, na której w kamieniu rzeźbiony widać było wizerunek wielkiego króla Stefana, dostał się do środka miasta Bajbuza ulicą szeroką i prostą. Tu, pomiędzy nią a wrotami Szczembrzeszyńskimi wznosił się nowy zamek w stylu też włoskim ze trzema pięknymi wieżami i podwórcem obszernym, murem wkoło opasanym. W rogach wznosiły się cekhauzy. Pańsko i książęco się to oku stawiało, a szczególnie murów obfitość i piękne ich kształty, podziwienie obudzały.

W rynku, gdzie sobie gospody szukał Bajbuza, który domy wysokie pod arkadami otaczały, ratusz z wieżą i inne miejskie budowy, niemniej wspaniale o bogactwie miasta świadczyły. Ruch ogromny, szczególnie kupców ormian, których twarze wschodnie łatwo dawały rozpoznać, panował około giełdy, sklepów i ratusza, wag i gospód. Wcale też w ogóle nie

był ówczesny Zamość podobnym do innych miast w Koronie; czuć w nim było jakby świeże przesadzenie, niby roślinę obcą, co się miała dopiero z gruntem, na którym rosła oswoić, ale już się widocznie przyjęła.

Uderzało i to, że tu nie starego, jak po innych miastach nie było, żadnych szczątków, wszystko świeże, nowe, błyszczące, a dostatnio i szeroko rozłożone, dla przyszłej ludności.

Chatek, domków i dworów ubogich, których nawet w Warszawie, nieopodal od zamku dosyć się znajdowało, tu nie widać było. Drewniane na dalszych ulicach i w przedmieściach dwory, już budowy były pokąźniejszej i ministerniejszej. Złada buda się tu nikt nie ważył. Hetman chciał mieć tę swą stolicę taką, aby z pierwszemi miastami walczyć mogła, a że ją *ex radice*, całkiem nową tworzył, nadawał jej rozmiary swej myśli i nadziei. Był pewien, że to ziarno raz posiane się rozrośnie i rozkrzewi, a sami ormianie znajdując gościnne przyjęcie i opiekę, samorząd własny, chętnie tu napływać będą, z sobą razem swego przedsiębiorczego przynosząc ducha. Zanosilo się też na to. Potęgi ówczesnej hetmana nie lepiej znamionować nie mogło, nad to piękne miasto, jakby za doknięciem różeczki wyrosło i już kwitnące.

Rotmistrz, który zdawna miał uwielbienie dla wodza i dla statysty, chociaż ono ostatniemi czasy osłabło, gdyż widział zmianę kierunku, nie mogąc jej sobie wytłumaczyć, na nowo się przejął tą cześcią dla niego.

Właśnie pojęciom jego odpowiadał ten mąż, którego po czynach sądzić należało. Wszystko czego dotknął zakwitało i rosło.

Umieściwszy ludzi i konie w gospodzie, Bajbuza naprzód się do Urowieckiego na zamek dowiedział, aby mu posłuchanie wyrobił.

Ten przyjął go otwartemi ramionami i zapewnił, że hetman mu jako miłemu gościowi rad będzie.

Chciał go nawet z ludźmi i końmi na zamek brać, ale rotmistrz podziękował.

— Gdybyście wszystkich, co was tu najeżdżają, na zamku ugoszczali, nie stałoby miejsca dla nich. Jam już w gospodzie się rozłożył i tam pozostanę.

Na zamku dnia tego pusto nie było. Między innymi znajdował się i pan Mikołaj Zebrzydowski, skoliigacony blisko z Zamojskim przez zaślubienie ciotecznej siostry jego Herburtownej, pan, jak głosił Urowiecki, wielkich zdolności, animuszu rycerskiego, ulubiony hetmanowi. Oprócz niego i innych wielu krewnych, a stronę Zamojskiego trzymających, zjechało się właśnie dla przedsejmowej narady.

— Ja tam mój kochany rotmistrzu — odezwał się Bajbuza — do radym się żadnej nie zdał, uczynicie to tylko dla mnie, abym się panu pokłonić mógł i *privatim* chwilę posłuchania uzyskał.

Miało to nastąpić nazajutrz rano, a tymczasem Urowiecki, któremu na sereu leżało pochwalić się pańską rezydencją, poprowadził Bajbuzę pokazując mu jej wspaniałość i urządzenie smakowne.

W istocie nie było to podobnem do zwykłych widywanych gdzieindziej zamków i dworów, nie było blasku zbytniego ani wytworności pieszczonej, ale dzieła włoskiej sztuki, rzeźby, obrazy, sprzęty okazałe, opony, Królów godnemi czyniły apartamenty hetmańskie.

Zbrojownia, biblioteka, kaplica ze szczególnem zamiłowaniem były urządzone. Tuż wznosiła się już nowa wspaniała kolegiata, a innych też kilka kościołów, troskliwość o wiarę dowodziły.

Nazajutrz rano w sypialni swej, nader skromnie wyposażonej, i namiot przypominającej, hetman przyjął dawnego swego sługę.

Bajbuza, pomimo iż w postawie pięknej nie się nie zmieniło i znużenia na niej wiek nie wypiętnował, znalazł Zamojskiego zestarzałym. Włos mu siwiał już mocno, ale oko pałało, twarz miała zawsze

ten sam wyraz energii i spokoju, w którym coś ryerskiego razem i coś statysty się łączyło. Parę kroków postąpił naprzód p. hetman witając człowieka, którego znał zacność ale rozum i pewne butne dziwactwo.

— Cóż was to do mnie sprowadza — odezwał się uśmiechając — mój rotmistrz kochany, jeżeli jaka potrzeba interwencji do króla i dworu, to ci zawsze oznajmić muszę, źleś trafił. Nikogo polecać nie mogę, bom za wroga poczytan.

— Wasza miłość raczycie sobie przypomnieć — odparł Bajbuza — że ja do ludzi żądających czegoś u dworu, a dopraszających się łask i nagród, nie należę. Przybyłem z czem innym. Radbym rzeczypospolitej służyć, a w niepewności jestem zaprawdę, jak to dziś uczynić, aby nie pobił.

Za nieboszczyka króla widzieliśmy cel, wyście byli z nim, mogliśmy z zamkniętymi oczyma kroczyć, dziś rodzi się wątpliwość.

Samiście to głosili, że warcholstwo poskromić potrzeba, władzę królewską umocnić, a dziś wy, panie hetmanie, przeciwko niej występujecie?

— Tak jest mój rotmistrzu — rzekł hetman — ale ja i moi nie występują przeciwko władzy, idzie nam o to, aby ona korzystając z tego żeśmy ją dali, nie przefrymarczyła nas i nie zaprzedała. Głośna to rzecz, o której i wy wiedzieć powinniście, iż król Jmość rozpoczął z dworem rakuzkim traktowanie o to, że mu koronę polską gotów jest ustąpić, byle się na tronie szwedzkim utrzyma. Są na to dowody piśmienne. Zdradził król kraj i zaufanie, sprzedaje wreszcie, co jego własnością nie jest.

Możemyż na to pozwolić, aby nas jako trzodę baranów na targowicy sprzedawano?

Oślupiał rotmistrz.

— Mogłoby to być? — zawołał.

— Niestety! mam dowody w rękę, a na sejmie pozwę króla, złożę je, okażę, zmuszę, aby się tłu-

maczył. Bądź co bądź, odsłonięta intryga już niebezpieczną być przestanie. Widzisz tedy dlaczego naprzeciwko króla staję, którego ja sam na tron wyprowadziłem.

Ludzie ci powiedzą, że Zamojski się mści za to, iż nieotrzymał dla Tylickiego podkanclerstwa, dla kogoś tam krzesła lub łaski, dla siebie stanowiska, do którego rościł prawo! Wszystko to fałsz i potwarz, dzierzę buławę i władzy mam dosyć, więcej jej nie pragnę, ale nie mogę dopuścić z żadnej strony nieposzanowania prawa.

Nie przebaczyłem Zborowskiemu, bo się uragał z władzy i dekretów, nie mogę pobić królowi, gdy się tu sądzi dziedzicem i chce rozporządzać nami. Myśmy przecie ludzie wolni i tej swobody wiekami wyrobionej bronić będziemy tak samo, jak swawoli będziemy się opierać.

Rozumiesz mnie.

— Sejm więc obnaży te knowania — rzekł Bajbuza.

— Tak jest, musi — odparł hetman. — Przyjdzie to nie bez zgorzienia i boleści, nie bez rozbratu z tymi, co lub nie widzą daleko, lub w rakuzkie pęta oddać się gotowi, lecz raz jasno stanąć i wytłumaczyć się potrzeba.

Znam ja niebezpieczeństwa tego kroku, który czynię, lecz z dwojga muszę wybierać mniejsze.

Na cóżby się zdała ta wielka władza hetmańska, gdyby ona dopuściła rakuzkim pułkom zająć rzeczypospolitą, a małej garści przekupionych lub obalamuconych podpisać upadek tego państwa?

Rotmistrz słuchał.

— Smutna to ostateczność — rzekł po namyśle. — Myśmy dotąd chorowali na bezład i swawolę, wy to najlepiej wiecie i znacie. Nie może szlachcie naszej nic miłszem być, jak *contra majestatem* hulaśliwie wystąpić, ale gdy raz zakosztuje znowu owocu zwycięstwa, gdy król ustąpi, gdy wezmą górę, jutro za

żądają więcej, a coraz więcej i, jak mówił nieboszyk Stefan, król zejdzie na malowanego.

— Obawa, twoja, mój rotmistrzu, niepłonna — westchnął Zamojski — ale też od króla się obwarowawszy, aby nas nie zaprzedał w rakuzką niewolę, władzy mu w domu ukrócić nie będziemy, niech panuje, niech rządzi.

— A potrafi on to? — szepnął Bajbuza.

— Zadałeś mi ciężkie do rozwiązania pytanie — rzekł Zamojski. — Dumę i ambicję królewską ma, ale siły własnej mu brak, musi ją czerpać na stronie. Tu więc O. Bernard, kardynał Jerzy, Bobola i inni podszeptywać będą, rządzić, kierować. Nie bez tego aby rakuzki wpływ czuć się nie dał. Chwalono nam go — dodał hetman — iż się po polsku uczył, umie i mówi, tak ci jest, lecz po niemiecku myśli, a żona go całkowicie cudzoziemcem uczyni. Zresztą, Bóg jeden wie przyszłość. — westchnął Zamojski.

— Widzicie — dodał — wypowiadałem się wam szczerze. Tajemuć w tem niema. Ja mój obowiązek uczynię, przy mnie stanie gromadka tych, co poprą reszta zaś oczywiście króla bronić i uniewinniać zechce. Niefortunnym był wybór. Mogliśmy się go pozbyć, gdy biskup Baranowski z Rewla go do Szwecyi puścił, co teraz będzie, gdy król Jan umrze? Bóg wie. W czynnościach i sprawach ludzi Opatrzność zawsze sobie zachowuje ostatnie słowo.

Nie chciał już rotmistrz męczyć dłużej Zamojskiego pytaniami i odwrócił rozmowę, unosząc się nad Zamościem samym, który po raz pierwszy oglądał. Uśmiechnęło się oblicze poważnego męża.

— Jedyne to dzieło — rzekł — które mi się powiodło, i które, przy pomocy Bożej, doprowadzę może do końca. Miasta nam są potrzebne, zamków też brak, handel nasz wzmódz się powinien. Mamy co wywozić i czem obcych żywić. Oprócz szlachty, oprócz włościan, rzemiosła i kupiectwo zakwitnąć musi, gdy tylko rozumnie posilkować im się nauczymy.

Jeżeli ja nie dokonam com zamierzył, Bóg da, że syn mój dalej dzieło po myśli ojca prowadzić będzie.

Rozmowa przuszyła na szczegóły, na trudności, jakie w kraju spotykało każde nowe przedsięwzięcie, potem na wojnę, której hetman od strony Wołoszy i Multan się lękał. Bajbuza słuchał i tak wpływowi słowa i myśli hetmana uległ, iż wyszedł uspokojony, przekonany, że z nim i za nim iść było obowiązkiem.

— Prywaty w nim nie ma — rzekł w duchu — nie popsuly go czasy złe. Jest jakim był.

Tego dnia zabawiwszy jeszcze w Zamościu, wieczorem znowu poszedł na pożegnanie do hetmana.

Tym razem nie zastał go samym. Oprócz Herberta, znajdował się Mikołaj Zebrzydowski, o którym już od Urowieckiego słyszał. Mąż to był w wieku średnim, liczący naówczas lat czterdzieści, powierchowności rycerskiej, postawy pańskiej, oblicza wielką nacechowaną dumą.

Nadzwyczajne uwielbienie aż do czci jakiegś posunięta objawiał względem Zamojskiego, przed którym korzył się, słuchał go milczący, potakiwał mu... ale tuż względem innych szorstko, dumnie, gwałtownie występował.

Hetman zdawał się go oceniać i lubić, chociaż w rozmowie hamować często musiał.

Obchodził się z nim z łaskawością wielką, jakby z synem rodzonym, często bardzo zwracał do niego, widać było że na niego rachował i rad się nim posługiwał.

Lecz ilekroć własną myśl Zamojskiego podniósł Zebrzydowski, natychmiast ona inną przybierała barwę i namiętnie brzmiała a krańcowo. Hetman śmiał się i prostował, ale ten zbytek ognia go nie raził.

Rozmowa i tego wieczora obracała się około króla i dworu. Wiedzano tu już, że młoda królowa, otoczona niemkami, żadnej z pań, żadnej nawet ze sług polskich przystępu do siebie nie dawała, że jawnie im niechęć okazywała, a król też od ożenienia więcej

się jeszcze odosobnił i zamykał, oprócz swoich wybranych, nie dopuszczając do siebie nikogo.

— Dworu polskiego się spodziewać nie możemy — mówił Zebrzydowski. — Jeszcze może dopóki królowa Anna żyje, którą siostrzan szanuje i czasem jej słucha, cień pozostanie jagiellońskich czasów; zemrze ona, wszystko się przemieni.

W ciągu rozmowy Zebrzydowski namiętnie podniósł zasługę kanclerza, który odważnie przeciwko królowi występował, aby nie dopaścić zamachu na rzeczpospolitą grożącego jej bytowi, cieszył się tem, że Zygmunt upokorzonym zostanie, tłumaczyć się będzie zmuszonym, a wszystkie jego rachuby w nic się obróca.

Bajbuza ośmielił się odpowiedzieć na to.

— Wieleśmy winni wdzięczności hetmanowi, to pewna, ale ostateczność ta smutna w takim państwie, jak nasze, gdzie władza królów małą jest i ograniczoną, jeszcze ją podkopywać musi. Bo nie zaprzeczycie temu, iż powaga królewska na inkwizycyi ucierpi, a szlacheckie zuchwałstwo nasze się wzmoże. Nie zehecemy potem słuchać, choćby co najsluszniejszego nakazywał.

Ostro spojrział na mówiącego Zebrzydowski.

— To są dalsze następstwa — rzekł — którym zapobiedz czas będziemy mieli, dziś najpilniejsza rzecz ratować sam byt nasz. Choćby nam na bezład chorować przyszło, życie naprzód trzeba utrzymać, a w sprawie praktyk rakuzkich o sam żywot chodzi.

Nie mógł temu zaprzeczyć rotmistrz i zamilkł.

Hetman milczał i po długim przestanku szepnął tylko.

— Gdyby nam nieba nie wzięły Stefana, gdyby on żył, inaczejby rzeczpospolita wyglądała i zabezpieczoną byłaby na przyszłość. Nie ublagana śmierć jego wszystko w gruzy zmieniła.

Przez wieczór cały toczyły się tylko rozmowy o publicznych sprawach. Bajbuza słuchał więcej niż

się odzywał i wyszedł z tem przekonaniem, iż Zamojski czynił co było koniecznem i że z nim iść stało się obowiązkiem, choć mogło wydawać rebelią niemal.

Dzień jeszcze potem spędził na oglądaniu zamku, kościołów, giełdy, sklepów ormian. Nagadał się do syta z Urowieckim, a naostatek pożegnał z zamiarem powrotu do domu, dopóki na sejm jechać nie przyszedł czas.

Dążył właśnie do swej gospody wieczorem, gdy w ulicy przed nią spostrzegł przechadzającego się człowieka, którego zobaczywszy stanął nasepiony a potem się cofnął, jakby spotkania z nim chcia uniknąć.

Był to mężczyzna lat średnich, miernego wzrostu, krępy, który chodził tak, jak koń na linie puszczony dla popasu, cały w krygach, podrygach, kręcąc się, głową rzucając, to się biorąc w boki, to dziwnie przebiegając nogami i wierząc biodrami. Zdawał się raczej tańczyć niż chodzić. Strój dosyć pomięty, wytarty, ubogi, ale czupurny: krótko a kuso, uwydatniał jeszcze pocieszne ruchy. Czupczka czerkieska na ucho ułożona, szabelka mała na skórzanych rapciach dopełniały stroju. Twarz okrągła, rumiana do zbytku, z niezmiernie wysadzonemi na wierzch oczyma ciemnymi, z wąsem najeżonym do góry, przystałaby była więcej trefnisiowi niż szlachcicowi, za jakiego szabla go brać kazala.

Z ust rotmistrza dobył się mimowoli wykrzyknik.

— Do licha. Taż to Gubiata!

W istocie był to, jak się sam głosił, Porfiry Gubiata, litewski szlachcic, który już dał się we znaki Bajbuzie, bo go miał przez parę lat przy sobie.

Niegdy, jadąc do Krakowa raz, Bajbuza na drodze spotkał idącego pieszo, wielce odartego i żałośnie wyglądającego szlachetkę przy szabelce. Szlachcic pieszo, była to anomalia pod owe czasy taka, że widząc go zsadzonego z siodła, wędrującego na piecho-

tę, musiał się każdy zatrzymać i wywiedzieć co się stało, iż szedł na piechotę. Bez ręki, bez nogi się obejść łatwiej było szlachcicowi, niż bez konia. Mógł być chabet najobrzydliwszy, ale dopełniał człowieka.

Zobaczywszy tak kroczącego po błocie pana brata, zatrzymał się Bajbuza i począł go wypytywać, co nieszczęścia było przyczyną.

Trafił na wymównego i wielomównego, tak, że przez pół mili stępia jadąc, słuchać musiał opowiadania wszystkich nieszczęśliwości, jakie dotknęły Porfirego Gubiata. Obżałowany miał sposób opowiadania zabawny, retoryka jego przeplatana była szyderstwem, tak, że i zajął rotmistrza i litość w nim obudził, kazał mu dać konia i kulbakę, wziął go ze sobą i Gubiata umiał mu się tak wysługiwać, że go zawiózł do Nadstyrza.

Ale tu powoli zaczęły się pokazywać istotne przyczyny, dla których owemu Gubiacie powodzić się nie mogło. Nie był bez zdolności i sprytu, lecz razem miał wszystkie nałogi i namiętności, które na lotra wykierować mogły. Był kostera namiętny, niepohamowany tak, że do ostatniej koszuli zgrywać się był gotów, a w ostatku i cudze przegrać; pił jak gąbka, kłamał aż się za nim kurzyło, słowa nie dotrzymał nigdy, na ludziach, co mu dobrze czynili, pocziwiej nie zostawiał nitki. Słowem im się go bliżej poznało, tem robaczliwszym owocem się okazywał.

Zgromiony padał na kolana, a potem po ciehu kłął i groził.

Kilka wybryków, na których go pochwycono *in flagranti*, zmusiły Bajbusę precz go wygnać z Nadstyrza, ale opatrzonego niegorzej, aby nędzy nie cierpiał, dopóki by sobie nie znalazł zajęcia.

Po dwakroć potem goły i odarty do miłosierdzia pańskiego powracał Gubiata, i znowu przeskrobawszy musiał być wypędzony. Naostatek wyświecono go już z Nadstyrza z tem, że jeśli się pokazał raz

jeszcze, czekają go i plagi na kobiercu, i co gorszego może jeszcze.

Zniknął tedy Gubiata.

Nie dziwnego, że zobaczywszy go przechadzającego się przed oknami swej gospody Bajbuza, skrzywił się i starał uniknąć z nim spotkania. Nałożył więc drogi, obszedł gospodę dokoła, wśliznął się do niej z tyłu i czekał, ażby natręt precz uszedł, spodziewając się mu ujść nazajutrz o świcie. Nie wątpił bowiem, że na niego tu wyczekiwał.

Tymczasem szlachcic świadom obyczajów rotmistrza, tak umiał się urządzić, iż do drzwi jego się dostał, nim pośpieszono je przed nim zamknąć i znalazł się oko w oko z Bajbusą.

Rotmistrz już mu ręką wskazywał aby precz szedł, gdy Gubiata nie zważając na to, wołać począł.

— Bóg świadek, przychodzę jedynie w interesie waszej miłości, powodowany tą czcią, weneracją i wdzięcznością, jaką w sercu mem, ja robak mizerny, chowałem, chowam i chować nie przestanę dla heroicznej osoby miłości waszej!

Tu w piersi się uderzywszy, nim słowo mógł wtrącić Bajbuza, ciągnął dalej szparko i coraz głos podnosząc.

— Drogiemu życiu miłości waszej grozi niebezpieczeństwo! Tak jest. Na złamanie karku biegłem tu, aby przestrzedz i uchronić miłość waszą od zbójckiego zamachu.

Rotmistrz się rozśmiał.

— Wasza miłość śmiejesz się—wołał Gubiata—i mówisz sobie: Bzdurstwo jest i kłamstwo, bo to głosi ten niecenota, lotr, kostera, pijanica Gubiata. Tak? A ja przysięgam na wszystko co mam najświętszego, że choć Gubiata lotr, ale słowa jego złote... prawdę mówi i w. miłość życie mu winien być!

Bajbuza nie przestawał śmiać się.

Bajbuza T. II.

— Nie frasuj się ty o życie moje—rzekł—po-
trafię je bronić. Ruszaj z Panem Bogiem.

Gubiata stał jak wryty.

— Choćbyś mnie miłość wasza kijem ztąd pę-
dzić chciał, nie pójdę—rzekł—odpowiem jak ów sta-
rożytny mąż: Bij, ale słuchaj!

Rotmistrz zaczął śmiać się mocniej jeszcze.

— Mości Gubiato—rzekł—znamy się już nadto,
abym się ja ci dał wziąć na takie postrachy i kłam-
stwa. Ruszaj z Bogiem pókiś cały!

— No, dobrze, pójdę, idę, ale czekajcie dopóki
nie powiem z czem tu przyszedłem. Potem każecie
mnie za drzwi wyrzucić, jeżeli na to zasłużyłem, ale,
miłościwy panie, Gubiata łotr, niezdara, kostera, pi-
janica, wszystko to prawda, a serce ma i tem sercem
miłość waszą kocha, tak, że żywot za nią dać gotów.

Odechrząknął i nogę jedną naprzód wysadziw-
szy ciągnął dalej.

— Jakim sposobem doszło do wiadomości mej,
iż pan Spytek Jordan zasadzkę na rotmistrza powra-
cającego uczynił i na życie godzi, mówić nie potrze-
buję. Proszę tylko przekonać się, iż zasadzka ta
w samej istocie istnieje.

Ściągnął brwi Bajbuza.

— Gdzież ona ma siedzieć?— spytał pogardli-
wie—jaka jej siła?

Gubiata stał się śmielszy.

— Widzicie, miłość wasza, że nie plotę koszał-
ków, że przynoszę wam prawdę! Aha! pytacie gdzie?
chcecie wiedzieć ilu? Więc i ów potępiony Gubiata
na coś się przydać może!

Aha! aha!

Trochę zwyczajko brzmiały te słowa i Bajbuza
się zmarszczył.

— Spytek więc tak ograniczonym jest, że chcąc
mnie podejść, publicznie to głosi?—rzekł szydersko.—
Gdyby istotnie miał ten zamiar, czyżby go roztrąbiał
zawczasu?

— Nie trąbił i nie roztrąbiał—odparł uroczyście
Gubiata—ale ja mam uszy ku podsłuchaniu i umiem
wydobyć z ludzi co mi potrzeba. Zbierał i werbo-
wał ludzi do tej napaści, chciano i mnie zaciągnąć,
dałem się ująć, aby się o wszystkim dowiedzieć.

Spytek mieć będzie zbieranej lichiej drużyny
głów może do pięćdziesięciu. Niewiele to warto, ale
po nocy na gospodę wpaść, na śpiących, niespodzia-
nie, bezbronnych pokonać, łatwo i łada ciurom.

To mówiąc Gubiata już zabezpieczony, że go
nie wypędzą, przystąpił bliżej i wymienił miejsce,
podał szczegóły niedozwalające wątpić, iż na ten
raz nie kłamał, choć może dodawał i powiększał.

Zamyślił się rotmistrz.

Miał sposób dwojaki do uniknięcia niebezpie-
czeństwa, albo sam napaść na zasadzkę, czekając
na nią przygotowany, lub inną udać się drogą, aby
jej uniknąć.

To mu się zdawało właściwszem.

Nie rozgadywał się już obszerniej z Gubiata,
dobył sakwy i zaczął liczyć pieniądze. Szlachcie
który się może innej nagrody spodziewał, wzdychał.

— Jaby miłości waszej do Nadstyrza towa-
rzyszył!—wyjąknął.—Przez te czasy, wiele biedy do-
świadczywszy, wielce się poskromilem. Teraz mnie
ani poznać. Kości i kart w ręce nie biorę, choć mó-
wią, że sam król młody w karty grywa, ale co wol-
no królowi, nie godzi się Gubiacie. To się wie. Co
się tyczy pijatyki, także zarzekłem się excessu. Cho-
dziłem do spowiedzi pod laskę, z całego żywota
i mogę powiedzieć, że odrodzonym, nowym z pod
niej wyszedł. Miałbyś miłość wasza ze mnie sługę
doświadczonego, wiernego, bywałego, jakiego koro-
na ta drugiego nie okaże.

— Dziękuję ci—odparł Bajbuza—nie może to
być. Raz i drugi próbowałem cię, wiem że jesteś
niepoprawionym, szukaj służby gdzieindziej, a mnie
jej dla ciebie niema.

To mówiąc wskazał na talary rozłożone na stole, które Gubiata skrzętnie zgarniać począł do chusty brudnej, gdyż mieszka na pomieszczenie ich mu brakło.

— Bóg zapłać—rzekł—ale gdybyś miłość wasza inaczej się rozmyślił!

— Nie mogę.

Szlachcic stał jeszcze chwilę.

— Konika w dodatku — szepnął — ja po niego sam dobiegnę do Nadstyrza, bo z podróżnych oczywiście nie dostanę.

Bajbuza obojętnie głową poruszył. Gubiata wyszedł nareszcie.

V.

Nie czekając poranku, zaraz po wyjściu Gubiaty rotmistrz kazał konie siodłać i wozy zaprzęgać. Szło mu o pośpiech, aby się przekonać, czy istotnie groźba zasadzki mogła być przyprowadzoną do skutku. Powrotną więc podróż, zmienioną drogą, odbył Bajbuza w bardzo krótkim czasie, bo konie miał doskonale, wytrzymałe, a nie żałował ich.

Do Nadstyrza przybył, co mu się nigdy nie trafiało, po nocy. Zbudzony Szczypior wybiegł przestraszony w jednej koszuli, przeczuwając, że pośpiech ten nie był daremny.

W niewielu słowach Bajbuza mu opowiedział o co szło i co zamierzał uczynić. Miejsce na zasadzkę oznaczone odległym było o mil osiem od Nadstyrza. Natychmiast chorąży poszedł ludzi zbie-

rać i gotować na tę wyprawę, której ani celu, ani kierunku nie zwierzał nikomu.

Szło i o to, aby się nie wydało przed czasem, i o białym dniu Szczypior już swój oddział lasami prowadził.

W całym tym ruchu, na owe czasy, nie było nic tak nadzwyczajnego; najazdy a wymiary samowolne sprawiedliwości, opanowania dworów, porywania ludzi, przytrafiały się ciągle. Zborowski tak pochwycił niedawno Tarnowskiego i ograbił.

Mszczono się krzyw dawnych, jeden drugiemu w pomoc przychodził.

Nie było więc dziwu, gdy kto swoich ludzi zajął w ten sposób.

Szczypior do podobnych wycieczek jedynym był człowiekiem. Baczny, ostrożny, prędko a mężny, umiał niespodzianie najść starego partyzanta.

Miejscem wskazanem była mała osada w lesie i przy niej gospoda, której w podróży pominąć nie było można.

Przodem wysłano po język człowieka, który nie od strony Nadstyrza, ale z przeciwnej miał nadjechać, aby na miejscu się przekonać, czy zasadzka nie została zmyślona.

Szczypior z oddziałem czekał na wiadomość nie na gościńcu, ale opodał w lesie. Posłaniec pod wieczór wrócił z uwiadomieniem, że Spytkowa gromada dokola gospody była rozprószona.

Chorąży więc przybywając późno od lubelskiego traktu miał tu zastąpić Bajbuze.

Wszystko się jak najskładniej powiodło. Mniemany rotmistrz zajął nieopatrznie niby gospodę, nie stawiając straży, i natychmiast rozłożył się na spoczynek.

Tymczasem gospodarza i ludzi coby zdradzić mogli powiązano, oddział się rozłożył w szopie i przygotował tak, aby mógł wycieczkę zrobić, a tyl zając napastnikom.

Widziano ich nadeciągających pocichu, okalają-

cych gospodę, zabierających się do wtargnięcia w nią. Szczypior doskonale przygotowany czekał.

Zdawało mu się nawet, że dowodzącego Spytka widział, który ludzi rozstawiał.

W chwili gdy ciury się rzuciły z okrzykiem na szope, łamiąc wrota i ploty, dano do nich naprzód tak rześistego ognia, iż kilkunastu rannych padło. W tej samej chwili część ludzi ze Szczypiosem wyskoczyła tyłami i osaczyła jeszcze po wystrzale nie mogących się opamiętać napastników. Spyttek, który blisko stał, natychmiast po danym ogniu w las pierzchnął sam; z ludzi jego, oprócz raniionych, zagarnął w niewolę kilkunastu Szczypior, i w niespełna godzinę wszystko było szczęśliwie skończone. Powiązani jeńcy śpiewali o co ich pytano, bojąc się, aby ich nie brano na męki.

Zwycięstwo otrzymane niemal ciążyło Szczypiorowi, bo co miał z jeńcami począć, zrazu sam nie wiedział. Zabierać tych ciurów do Nadstyrza nie zdało mu się potrzebnem, oćwiczonych więc kazał puścić, rannym dał iść gdzie zechcą, spisawszy wszystkich, a jednego tylko, który mógł opowiadać więcej, a ranny był mocno, na wóz zabrano.

Wszystko się to odbyło tak szybko i szczęśliwie, że gdy Szczypior powrócił zwycięzko, śmiejąc się i jeńca oddając, rotmistrz ledwie oczom wierzył, iż poszło tak gładko.

Nie było co zresztą ani na Spytka sądownie poszukiwać ukarania na gwałt zamierzony, ani sprawy rozgłaszać przykrej, która i tak się niepotrzebnie musiała po świecie rozejść.

Z rannym ciurą ponieważ się tu obchodzono po ludzku i miano litość nad nim, wszystko więc wypowiedział co tylko znał, a przeklinał Spytka, że się dał wciągnąć.

Rotmistrz o całej sprawie nakazał milczenie, i sam ani już o tem wspominał. Dowiedziała się jednak sąsiadka i opłakała wypadek, którego była przyczyną.

Bajbuza pojechać do niej ani pocieszyć nie mógł, aby do nowych potwarzy nie dać powodu.

Pewnym był zresztą, iż Spyttek po próbie tej więcej się już na niego nie porwie. Wyparł się on najuroczyściej współudziału w zasadzce i pojechał sam do królowej Anny skarżyć, że go niegodziwy Bajbuza złośliwie obwiniał dla zohydzenia.

Mówiono o tem przez czas jakiś, ale sejm nadchodził i umysły czem innem zaprzątnięte, nie miały czasu powszedniemi sprawami się zajmować.

Bajbuza nasz, choć się starał sam poskromić i zmusić do spokojnego siedzenia w domu, a wyczekiwanie wypadków, choć sobie wmawiał, że żaden obowiązek nigdzie go nie powołuje, zlej swej natury zwyciężyć nie mógł. Rwał się duchem precz, w świat, aby o publicznej rzeczy bliższą miał świadomość, a gdyby można, i udział jakiś w pracy około niej.

Stara pocziwa Leszczakowska napróżno go starała się przekonać, że on, żołnierz, gdy wojny niema, powinien spokojnie w domu siedzieć, orać swą grzędę, a panom senatorom zostawić troskę i pieczę o rzeczpospolitą.

— Co to do ciebie należy — mówiła jakby jeszcze do dziecka — czy się tam król JM. z kim kocha lub klóci? Ty przecie nic nie poradzisz, nie przerobisz, a darmo się męsząc... śmiech.

— Ale, matusiu kochana — prawil Bajbuza — ja mojej natury nie mogę przerobić. Ciągnie mnie tam... Chciałbym o wszystkim wiedzieć, być, słuchać, no... i słowo rzec czasem, które choć proste, ale pocziwe i szczere, zaważyć może.

Rozumna staruszka śmiała się.

— Mój Iwaś — mówiła — to bałamuctwo, że ci się gwałtem chce być statystą, całe życie zwicznęło. Nielepiejby się ożenił, gospodarzyć, no i w potrzebie na koń siać, boś do rycerskiego rzemiosła stworzony, ale do tej gadaniny sejmowej!... Do tego są biskupi i senatorowie.

— Nie wszystko oni wiedzą i rozumieją jak my — odpowiedział Bajbuza. — Już niech będzie co chce, a ja sobie na sejm, choć jako arbiter pojedę, nie wytrzymam.

Staruszka, choć ramionami ruszała, nie sprzeciwiała mu się.

Szczypior się tak urządził, że tym razem mógł towarzyszyć rotmistrzowi. A że na Rożka i na Przygodzkiego domu zostawić nie było można, a ksiądz był chory i nazbyt popędliwy, Leszczakowska za stara, musiał rotmistrz uprosić sąsiada, aby mu na dwór miał oko.

Sejm się zapowiadał jako burza okrutna, straszny. Po drodze, po gospodach posłowie głośno się odgrążali. Ucieczka Henryka była jeszcze pamiętną, a tu drugi już panujący kraj chciał, jak mówiono, potajemnie opuścić i srom mu uczynić, wzorem Henryka, który także o koronę targi rozpoczynał, frymarząc nią.

Na króla i królowę gromy zewsząd leciały; opowiadano o nich obojgu wszystko, co zrazić i zniechęcić mogło. Ci, co króla otaczali, w równej byli ohydzie; Zamojskiego stronę wielka popierała większość.

Pytano tylko, gdy się królowi dowiedzie, że winien był zdrady kraju, co dalej?

Na to nikt odpowiedzieć nie umiał. Byli tacy, co mruczełi: — Ukarać go nie możecie, tylko upokorzyć i zniechęcić? do czegoż się zdała inkwizycja? Drudzy dowodzili, że zarzuty czynione należało koniecznie udowodnić.

Sejm się zjechał tak już burzliwie usposobiony, że przeciwnicy, regaliści i hetmańscy, po ulicach się niemal do boju wyzywali. Zaraz na wjeździe do miasta rotmistrz postrzegł garstkę małą dworzan króla, których poznać było można po tem, że z hiszpańska po niemiecku się nosili, która w głos i jawnie, wy-

zywająco naśmiewała się z wielkiej gromady nieco podochoconej szlachty!

Tak byli pewni bezkarności, że choć ich tam znajdowało się niewiele, a nasiły ich mogli zgnieść, czuli, że się im nie stanie. Miało to swe znaczenie.

Nim do najętego dworku dojechał Bajbuza także w ulicy spotkał Kalińskiego, który się przy królu teraz znajdował, a że w nim wdzięczność nie wygasła za ów rzędzik ofiarowany niegdyś, a Kaliński w żadną się politykę nie wdawał, przystał zaraz do rotmistrza i towarzyszył mu do mieszkania.

Bajbuza rad był, że języka dostanie. Po drodze ciągle słyszał przeciw królowi głosy; ostrożnie więc zapytał o to kortedziana.

— Co tu u was słychać? Coś pono na króla się strasznie gotują?

Kaliński obojętnie ramionami poruszył.

— Ale to wszystko przebrzmi sobie bez skutku — rzekł. — Szlachta będzie zawodziła i krzyczała, będą inkwirowali, hałasowali, a nasz król na to zważać nie myśli. Ja codzień słyszę, co się o tem mówi u dworu.

Kardynał powiada, że dosyć będzie kilku słów ze strony króla, a zagodzi się wszystko.

Na włos się N. Pan nieda przez to ze swej drogi sprowadzić. Milczy on, oczy spuszcza, rzadko się poruszy, ale gdy co powie i raz się na co waży, z pewnością nie ustąpi.

Zapewnienie to Kalińskiego po tem co słyszał w Zamościu rotmistrz, dziwnem mu się wydało. Ze strony Zamojskiego na tę inkwizycję rachowano ogromnie, a tu król sobie ją lekceważył?

Miał więc i czuł jakąś siłę za sobą? O tem Kaliński nie wiedział wcale. Lecz tak mało wagi przywiązywał do tego sejmu i rozpraw, że ciągle to o koniach, to o zabawach, to o muzyce coś rozpowiadał.

— Za nieboszczyka Stefana, muzyki ani było posłyszeć — mówił — chyba surmy i kotły. Za teraźniej-

szego króla nasłuchamy się największych śpiewaków i lutnistów i kapeli najdoskonalszych, bo na to on żałować nie będzie.

Mamy już wybornego śpiewaka Adesa, którego pan Kostka królowi ustąpił; Diomedes Kato też do nas przejdzie od niego, jest już włosz Fulvio, ale na tem nie koniec. Król sam gra na klawicymbale i cytrze, a może i śpiewa, ale tylko na chwałę Bożą... złoży się przy dworze capella taka, jakiej u nas nigdy jeszcze nie było.

Rotmistrz wąsem pokręcił.

— Byle tylko było o czem wesołe pieśni nucić — wtracił.

— A dlaczegoż nie ma być? — odparł Kaliński — wszystko się składa jak niemożna lepiej. Pokój chwala Bogu... byle tylko kozactwo się usatkowało, ludzie się garną do dworu!

Kaliński mówił to z tak głębokiem przekonaniem, iż rotmistrz ani się myślał z nim sprzeczać. Dziwiło go tylko, jak z dwu stron widziane położenie zupełnie się różnie wydawało. Kto widział lepiej?

W pierwszych dniach po zebraniu się sejmku burza zapowiedziana podniosła się w istocie o wybór marszałka sejmowego, na którego się zgodzić nie umiano. Namiętności jeszcze nieużyte, w całej sile naprzód się tu z całą gwałtownością wylały.

Zamojski, który to piwo znał tak dobrze jak kardynał Radziwiłł, nieraż był temu, iż się zbyt burzy, bo mu siły nie stanie na najważniejszą godzinę. Naostatek jednak zgodzono się na Paca ciwuna witebskiego, którego mało kto znał, a nikt się nie obawiał.

Podkanclerzy Tarnowski, ten sam, którego król przeciwko woli hetmana mianował, bo był pewnym, że mu przypieczętuje co zechce i oszczędzi dopraszania się przyłożenia wielkiej pieczęci przez kanclerza, zabrał głos.

Bajbuza słuchał z wielką uwagą. Ton jego był

ten sam, co pocziwego Kalińskiego. Tarnowski zarzuty lekko odpierał, nie nadając im wagi, obiecywał od króla spełnienie przyrzeczeń, tłumaczył opóźnienie, a w końcu zażądał oprawy dla królowej.

Po tej mowie inkwizycyjny sejm zdawał się o sto mil od swego zadania, którego król ani słuchać, ani na seryo brać nie chciał.

Widział go rotmistrz w czasie mowy siedzącego na tronie w postawie dumnej, obojętnego na to, co się wkoło działo, dobywającego niekiedy jaskowatego zegarka, któremu się przypatrywał.

Ani obawy najmniejszej, ani nawet zniecierpliwienia nie widać było na twarzy.

Szlachta i niektórzy senatorowie rozgorączkowani, wszystko wkoło wydawało się na inny ton nastrojone. Król stał wyżej ponad te gwary i niepokoje.

— Jedno z dwojga — pomyślał Bajbuza — albo on taki pewny swego, że tu mu się nie stać nie może, albo doskonały komedyant, ale ani znaku, żeby myślał o tem, iż jego majestat o zdradę będą sądzić!

Dnia tego skończyło się, że Zygmunt wyszedł, ani się zmarszczywszy, a zwrócił się od tronu do drzwi takim krokiem, jakby ruszał na przechadzkę.

Następnego dopiero dnia prymas Karnkowski go rozjątrzyć potrafił. Staruszek, *Interrex*, arcykapłan, pierwszy dostojnik w państwie, mćwił sobie w senacie tak, jakby sobie siedział u komina w palacu swym wśród pralatów.

Zaraz w początku mowy zwrócił się do króla z ojcowskiem upomnieniem.

— „Pamiętaj, królu, na przysięgę twoją, bierz przykład z poprzednika twego Henryka, który że ją złamał, zginał marnie.

„Panujesz ludziom wolnym, władasz szlachcicami zacnie urodzonymi, którym równych niemasz w żadnym narodzie(!). A zaś nie wiesz, iż zacności jesteś większej niż ojciec twój, który, jak mi powiadają, chłopom tylko panuje... Pamiętajże co ów ś. p.

król nasz Stefan mówił: Poskromię ja kiedy tych królików szwedzkich i przepiszę im spokojnego zachowania się warunki”.

Król się zerwał jak piorunem rażony; uwłaczające dla ojca i dla niego wyrazy poruszyły go gniewem, zbliżył się do prymasa z wyrzutami, chociaż starowina Karnkowski ani pojmował, żeby się obraży miał dopuścić.

— Ale ja — odparł — nie dla tego to mówił, abym majestatowi króla JM. szwedzkiego chciał uwłaczać! Ja tego we zwyczaju nie mam. Porównując z sobą królestwa, musiałem to powiedzieć, proszę abyś mi W. Król. Mość tego za złe nie brał. Ja chcę króla naprawić, ale nie obelżyć.

Posłowie go tłumnie popierać zaczęli, ale owo naprawianie popsło sprawę. Królowi obelżyłem się zdało, aby go kto śmiał chcieć naprawiać!

Wszczęła się wrzawa, zagłuszono staruszką, który z kolei znowu począł się zżymać.

Zwrócił się do posłów, którzy byli najzwawsi.

— Panowie posłowie! he! co to za rozum wasz? Wniosków jeszcze nie było, a wy już chcecie mówić i sejmować? a cóż tedy znaczyć będzie arcybiskup, senat cały, kiedy go poseł głaszy i mówić im nie daje! Ja tu podobno ze wszystkich waszmościów jestem najstarszy! Lat czterdzieści na dworze królów naszych strawiłem, a nie pamiętam takiego nieładu, jaki tu dziś między posłami panuje!

Przystąpił senat do głosowania... wtem Zamojski się podniósł, a oczy wszystkich na niego. Wstał poważny, chłodny, dumny, i miał postawę pedagoga wśród uczniów. Nie jednemu się przypomniał rektor akademii padewskiej.

— Miłościwi panowie! ja tylko z powinności mej przypominam wam przysięgę świętą, że każdy z nas obowiązany jest, cokolwiek szkodliwego dla rzeczypospolitej posłyszysz, donosić, zatem co kto słyszał o praktykach rakuzkich, o wyjeździe króla, o frymar-

kach koroną, pod obowiązkiem sumienia tu powinien wyznać, nie nie tając.

Siadł potem. Król, gdy mówił, ani spojrzał na niego.

Najdłużej prawił co słyszał pan wojewoda trocki, w taki sposób jak prymas, prostodusznie na obwiłanie się nie zmagając.

— U nas po Litwie chodziły już wiadomości nietylko, że król miał ustąpić arcyksięciu Ernestowi i wyjeżdżać się zabierać, ale że już ją ustąpił. Powiadano, że w tym celu zaciągi czyniono na Węgrzech, Szlasku i kozaków do Warszawy sprowadzać miano, że Stolica apostolska już to potwierdziła.

Dodał potem, że po ożenieniu króla z austrijczką, wnet polaków odedworu oddalono, a tym co pozostali, królowa taką niechęć okazywała, iż wytrwać im było trudno; od nikogo z polaków szklanki wody przyjąć nie raczyła, żadna z pań do niej nie uzyskała przystępu, same niemki.

Gdy raz zaszło aż do takich plotek ulicznych, oczywiście obfitość się znalazła zarzutów, z których i król i senatorowie śmiać się musieli.

Inkwizycya schodziła na jakąś zabawkę bez znaczenia i król znowu siedział bardzo spokojny.

Tymczasem był to tylko materyał do inkwizycyi, więc miano li ją dalej prowadzić, czy dać jej pokój?

Trudno jest dać wiarę temu, ale rozprawy o to, czy ustanowić czy nie inkwizycję, trwały całe dwa tygodnie.

Kaliński w doskonałym humorze codzień przychodził.

— At! — mówił — czas upływa, niema nie i nie nie będzie, nie stanie czasu na inkwizycję. Umyślnie się to tak przeciąga, a potem... bywajcie zdrowi! Król się pożegna i co postanowi to będzie.

Bajbuza biorący do serca wszystko, pobiegł z tem do hetmana.

— Panie hetmanie — rzekł — mnie się zda, że przeciwna strona rachuje na to marnotrawstwo czasu,

— A my mu zapobiedz nie możemy — rzekł hetman. — Być może, iż oni się chytrze tak obliczyli, że nas znużą, że my się wyczerpiemy. Szlachty już dużo ucieka, inni ziewają, gorącość pierwszych dni uszła. Tak u nas zawsze.

Po długim, długim milczeniu, gdy już wszyscy byli zmęczeni dostatecznie, jednego dnia król głos zabrał.

Trzeba przyznać, iż mowa ta, czy on ją sam, czy Tarnowski lub Radziwiłł układał, była rozumna, umiarkowana, i gdyby nie rozdrażnienie, aby koniecznie inkwizycję uczynić, a króla na ławę oskarżonych posadzić, mogła w istocie doprowadzić do porozumienia. Król na wszystko się zgadzał, czego od niego wymagano.

Zatem zerwały się głosy za i przeciw, a Zembrzydowski i hetmanowe stronnictwo parło koniecznie do inkwizycyi.

Zygmunt po pierwszej swej mowie, na której skutek wiele liczył, gdy się przekonał, że ta jeszcze nie była dostateczną, poparł ją drugą.

Wstyd mu było obwinionemu być przywiedzionym do tego, aby jego własne sługi (bo tego się domagano) przeciwko niemu świadectwo wydawały.

Ze wzruszeniem, z przejęciem powtórzył swe obietnice, zobowiązania i w końcu rozpaczliwie prawie dolożył.

— Czegóż więcej żądać możecie? jeżeli nie dopełnię warunków, przez to samo odpadam od korony. Ale i tego już niedosyć było.

Król widocznie rozdrażniony w tej chwili może gdyby był mógł, rzuciłby tę koronę cierniową z głowy.

Prymasowi żal się zrobiło go, nakłaniał do zgody. Można było poprzestać na oświadczeniu króla uroczystem.

I byłby sejm przystał, ale Zamojski nie mógł

odejść nie dopiawszy celu, nie pomściwszy się. Wystąpił on o inkwizycję ostro i kwaśno, szorstko zwrócił się do króla.

— „Prosimy, abyś W. Król. Mość dalej z nami szczerze szedł, bośmy członkami rzeczypospolitej, ale nie własnością W. Król. Mości.”

Tu hetman rozwiódłszy się obszernie nad położeniem, nad naturą obwinień, żądał, aby pisma i dowody zdrady króla roztrząsano, osądzono i ich autentyczność wypróbowano.

Cel był dopięty.

Przed narodem, przed światem, hetman pokładał własnoręczne pismo króla do arcyksięcia Ernesta.

Hetman kazał czytać artykuły obwinienia na zjeździe Jędrzejowskim uchwalone. Oprócz tego mógł świadczyć o praktykach Leśniowski, przytomny tu, który był posyłany z listami, jeździł w poselstwach...

Położenie króla było straszliwe, stał pod pręgierzem, pod którym go nielitościwy hetman postawił. Nie mógł i nie śmiał się zapierać, nie chciał przyznać, milczał. To dumne milczenie pańskie było jedynym ratunkiem.

Ktoś z bardzo niezręcznych obrońców podsunął, iż pisma były sfalszowane, że jakiś pisarek w kancelaryi podrobił. Wymieniono go po imieniu, kazało pochwycić i uwięzić w Działdowie, dano go na męki, ale się do niczego nie przyznał.

Czytano list jakiegoś szweda, który zapowiadał, że Zygmunt na żaden sposób w Polsce pozostać nie może.

I dwór i szlachta i cały sejm, który był nieco ostygł, znowu się rozgorączkował.

Zamojski się skarżył, że Niemcy królewscy i jego gwardye, niejaki Roder dowódzca i ciurcy napadali na posłów; rzucono się raz nawet na hetmana.

Szlachta wołała, aby król precz Niemców odprawiał. Z tego wszystkiego wynikł zamęt, wrzawa, pogroźki i rozdrażnienie ostateczne.

Po inkwizycyi należało iść dalej, coś postanowić,

zamknąć ją. Zamojski się wstrzymywał od wniosku a inni sami nie wiedzieli, czego żądać mieli.

Rotmistrz każdego dnia wychodził z tych posiedzeń jak z łaźni.

W końcu przed sobą samym wyznał, że toku sprawy nie rozumiał.

Ile razy mu taka trudność nierozwikłana stawała na drodze, szedł do hetmana. Po tych gorszących odkryciach, których czytanie Œwiklińskiego *urbi et orbi* objawiło, prostoduszny Bajbuza sądził, że chyba król się nie utrzyma na tronie, że hetman pójdzie dalej.

Tymczasem znalazł Zamojskiego spokojnym, obojętnym i prawie chłodnym. Własna jego gorączka z tą zimną krwią hetmana pogodzić się nie mogła.

Przypadł z nagłym zapytaniem.

— Panie hetmanie, cóż to z tego wszystkiego wyrośnie? co dalej?

— Nic — odparł Zamojski z powagą. — Uczyniliśmy do ostatecznej granicy co było można i godziło się król wie, że go oszczędzać nie będziemy, że podwójnej polityki prowadzić u nas nie może. Ma doskonale naukę, czyż niedosyć? Daliśmy go pod sąd ogółu, dowiedliśmy, że nie gołemi słowy, ale pismami i faktami obudził w nas niewiarę.

Teraz wreszcie gotowiśmy jego oświadczeniami się zaspokoić, bo sami czuwać będziemy. Cośmy żądali, to otrzymaliśmy.

Senatorowie nazajutrz występując w roli rozjemców, zwrócili się do posłów, aby sobie spokojnie do domów jechali, a na nich zdali resztę.

Więc wrzawa znów; posłowie praw swych wspólnego z senatorami naradzania się i stanowienia nie chcieli ustąpić.

Nakoniec wspólnie nie postanowiwszy, rozjeżdżać się zaczęto, bo termin upływał.

Ostatniego dnia rotmistrz chodząc po dworku pytał się sam siebie, poco tu przybył? i z czem powróci...

— Słuchaj Szczypior, wiesz ty cośmy na podróży na sejm wygrali, bo ja nie! — odezwał się rotmistrz.

— Ja? ja wiem — rozśmiał się chorąży. — Koń nam zdechł jeden, drugi okaleczał. Ukradziono nam roztruchan, rozdarto kobierezyk, jam nie dospał i nie dojadł... ot, i po wszystkim.

— To pewna, że ja też mądrzejszy ztąd nie powrócę — dodał Bajbuza.

— Nieszczęśliwa to namiętność — westchnął po chwili namysłu — *chcieć konieczne rerum cognoscere causas!*

— A co, rotmistrzu? pakowaćby się do Nadstyrza?

— Jak chcesz.

Nadciągnął Kaliński.

— Nie mówiłem — zawołał od progu — wszyscy się rozjeżdżają. Sejm się rozlaź, a jeżeli myślicie, że król na włos zmieni co wprzód postanowił, to go nie znacie. Ani jednego Niemca nie odprawi, to pewna, a zechce jechać do Szwecyi, to pojedzie, i gdyby z austryakiem podobalo mu się układać, tyle tylko, że kogo innego wybierze za posła.

Pan Zamojski! pan Zamojski! prawda, że nadokuczał królowi, ale nasz pan gdy zechce być głuchym, umie i zmilczeć potrafi, a swoje robi.

Gdy go hetman zmartwi, kardynał pocieszy, na ostatek ukłęką z ks. Bernardem, zmówią pacierze i ani znaku!

Nazajutrz Bajbuza wyruszył do domu, ale zły, i poprzysięgając sobie, że spraw publicznych więcej ani będzie się starać wyrozumiewać, ani się mieszać do nich.

— Zawołają na wojnę! pójdę, a te sejmy! Ręką rzucił i nie dokończył.

VI.

Z wielkim nawet wysiłkiem i pracą, niełatwo się zmienia natura człowieka, może on namiętności zwyciężyć, ale ich objawieniu się nie jest w możności zapobiedz. Sprawdziło się to na rotmistrzu Bajbuzie, który do domu powrócił z postanowieniem mocnem zwrócenia się ku gospodarstwu, oczekiwania spokojnego na wojnę, ograniczenia wreszcie rycerskim rzemiosłem.

Chciał umysł swój odzwyczaić od tego nieustannego zaprzętania się sprawami publicznymi, na które wpływać nie mógł, a częstokroć nawet znaczenia ich się do badać nie umiał.

Lecz próżne to były usiłowania.

Siedział wprawdzie w zapadłym kącie, dokąd nawet wiadomości dochodziły leniwo, a najczęściej z prawdą niezgodne i namiętne przekręcane, ale i tu łapał w powietrzu pogłoski, męczył się wnioski z nich wyciągając i z ks. Rabskim rozprawiał godzinami o sprawach Rzeczypospolitej, królu, hetmanie i t. p.

Z duszy pragnął dla Rzeczypospolitej pokoju, ale dla siebie życzył wojny.

Ona go jedna mogła na szerszą wyprowadzić widownię, i postawić znowu u boku ludzi czynnych i odżywić.

W tej cichej atmosferze wsi zamierał i drętwiał.

Najlepiej tego dowodziły pobieżne notatki, które starym obyczajem w przeznaczonych na to księdkach od czasu do czasu zapisywał. *Silvae rerum* takowe znajdowały się wówczas po wszystkich szlacheckich domach, a cudzoziemcy podróżujący po Polsce, starzy genealogiści, jak Paprocki, świadczą, że się żadna rodzina nie obchodziła prawie bez takiego rocznika.

Notowano w nim najrozmaitsze rzeczy, tak jak się składa do spiżarni, co na jutro przydać się może, a godnem jest zachowania. Urodziny dzieci, zgon starszych osób, nabywanie majątności stały tu obok dowcipnych i złośliwych wierszyków, opisów wypadków osobliwych, wyroków w sprawach głośnych, mów, epithalamów, i t. p. Listy znaczniejszych osób, zwłaszcza teraz, gdy się kraj na obozy dzielił, przepisywano też skwapliwie, rzadko co obcego do spraw krajowych mieszając, bo te głównie chciano podać pamięci potomnych. Sąsiad sąsiadowi używał pochwyconych wiadomości i kopij dokumentów.

Bajbuza też miał taką *Silva* troskliwie utrzymywaną, do której nawet osobny pisarek był przeznaczony, który dłuższe diaryusze przepisywał. Sam rotmistrz notował, co się jego majątności, budowli i wydatków znaczniejszych tyczyło, ale częstokroć powstrzymać się nie mógł od zapisania z tęsknotą swego osamotnienia i życzeń, aby go jaka potrzeba znowu na świat wyprowadziła.

W Nadstyrzu wiele też było do czynienia, ale małych rzeczy.

Bawił się Bajbuza ogrodem i hodowlą zwierząt, założył mały zwierzyńczyk, jak i naówczas każdy pan możniejszy mieć się starał, sadił wino, szczepił plonki, posyłał po nie daleko i zaprowadził tu pierwszy gruszeki i jabłonie koniackie, porteuńskie, uryateckie, a nawet lipy do nowej ulicy w ogrodzie przez Gdańsk z Hollandyi dostał, bo je z piękniejszego liścia i kwiatu sławiono.

Ale to wszystko niespokojnemu umysłowi temu nie starczyło. Oddalenie znaczne od miast głównych, od gościńców uczęszczanych i składów handlowych, sprawiało, że i wiadomości tu opieszale dochodziły. Nie miewano ich inaczej jak z Łucka, z Ostrowia, Zasławia lub od zakonnych konwentów, które z sobą w całej prowincyi były w stosunkach.

Znano Bajbuzę z hojności wielkiej dla zakonów

żebraczyh i innych, zajeżdżali tu więc często i kwe-
starze i starsi zbierający składki na kościoły i kla-
sztory.

Gody to naówczas były w Nadstyrzu, gdy ks.
przeor jaki, przełożony, gwardyan przybywał, bo
każdy z nich coś miał do powiedzenia, a często przy-
woził ciekawe dokumentów odpisy, z których korzy-
stano.

Bajbuzę zaś szczególnie zajmował zawsze trwa-
jący ten konflikt pomiędzy królem a hetmanem, któ-
ry dla niego nie siebie samego znaczył ale szlachtę
i naród, bo stawał w ich imieniu.

Zakończenie sejmu inkwizycyjnego, na którym
się zanosilo na tak doniosłe postanowienia, a skoń-
czyło na niczem, było dlań zagadką. Rozmyślając
jednak nad nią nie mógł Zamojskiemu tego nie po-
chwalać, że do ostateczności, się nie posunął, poka-
zał się czujnym, a królowi wreszcie pofolgował.

Dworski zaś obóz inaczej to tłumaczył, nie powol-
nością Zamojskiego dobrowolną, ale zręcznem i śmia-
łem postępowaniem, jeżeli nie króla, to jego rady.

Po sejmie już głucho tylko dochodziły tu wieści
ku końcowi roku, iż ze Szwecyi oczekiwano jakichś
ważnych wypadków, które jak zawczasu przewidy-
wano, króla musiały skłonić do podróży.

Tym razem wszakże zapobieżono i obwarowano,
że król samowolnie, bez pozwolenia sejmu odjeżdżać
nie mógł. Sprawdziły się przewidywania i rotmistrz
zanotował przez Dominikana ks. Tomasza przywie-
zioną wiadomość, iż król Jan III życie skończył,
a Zygmunt musiał dla objęcia po nim tronu płynąć
do Stokholmu.

Sprawiło to w kraju pewne poruszenie, ale połą-
czenie dwóch koron na jednej głowie dla Polski nie
było bez korzyści, mogło jej dodać siły. Razem z tem
wrócono, iż w Szwecyi spokojnego panowania Zygmunt
mieć się nie spodziewał.

Zwołać musiano sejm dla pozwolenia na wyjazd.
Razem z tem królowi pierworodna córeczka się naro-
dziła, a że jej dano imię Anny, w domu więc kró-
lewskim były teraz Anna wdowa, Anna królowa, Anna
królewna szwedzka, siostra króla i Anna nowonaro-
dzona.

W Krakowie, jak słychać było, wyjazdem się
tylko i wyborem w drogę zaprzatano, bo i o tem po-
myśleć musiano, kogo królowi dać, kogo pozostawić,
i jak go przystojnie opatrzyć i t. p.

Mniej jednak te sprawy familii obchodziły rotmi-
strza, który notował swą tęsknotę za wojną i pocie-
szał się, że oręż nie spoczywał, bo go ks. Ostrogski
na kozaków podniósł zwycięzko.

Jawnem to było, że we własnym interesie pro-
wadzone praktyki rakuzkie, kozactwo podbudzające
przeciwko turkom, na rzeczypospolitej ramiona spa-
dały, bo ona za kozaków odpowiadała, a pohamować
ich trudno było, gdy im pieniędźmi i podarkami
w pomoc przychodził cesarz.

Następnego roku król powrócił szczęśliwie i sejm
zwołano do Krakowa, choć szlachta wołałaby go by-
ła mieć w sejmowem mieście, jak wówczas zwano
Warszawę.

Bajbuza zasłyszawszy, iż hetman o tatarach za-
myślał, niespokojnie się zaraz poruszył i Szczypiora
posłał się dowiedzieć, czyby jego tam gdzie nie po-
trzebowano, bo mu się ta bezczynność wielce przy-
krzyła. W niedostatku innego zajęcia czytał nawet
polemikę ks. Skargi z dyssydentami, ale ta go tak
gorąco nie obchodziła już. W Polsce cały ten ruch
był na schyłku, co było gorliwszych reformatorów
wynosili się z niej, lub w kilku niedogastych trzy-
mali ogniskach.

Powrócił śpiesznie Szczypior nazad z manifestem
hetmana, *de publica negligentia*, w którym on szlachcie
zarzucał zaniedbanie obowiązków i niestawienie się
w porę przeciwko tatarom, którzy okrutnie Pokucie

zniszczyli, a jeden Jakób Potocki i Włodek przeciwko nim wystąpili.

Można sobie wystawić, jakim bodźcem dla rotmistrza był ten manifest *de negligentia*.

Zapisał w księdze: „Policzek od hetmana otrzymaliśmy, czy zasłużenie nie wiem, a to wiem, że na gwałt ludzi zbieram i do pana Żółkiewskiego lub do hetmana ciągnę pod Samborz.”

Nie miał też czasu już Bajbuza dziennika utrzymywać i mało co notował. Widać tylko z późniejszych rejestrzyków i zapisek, że pod Samborzem w istocie był, aby oplakiwać to, iż tatarzy łupieżce uszli bezkarnie; że chciał do Jazłowieckiego się udać potem, który myślał o wygnaniu z Krymu tatarów. Nie przyszło jednak do tego, a że naprędce wówczas wybierając się z Nadstyrza, Bajbuza i ludzi niedosyć wziął i wybór ich niedobry uczynił, powrócił więc nazad, aby tu ze Szczypiorom na następną wyprawę lepiej się przygotować.

Zimą więc przybrał dwór i okolica nową postać, bo się bardzo czynnie około sztyftowania nowego oddziału krzątano.

Nawet Rożek, który więcej językiem niż ręką czynnym był, przydał się dla dozoru ludzi.

We dworze sprowadzeni krawcy, rymarze, a nawet płatnerz jeden, szyli, kuli, i majstrowali tak dobrze, iż z kuźni ogień się wziął, szopy spłonęły i ledwie konie wyratowano.

Rotmistrz jak tylko miał co do czynienia natchmiał zdrowszym się czuł, weselszym i gdy przychodził do wspólnego stołu, cieszyli się nim wszyscy, tak odmłodził.

Widząc to już nawet stara Leszczakowska nie miała przeciwko wyprawie, bo ona Bajbuzę znowu na nogi postawiła. Szczypior też krzątał się śpiewając.

Wydatki były znaczne, bo wielu rzemieślników zdaleka i za drogie pieniądze sprowadzić było po-

trzeba, ale też zapasy znaczne miał dom stary, które tylko z kurzu otrzeć, oczyścić było potrzeba, rzemień poprawić lub przyprawić.

Okazało się przytem, że bardzo stare zbroje, z doskonałej stali i roboty wybornej, dla wagi swej przydatnymi być nie mogły. Czy to, że się ludzie teraz mniejszymi i słabszymi rodzili, lub wojowania sposób był inny, a no dawnych zbroi użyć było trudno. Karwasze stare, bechtery, platy tak były ogromne, że i dwa kaftany pod nie podłożywszy, jeszcze w nich żołnierzowi za przestronno było. Płatnerze więc mieli co czynić, a dla pośpiechu wiele gotowego oręża sprowadził Bajbuza, na kosztą się nie oglądając.

Zapisał w dzienniku swój wielki smutek rotmistrz z powodu, iż Wołyń z ceł na Wołyniu nawet na potrzebę publiczną nie ustąpić nie chciał, ale Bajbuza wkrótce potem już tu nie był i na żadne postanowienia wpływać nie mógł, bo zaledwie ludzi swych ściągnął, uzbroił i opatrzył, z wielkim pośpiechem udał się do hetmana, a z nim razem już leżał pod Linkowem, naprzeciw nawale tureckiej bardzo stosunkowo szczupłą mając siłę.

Pisać naówczas dziennika ani chciał, ani mógł Bajbuza, czynnym będąc dniem i nocą na strażach.

Z Zamojskim razem, zuchwale dosyć wkraczającym na Wołoszczyznę, był rotmistrz nasz, gdy Wołoschy po ujściu Ronna i Michała wojewody przybyli poddając się Polsce i gospodarowi, jakiego im rzeczpospolita wyznaczy; był potem w obozie nad Prutem i towarzyszył mu w potajemnej do Jas wycieczce, dla obejrzenia zamku.

Rotmistrzowi czasu snadź nie stawało na zapisywanie nawet miejsc w pochodach przebywanych, a notatki pozostały tak luźno, iż z nich tylko o pracowitości jego powziąć można wyobrażenie. Zawsze bowiem prawie w najniebezpieczniejsze się wpraszał stanowisko, najpilniej czuwać musiał i osobą swą

nieustannie służył hetmanowi, dla którego nadzwyczajną cześć wyrażał.

Śmiało zajęcie Wołoszczyzny, bez upoważnienia a nawet wiadomości króla, że naganionem być musiało przez nieprzyjaciół, przewidywał to Zamojski i tylko szczęśliwy obrót okoliczności, mógł go uniewinnić. Rotmistrz wszakże zapisywał ciągle wielką radość swą z tego, iż śmiało a zuchwale hetman kroczył, odpowiedzialność biorąc na się, gdy konieczność wymagała.

Ze spotkania z tatarami nad Prutem Bajbuza zapisał tylko poniesioną w niebacznych ludziach swych stratę i niektóre szczegóły o szczęśliwych potem z nieprzyjacielem układach, gdy siły jego przewyższały o wiele te, któremi Zamojski rozporządzał. Nigdzie się lepiej nie sprawdziło jak tu owo starożytnie aksioma, że *audaces fortuna juvat*.

Nawet podarków wielkich chętnym zawsze tatarom nie potrzebował dawać Zamojski, jedną suknią ze złotogłowu i jedną czaszą pozłocistą zbywszy dwu starszych. Bajbuze, jak pisze, chciał hetman razem z Potockim i Chańskim tymczasowo na Wołoszczyźnie zostawić, ale rotmistrz się wyprosił, przenosząc czynniejsze życie nad zasługę w obcym kraju. Nie przewidywał, jak pisze, że wkrótce tu do rozprawy przyjdzie, z której polskie rycerstwo chlubi się wywiąże. Szczypior zaś pono najwięcej żałował, iż w znacznym łupie, jaki podówczas na Roznanie zdrajcy zabrano, nie miał żadnego udziału.

Zapisał w dzienniku Bajbuza głośnie naówczas zarzuty czynione Zamojskiemu o nadużycie władzy hetmańskiej, niechęć i zazdrość dworu, gdy zwycięztwa usprawiedliwiły hetmana i radość swą z tego, iż ulubiony mu a coraz w oczach jego rosnący mąż, ze wszelkich imprez swych tak szczęśliwie wybodził.

Zarówno wielkiej bystrości w przewidywaniu następstw, jak składowi pomyślnemu okoliczności hetman to był winien.

W następnym roku zapisane znajdujemy przeniesienie się Bajbuzy do boku hetmana polnego Żółkiewskiego, którego przyszlým następcą zwycięzcy z pod Byczyny proroczo mianuje. Z Żółkiewskim już rotmistrz uganiał się za Nalewajką i Łobodą i był z nim pod Białocerkwią. Ale w notatkach swych ledwie daty i gdzieniegdzie stanowiska zajęte lub opuszczone pobieżnie zapisywał. O Kijowie zaś i obozie pod monasterem Pieczerskim, odsyła piszący do osobnego opisu, którego w papierach nie masz. Jakkolwiek krótkie z tych mozolnych pochodów i pogoni są zapiski rotmistrza, czuć w nich jak teraz w żywiole swym był i rad z tego, iż spoczynku nie miał, a jednej sprawie rycerskiej się nie mógł poświęcić.

Tu u przeprawy niebezpiecznej przez Dniepr, ulubiony i wierny rotmistrzowi Szczypior, nieostrożnie za łodzią konia prowadząc, przez niego w wodę ściągnięty o mało nie utonął, ale go sam Bajbuza, rzuciwszy się w rzekę, wyciągnął z niej.

— „Otóż—pisze—jakie to szczęście nad rzeką się urodzić a zawczasu nauczyć rybiego rzemiosła. Gdyby nie Styr, nie udałoby mi się Szczypiora zbroją obciążonego ratować, za co Bogu niech będą dzięki, że przyjaciele wiernego, który niejedną raz mnie życie ocalił, od pewnej śmierci salwował.“

Po uspokojeniu kozactwa i wydaniu Nalewajki, gdy Żółkiewski na sejm śpieszył do Warszawy, Bajbuza z częścią oddziału uszczupłego powrócił do Nadstyrza, a nie przewidując, żeby tak rychło znowu ciągnąć mu przyszło, rozpuścił kopijników.

Po dosyć długiej w domu niebytności, nie dziw, iż mu powrót do rodzinnego ogniska smakował, czego dowodem notatki wesołe i przypomnienia przebytych niebezpieczeństw.

W Nadstyrzu, z wyjątkiem strat i wypadków, które wszędzie i zawsze czas przynosi z sobą, znalazł Bajbuza wszystko w porządku, a nawet bardzo już zgrzybiałą Leszczakowską swą, ożywioną, przy-

tomną, na podziw pamiętną najmniejszej rzeczy. Ks. Rabski też powitał go tu dziękczynną modlitwą, a Rożek i Przygodzki tak rumianemi policzkami, iż się na brak piwa i gorzałki, gdyby chcieli, uskarżać nie mogli.

Z sąsiedztwa wnet kto żyw śpieszył do rotmistrza na opowiadania o tatarach, wołochach i kozakach, o których, zwłaszcza ostatnich, wiele miał i on i Szczypior do mówienia rzeczy nowych.

Spytał naturalnie Leszczakowską Bajbuza o panią Spytkową i dowiedział się, że samotnie w ciszy, spokojnie u krosien swych z dziewczeczkami sierotami w domu siedziała, swobodnie nieco oddychając, gdyż Spytek nagle w towarzystwie młodego Ostrońskiego za granicę wyjechał, którego dopóki w kraju gościł, zawsze się obawiała.

— Daj Bóg, aby nie powrócił — westchnął rotmistrz, a pomyślał sobie, iż po latach tylu raz przeciw sąsiadkę odwiedzić, nie narażając jej, będzie mu wolno.

W pierwszych jednak dniach od ogrodu, stajen, stodół, spichrzów począwszy, tyle miał do oglądania, iż za wrota nawet wyjść nie znalazł czasu, a oblegali go domownicy, czeladź, służba, leśnicy i wszyscy, którzy nie widząc za nim tęsknili. Miał bowiem miłość wielką u ludzi, choć ich napozór nie pieścił, a często szorstko ofuknął, ale za to łagodnie postępował z nimi.

Naostatek, gdy się już pierwsze te powitania odbyły, a Rożek siłą nakłamał, teraz milezał, bo mu wiele zarzucano nadużyć czasu niebytności pana, wybrał się ze Szczypiosem razem do Spytkowej.

Miał to przekonanie, gdy wojował i zdala się od domu obracał, że zapomniiał o niej nieco, lecz przekonał się po wzruszeniu, z jakim zbliżał się do jej domu, iż tak mu drogą była jak przedtem. Spytkowa zaledwie mogła wiedzieć o jego powrocie i nie spodziewała się wcale, gdy stanął przed nią.

Poznała też łatwo, bo chociaż ogorzał mocno, ale tak zdrowo i młodo wyglądał, iż mu jego wieku nikt nie dawał.

Natomiast biedna kobieta, choć życie prowadziła dosyć spokojne i nieczem niezakłócone, znacznie zestarzała. Nie straciła na tem jej piękność, zawsze jeszcze uderzająca, ale młodości reszta ze łzami uleciała.

Okrzykiem radości przyjęła tak miłego i dawno niewidzianego sąsiada, o którym tyle tylko wiedziała iż ciągle wojował. Począł się rotmistrz dowiadywać o zdrowie, a utyskiwać na to, że na samotność skazaną była, lecz jejmość znajdowała, że jej to życie najmiłszem było i nie zamieniłaby go na żadne inne. W istocie królowa wdowa wzywała ją do siebie, chciała pono przy królowej austriaczce umieścić, ale Spytkowa podziękowała odmawiając, bo się do życia na dworze powołaną nie czuła.

Miała ona tam dawne przyjaciółki, które jej o wszystkim, co się w Krakowie działo, donosiły, mogła więc i ciekawość Bajbuzy zaspokoić opowiadaniem o królowej, o królu, o poźyciu małżeństwa i ludziach, jacy tam je otaczali.

Upewniała rotmistrza, że Anna austriaczka, która wiedziała o tem, że się w niej niemki obawiano, wymogła to na sobie, aby się języka poduczyć i kilka pań i panien polskich do siebie wzięła. Niemniej dwór to był zawsze więcej cudzoziemski niż polski, chociaż ani królowej, ani królowi nie zresztą zarzucić nie było można, oprócz dumy, nieprzystępności i zamykania się w ciasnem kółku ulubieńców.

Panował tu zawsze O. Bernard, przewodnik sumienia królewskiego, a obok niego stali Bobola, Wolski, ks. Tarnowski i szczupłe dosyć kółko.

Zrażony przeciw polakom, którzy mu w pierwszych latach po przybyciu wiele przykrości wyrządzili, Zygmunt szukał rozrywek różnych, do których mało towarzystwa potrzebował.

Wiadomo też było powszechnie, że muzyka, pobożne ćwiczenia i czytania, zabawki złotnicze i malarskie króla rozrywały. Na koniu jeździł niewiele i myśliwstwem, tak przeszłym królom upodobanem, mało się zajmował. Wyciągano czasem na łowy, na które jeździł więcej dlatego, iż mu wypadło się na nich pokazać, niż z zamiłowania.

Z listów swych powtórzyła Spytkowa Bajbuze, jakie krzyki powstały na dworze przeciw samowoli Zamojskiego, który nie tylko króla, ale ani sejmu, ani rady nie pytał, gdy na Wołoszczyznę wtargnął. Szczęściem powodzenie usta potem nieprzyjaciółom zamknęło.

Nie śmiał Bajbuza pytać jejmości o własne jej położenie, lecz gdy się Szczypior nieco oddalił, sama ona opowiadać zaczęła, iż mąż jej fortunę ojczystą prawie całą strwoniwszy, do Włoch się puścił i wątpiła, aby chciał powrócić.

— Mój rotmistrz—dodała w końcu—bardzo to mnie boli, żem ja twoją dłużniczką oddawna, bom ci mój spokój winna i byt terazniejszy, a nie wiem, jak i kiedy choć przynajmniej pieniężny dług spłacić, o serdecznym nie mówiąc.

— Wielce jej będę obowiązany — przerwał Bajbuza — gdy o obu tych długach mniemanych zechcecie zapomnieć i nie mówić więcej. Pieniędzy weale nie potrzebuję, a sam wdzięczny jestem jej, żeś mi choć skromny uczynek dobry spełnić podała zręczność.

W niemożności uiszczenia się wam teraz—zawołała Spytkowa—pamiętałam o tem, ażebym na majątku zapewniła świętą należność.

— A nietęsknoż wam na tem odludziu?—zapytał rotmistrz.

— Nie — odpowiedziała jejmość — mam spokój i swobodę, dwa wielkie dobrodziejstwa, zajmuję się sierotami, bawię w ogródku i koło gospodarstwa, modlę, czegoż więcej może mi być potrzeba? Parę nawet zacnych niewiast z sąsiedztwa odwiedza mnie

i żyję z niemi, a choć są proste sobie wieśniaczki, mile się zabawiam z niemi.

Spytała potem Bajbuzę, czy myślał dłuższy czas na wsi, w domu pozostać, na co on odpowiedział uśmiechem.

— Jeden Bóg wie, co mnie czekał — rzekł. — Mam to mocne postanowienie, dopóki siły służy, z orężem w rękę służyć Rzeczypospolitej, gdy inaczej nie umiem i nie mogę. Zatrąbią na wojnę, pewnie; cicho będzie, siedzieć muszę w Nadstyrzu i zagon mój uprawiać. Jest też tu co czynić. Stawy zakładać, ogród sadzić, budynki oprawiać, konie moje ulubione hodować.

Nie zarzekam się wszakże, gdy albo hetman, lub Żółkiewski, który godnie go kiedyś zastąpi. powołają, choć stary pójść z nimi czy na turka, na wołoszę, kozaków lub gdzie będzie potrzeba.

Tymczasem jednak cicho.

Tak w rozmowie o wyprawach odbytych, do której i Szczypior się wniósł, spędziwszy godzin parę, Bajbuza pożegnał panią Spytkową, bardzo ożywiony powracając do domu.

Szczypior go po dawnemu wymówkami prześladował, iż się nie żenił z wdową, dla której tyle okazywał sentymentu.

— To pewna — rzekł rotmistrz — żem ja żadnej niewiasty tak jak tej nie miłował, ale, chorąży mój, im człowiek szczerzej kocha, tem mocniej dba o szczęście jego, a ja sobie nie pochlebiałem, abym jej był godzien, i mógł jej przyszłość zabezpieczyć.

Lepiej się stało, żem nie poślubił, boby nieustannie słomianą wdową jako teraz musiała siedzieć samotnie, gdyż ja i dla najmilszej w świecie żony, konia i szablibym się nie wyrzekł.

To mówiąc westchnął.

— Dziś już to próżne żale — dodał — bo włosiwieje, krew stygnie, a o ożenieniu myśleć nie pora, choćby nawet wolną kiedy była.

Dorzucił i to Bajbuza, że mu się sprawy wołoskie nie wydawały skończonemi, i bodaj znowu tam ciągnąć przyjdzie.

— Wolałbym na tatarów—dokończył—bo z tymi prosta sprawa, lud dziki, ale zdrady nie zna, gdy z wołochy, choćby przysięgali, opisywali się i przyrzekali, nigdy zaufać im nie można.

Przyszła zaraz w tych dniach wiadomość, o blizkim wyjeździe króla do Szwecyi i na sejmwołano dla uchwały o podróży, ale na ten się Bajbuza nie myślał wybierać.

Nie ulegało wątpliwości, iż musiano na wyjazd pozwolić. Nakazywał później Zamojski do rotmistrza chęć go mieć w orszaku królowi towarzyszącym do Stokholmu, ale się Bajbuza wymówił, zamierza sobie nie życząc.

— Ciekawym obcych krajów—rzekł—ale na teraz kości chcę całe mieć, aby na granicy jeszcze z nieprzyjacielem się nieierać, w Szwecyi zaś bodaj one niepewne.

Wyjechał zaraz potem król, wedle opowiadania tych, co się na to patrzyli, z wielką wystawnością, z pocztami dobornymi, z kilku panami senatorami, królowę z sobą zabrawszy, tak że tylko nowonarodzona miła córeczka z królową wdową pozostała, a czego tam doświadczył w Szwecyi, wiadomo, i to że polakom winien był może, iż powrócić mógł cało.

Naówczas też już przepowiadali ci, co bystrzejszym umysłem rzeczy te przenikali, iż bodaj się na tronie szwedzkim nie utrzyma dla Sudermańskiego i dla swej wiernej Stolicy apostolskiej, gdy tam już dyssydenci tak się wzmogli, że dyssydentami niemal katolicy byli, bo się ich liczba codzień zmniejszała, Zygmunt zaś przy papieżu stał i choć dyssydentów prześladować nie myślał, sam wraz z władzą swą, panującą religią chciał w sobie reprezentować. Słowem katolicką Szwecyę mieć chciał, gdy ona już się wyzwoloną czuła.

Następne lata aż do wyprawy nowej na Wołoszczyznę, Bajbuza się nie ruszał z Nadstyrza, najdalej tylko do Łucka niekiedy i do Ostroga czyniąc wycieczki, albo Dubno odwiedzając dla zjazdów i narad ziemiańskich.

Pilno jednak się przysłuchiwał temu, co wkoło się działo.

Okryła w tych czasach żałobą dwór śmierć królowej Anny, której wielu żałowało, a Zygmunt niepokieszonym był po niej. Zostawiła mu po sobie potomka, królewicza Władysława.

Bardzo jakoś wkrótce, a zawczasu po zgonie jej, zaczęto prorokować, iż król, będący jeszcze w sile wieku, o drugą żonę starać się będzie.

Z tych lat kilku upłynionych, a nawet z wyprawy na Wołoszczyznę powtórnej, żadnych notat nie pozostawił Bajbuza, albo też one zatraczone zostały.

W wielkiej księdze karty próżne albo listami cudzemi zajęte i dat kilka luźnych, których znaczenia odgadnąć trudno.

Szczególniej tyczące się spraw hetmana diaryusze i listy skrętnie tu są zapisywane, do których Bajbuza na marginesach swą cześć i uwielbienie dla Zamojskiego nieustannie powtarzał.

— „Nie miała dotąd Polska—pisał—męża jemu równego, chyba w tych zamierzonych czasach, o których my tak mało wiemy, że ich mężów i bohaterów mierzyć nie zdołamy; a niełatwo i u obcych się znaleźć, którzyby i piórem a umysłem i orężem a rycerstwem razem połączonemi zrównał jemu. Nie wiem nawet, co wyżej w nim cenić: enoty wodza czy rozum statysty. Los nasz chciał, aby po śmierci Stefana, pod berłem, które więcej się go lękało, niż mu posilkowało, żyć i walczyć musiał.

„Zamiast więc wspólnie iść, myślą zgodną, król a hetman patrzyli na się okiem nieufnem—pierwszy zazdroszcząc sławy i potęgi, drugi lękając i nie pokładając ufności w panu. Raz rzucone podejrzenie

o frymarki, a zbliżenie się potem do rakuzkiego dworu, w oczach narodu królowi szkodziło i serca mu odbierało. Czując, że miłości pozyskać nie może, król też kochać nie umiał. Wiedział dobrze Zamojski, iż są niezatarte wspomnienia, których okupić trudno. Pierwsze kroki zwicznęły całe owo panowanie.

O zwycięztwach Zamojskiego w Infantach nie zapisano też nic prawie, także nie pewną jest rzeczą, czy rotmistrz w nich uczestniczył, ale z wierności jego dla hetmana wnosząc, domyslać się godzi, iż mu towarzyszyć mnsiał.

Na dworze tryumfy te zamiast wdzięczności, zazdrość i coraz żywszą niechęć obudzały.

Przyszło do tego, iż śmiano posądzać Zamojskiego o podbudzanie tych buntów, które uśmierzał. Król się nie tał z odrazą swą, ze wstrętem nie tylko dla tych wszystkich, którzy z nim trzymali, przy nim stali, albo nawet tylko jego czyny wynosili.

Każda wygrana bitwa zdawała mu się przysparzać na dworze wrogów. A że usłudni o tem donosili hetmanowi, zniechęcony nareszcie i znudzony, zdał dowództwo i już chory powrócił do Zamościa.

Nie wiek podeszły, bo nad lat sześćdziesiąt i trzy nie liczył, ale niepokój i walki nieustanne nakoniec i tego olbrzyma złamały.

Powiadano, że zarówno o los kraju, jak o przyszłość syna niepokojąc się, obojga nie wiedział komu powierzyć. Opiekę wreszcie nad małoletnim Tomaszem zapowiadał złać na Mikołaja Zebrzydowskiego, który coraz więcej u niego wziętości i zaufania zyskiwał. Energią też i mocą charakteru, a zupełnem oddaniem się Zamojskiemu zasługiwał na nie.

Na jakiś czas ukolysane niechęci przeciwko królowi odezwały się jako odpowiedź na krzywdę hetmanowi wyrządzoną. Dwór obwiniał Zamojskiego, jego stronnictwo powstało znowu przeciwko Zygmuntowi, rakuszanom i praktykom. Przyłączyli się do niego dyssydenci, których lekceważono i garść wyznawców

wschodniego obrządku, która na unią z kościołem rzymskim godzić się nie chciała. Na czele ich stał znakomity rodem, bogactwem i osobistemi przymiotami kniaź Ostrogski. Zamojski znalazł się w ten sposób po stronie różnowierców, chociaż gorliwy katolik i razem z Batorym niegdyś Jezuitów opiekun, których kilka kolegów założył z nim i akademię wileńską im powierzył.

Teraz stał w imię wolności sumienia i paktów zapewniających ją po stronie królowi nienawistnej, zmuszony po tylu bojach i zwycięztwach toczyć walkę nową ze sprzymierzeńcami, których raczej znośli niż pożądał. Dyssydenci nadawali temu obozowi charakter i barwę, która Zamojskiemu miłą i sympatyczną być nie mogła. Zastępca przyszedłszy jego i spadkobierca Mikołaj Zebrzydowski, wszystko co hetman zamyslał i osnuł rozwijając i posuwając z siłą niepohamowaną i przesadą niebezpieczną, zapowiadał temu obozowi koleje ciężkie i nieprzejednaną walkę.

Zamojski umiał się utrzymać na stanowisku umiarkowaniem i pośrednictwem, Zebrzydowskiemu popędliwość i zuchwalstwo wydawały się dowodem siły. Stary hetman hamować go musiał uśmiechając się i sądząc, że ten zbytek siły w Zebrzydowskim z czasem przyszedłszy do równowagi, wyrobi w nim męską przyszłości, godnego zastępcę po nim.

Pod takimi wróżbami miał się sejm r. 1603 rozpocząć, na który gotowano się już warezając i odgrazając się. Zażegnane burze powracały, a król raz je przebywszy szczęśliwie, miał nadzieję, że i teraz spełnie wszystko na pogrózkach.

Bajbuza, którego spoczynek już nużył, powołany listem, rozkazał swojemu dworowi też w podróż na sejm się gotować. Szczypior miał mu towarzyszyć. Wiadomości z Zamościa przybywające zapowiadały, że walka będzie żywą i gorącą.

VII.

Sejm już się rozpoczynał w Krakowie, natychmiast po godach.

Miasto było pełne i tłumem niespokojnym nabi-te. Zamojskiego oczekiwano jeszcze, leżał chory w Proszowicach, na otwarcie przybyć nie mogąc. Niektórzy z panów należących do przeciwników króla i dworu z ogromnym przepychem i tłumem pocz-tami się ściągali. Pomiedzy tymi odznaczał się Aleksander książę Ostrogski, głowa rusinów, którzy połą-czyć się z katolikami nie chcieli. Wieść naprzód głu-cha, później coraz dobitniejsza krążyła o tem, że król po śmierci żony Anny miał poślubić rodzoną jej siostrę Konstancję.

Wiadomem było powszechnie, że kościół ślu-bów z siostrami rodzonemi zabraniał stanowczo i uwa-żał je za kazirodce. Rzym mógł z łatwością roz-grzeszyć i dopuścić wyjątku, ale zamiar ten nadto nieprzyjaciółom króla, dobrego przeciwko niemu do-starczał oręża, aby go natychmiast nie pochwycono. Wrzawa powstała niewypowiedziana.

Małżeństwo to zakazane mogło nietylko na kró-la, ale na królestwo sprowadzić pomstę Bożą i nie-błogosławieństwo. Dozwolone nawet nie było godzi-wem, kraj cały był przeciwko niemu. Tylko zakon stojący u tronu milczał, ale szeptał, że Rzym miał prawo wiązania i rozwiązywania. Błogosławieństwo papieża było błogosławieństwem Boga. Ponieważ raz już o żonę z domu rakuzkiego król wyszedł z walki zwycięzko, spodziewał się i teraz przy swo-jem utrzymać.

Trochę stęskniony za gorętszem życiem, rot-mistrz wpadł tu jak w kipiątek, miał podostatkiem hałasu, sporu, narad i okrzyków.

Kaliński zjawił się natychmiast do niego, cho-ciaż wiedział, że Bajbuza już stanowczo ze dworem wziął rozbrat i stał przy hetmanie. Ale to nie prze-szkadzało komornikowi królowej wdowy, stałej mu dochowywać przyjaźni.

Bajbuza uściskał go śmiejąc się.

— Wojenny człek—zawołał do niego—stawia się na sejm pomimo to, jak do szeregu, bo na nim przyjdzie do walki. Cóż król? żeni się!

Kaliński nie radhy był mówić o tem, spuścił oczy.

— Być może.

— Z rakuszanką! z rodzoną siostrą nieboszczki królowej—wtrącił Bajbuza—ależ pobożnym jest, ko-ściółowi posłusznym. Księżniczek dosyć po świecie, coś za grzeszne zamilowanie dla rakuzkiego domu.

Kaliński niechętny rozpowiadać, niechętny się sprzeczać, skrzywił się i nie odpowiadał.

— Hetman już jest? spytał Bajbuza.

— Spodziewają się go, leży w Proszowicach chory—odparł Kaliński cicho.

Przyniesiono wina, przybyły częstował nie po-przestając badać i pytać. Dworak też wkrótce pod wpływem i napoju i rozmowy ożywionej, stał się otwartym.

— Hetman—rzekł—jużby też powinien spocząć nieco. Nawet gdy przy królu niema, czuć wszę-dzie, cięży nad nami, rozkazuje, chce rozporządzać. Oto i teraz marszałkowstwo po Zebrzydowskim, hetman chce aby oddano Wolskiemu nadwornemu marszałko-wi, albo wojewodzie lubelskiemu, aby miał swoich u boku pana; ale dlatego samego, iż on nalega, dziś król je konferował Zygmuntowi Myszkowskiemu.

Z uśmiechem radośnym po odniesionem zwy-cięztwie tem, Kaliński spojrzał na Bajbuze.

— Król musi być swobodnym. Tylicki się wy-mawia chorobą od oddania laski—dodał—myśli że doczeka hetmana, a hetman to przerobi, ale król ka-zał mu powiedzieć, nie zdasz mu natychmiast laski,

ja ją sam z tronu oddam Myszkowskiemu. Tylicki usłuchać musi.

Zatarł ręce Kaliński.

— A sądzisz że to dobrem jest, gdy król staro naszego bohatera, którego szanuje naród cały, podrażni?

— Król powinien okazać że królem jest, i że nikomu podlegać nie chce—dodał Kaliński.

— Mogę ci to tylko powiedzieć — wtrącił rotmistrz — że się wszyscy skupią około Zamojskiego, tem ochotniej, gdy go ujrzą pokrzywdzonym i odpychanym. Król sobie gotuje dużo goryczy, a właśnie teraz, gdy małżeństwo wyjdzie na stół, nieprzyjaciele nie w porę.

— My się ich nie boimy! — butnie odparł Kaliński.

To zaufanie w sobie poniekąd otwarcie sejmu usprawiedliwiło. Odbyło się ono spokojnie, ale na wstępie Myszkowski biskup krakowski w senacie, Krzycki w izbie poselskiej podnieśli ogromne zasługi hetmana i jego tryumfy w Inflantach.

Kaliński, który codzień po sesyi przychodził do rotmistrza, zaczynał tracić tę gęstą minę, z jaką wprzód występował.

Na zamku, w mieście, zaczynały się ucierać wrogie sobie żywioły. To co otaczało króla, na każdym kroku stawało przeciwko burzliwej szlachcie, a rycerstwo na zamku, nie zważając na majestat, gospodarowało hałaśliwie jak w domu.

Z rozkazu króla, dla powstrzymania tłumów, które z wrawą i tumultami wtargnęły na dziedzińce zamkowe, towarzysząc to Ostrogskiemu, to Zebrzydowskiemu, zaciągnięto łańcuch żelazny we wrotach, tak, aby wozy, konie i jezdni otaczając senatorów nazewnątrż pozostać musieli. Ludzie księcia Aleksandra łańcuch ten jednego dnia rozerwali i pokruszyli, i z większą jeszcze wrawą pod okna królewskie wpadli.

Kaliński mówił o tem pocichu, utrzymując, że ukarani być muszą zuchwali, a nazajutrz łańcuch mocniejszy jeszcze zaciągnięty zostanie.

— Król nie ustąpi!—dodał.

— A co będzie gdy powtórę łańcuch porąbią?— spytał Bajbuza.

— Nie może to być — rzekł dworzanin — nie śmieją.

Wieczorem jednak o łańcuchu mowy nie było, gdyż w istocie służba księcia Aleksandra natychmiast go zrabowała i zniszczyła, a kniaź na zamek wjechał jak zwykle z całą swą czeredą.

Na posiedzeniach dyssydenci tak samo zuchwale poczęli się rzucać na duchowieństwo. Obóz Ostrogskiego wraz z nimi nie dopuszczał nie postanowić, domagając się naprzód naprawy swych krzywd i zabezpieczenia swobód.

Z izby poselskiej wpadali kupami różnowiercy do senatu, aby mu w oczy rzucać wymówkami i groźbami. Duchowieństwo wystawione było na obejście się obelżywe i bez poszanowania. W ulicach, po gospodach rozprawiano o projektowaniu małżeństwie króla namiętnie, z goryczą i niechęcią.

W senacie Zamojski wystąpił przeciwko temu związkowi stanowczo, silnie, tem mocniej mu się sprzeciwiając, że szło o nowy związek z tym domem rakuzkim, który małżeństwami nabywał kraje i na nie rachował. Ogromna większość potakiwała hetmanowi, a król nie znalazł dość przyjaciół, aby się skutecznie oprzeć temu prądowi. Sejm schodził na systematycznym oporze przeciwko wszystkim uchwałom.

Rotmistrz, który osobiście nigdy się nie dawał pociągnąć, niechęcią lub przyjaźnią, gdzie o rzecz publiczną chodziło, był milczący i niepewien siebie.

Codzień chodził do hetmana, do Urowieckiego, a nawet do Zebrzydowskiego, do którego się zbliżył, aby się nauczyć czegoś, a zniechęcał tem, że osobiste wstręty i związki spotykał wszędzie. Nie wszczynął

sporów, ale się marszczył. Bądź co bądź, w jego przekonaniu król był winien głównie.

Niespokojny w sumieniu, niepewien czy się nie myli w swych sądach, nieszczęśliwy Bajbuza błdził od jednej gromadki ludzi do drugiej, słuchał, ważył, rozpytywał i gniewał się sam na siebie, że stanowczego sądu wydać nie mógł o tem co się działo.

— Mój Szczypiorze—mawiał wieczorem powracając do domu i rozdzielając się, aby spocząć—wieszysz mnie ciągle nasępionym i zbiedzonym, ale jakże nie mam takim być?

Króla bym rad miłować i szanować, nie mogę; hetmana częściej i poważam, a i ten mi czasem się nie podoba i razi.

Bodaj to wprost żołnierzem być, na chorągiew patrzeć, iść gdzie wskażą i bić się, a w innych sprawach, niepewność największa i sumienny człowiek jak w lesie.

— A! Bożeż ty mój mileńki—odparł po swojemu z litewską Szczypior—cobo wy, kochany rotmistrz, głowę sobie psowacie nad tem, jak tam ludzie pokierują sprawami rzeczypospolitej? Ja wam powiem... wierzę w Opatrzność, powiadam sobie, Pan Bóg kieruje, *fiat voluntas Tua*, i maszeruję z innymi.

Co my mamy szperać i mędrkować?

— A tak, mój Szczypior, to dobre dla ciebie, bo ty masz pocziwą naturę spokojną, a we mnie szatan jakiś ciekawości i mędrkowania bruździ. Pracuję nad sobą i męczę się.

Ot i teraz—dodał—przyszłość nam znowu gotuje konflikt nieunikniony między hetmanem a królem. Sumiennie co tu robić? za kim iść?

Szczypior śmiał się łagodnie.

— Rotmistrzyku ty mój—rzekł—a toż idziesz bo zawsze z Zamojskim, więc pocóż zmieniać? Nie żałowałeś tego, żeś się mu dał pociągnąć. Zatem co głowę łamać?

Bajbuza ciężko stęknął.

— Szczypior mój kochany—rzekł—hetman stary i chory. Uchowaj Boże na niego nieszczęścia, nie stanie nam go, co my sieroty poradzimy?

— Przecież po nim ktoś buławę obejmie—rzekł naiwnie Szczypior—albo Zólkiewski, albo Chodkiewicz, a zatem.

— Tyś prostoduszny, mój bracie—rzekł Bajbuza.—Buławę po Zamojskim obejmie nie wiem kto, ale kto będzie jego wielkiego ducha i rozumu spadkobiercą?

Słyszałem go sam sto razy użalającego się na to, że niema ludzi już, którymby na sercu dobro ogólne leżało. Rozumiesz ty to? Chcą buławy, znaczenia, sławy, rozgłosu, ale dla rzeczypospolitej się poświęcić, jej się oddać, dla niej żyć, nad nią czuwać, tego nie umie nikt... a to umiał Zamojski!

— No, a pan wojewoda krakowski Zebrzydowski, toż to powiernik i ulubieniec hetmana.

Bajbuza pokręcił wąsem i dziwną minę nastroił.

— Takci jest, hetman go kocha, wierny mu i niemal swym spadkobiercą chce mieć. Ma mu oddać opiekę nad synem, zda mu i nad wielkimi swemi myślami dla ojczyzny opiekę... mąż jest nieustraszony, energiczny, króla się nie lęka, prawdę mówi i rzeże każdemu, wiele zalet ma, ale czy ty myślisz, że to drugi Zamojski?

— A no?—spytał Szczypior.

— To ja powiem, że nie—rzekł stanowczo rotmistrz—ja na niego patrzę, słucham, jabym w duszę jego rad przeniknąć, ale... gdzie mu do hetmana. Przy nim on świeci, bo od niego światło bierze; zgasić ono, będzie kopeć.

— No, albo ja tam wiem!—zawołał choraży.—Mnie się widzi o temby darmo nie gadać, co pomoże!

— A cóż będzie z krajem?—rzekł Bajbuza.

Na to pytanie rzucone niemal tragicznie, pocziwy Szczypior stanął naprzód z usty otwartymi, jakoby go nie rozumiał, potem się zżymnął.

— Jak mi Bóg miły, wy bo sobie szukacie tylko troski i przedziecie ją dobrowolnie. A co my poradzimy na to?

— Właśnie, że każdy z nas się powinien starać i troszczyć o to—odparł rotmistrz.

— Już chyba nie ja!—dokończył Szczypior.

Po długiej chwili jakiegoś mileżenia i dumy, Bajbuza wstał.

Szczypior sądził, że go może już te bałamutne myśli odeszły, ale rotmistrz się odezwał.

— Masz słuszość! masz słuszość, na wszelki wypadek, trzeba mieć ufność w hetmanie. Kiedy on Zebrzydowskiego swoim następcą wyznacza, czyż my mamy być rozumniejsi od niego? Nam, mnie trzeba się też zbliżyć do Zebrzydowskiego, lepiej go poznać, he?

— A no, pewnie! pewnie! — potwierdził Szczypior rad, że się raz ta dla niego nieznośna rozmowa skończy.

Z całem poszanowaniem i miłością dla Bajbuzy, zacny pan chorąży za rodzaj choroby w swym przyjacielu miał to mędrkowanie w sprawach publicznych.

— Bo to się na nie nie zdało! — mówił — a od tego oszaleć można.

Nazajutrz, wierny zawsze raz powziętej myśli, siedł już Bajbuza submitować się panu wojewodzie Zebrzydowskiemu.

Mieszkał naówczas Zebrzydowski w kamienicy przy zamku będącej i do króla należnej, w której dawniej posłów cudzoziemskich mieszczono, szczególnie takich, których na zamku samym mieć nie chciano, a w mieście ich pilnować zaopatrywać było ciężko. Trwał jeszcze naówczas starożytny zwyczaj, szczególnie względem posłów od Moskwy, od Turcyi, od Tatarów zachowywany, że ich od granicy brano na koszt króla, żywiono, prowadzono, kwatery opatrywano, a gdy przyszło do posłuchania, nawet im szaty kosztowne i futra dawano, które wdziewali na posłuchanie.

Niemal na to skarb wydawał, bo posły tatarów i turków podawali często więcej ludzi i koni, niż mieli; brali na ich utrzymanie pieniądze, a naostatek gdy poselstwo było odprawione, jeszcze znaczniejszym wszystkim podarki w pieniądzach, futrach, koniach, naczyniach srebrnych się należały.

Dom ten, który zdawna zajął był Zebrzydowski, zwał się Poselską Gospodą albo Gieldą, a królowi potrzebnym był. Posyłał więc raz i drugi, aby z niego Zebrzydowski ustąpił. Wojewoda ani myślał.

Właśnie dnia tego, gdy Bajbuza nadchodził, Zebrzydowski w ganku domu stojąc z przysłanym pisarzem i burgrabią rozmawiał zaperzony.

— Król mi tego domu pozwolił — mówił — mnie on teraz potrzebniejszy niż kiedy. O inne się pomieszczenie nie starałem, bom ufał w łaskę królewską, a tu mi nagle fora ze dwora! zapowiadacie, mnie, wojewodzie, który tu gospodarzem jestem. Król! król! ma gmachów dosyć! ja wam mówiłem i powtarzam, nie pójdę ztąd.

Burgrabia począł cicho mruczeć, że wyraźną było wolą króla, iż chciał dom ten mieć swobodnym i to rychło, bo się czasu wesela przyszłego spodziewał gości i na ten dwór rachował.

— Powiedźcie królowi, że ja go też potrzebuję — krzyknął dumnie wojewoda — a łatwiej panu o kamienicę niż mnie. Ale to wszystko sprawa pana Myszkowskiego, czuję ja w tem rękę jego. Z kamienicy nie ustąpię!

Pisarz i burgrabia pokłonili się i poszli. Zebrzydowski cały drżący powrócił z ganku do izby gościnnej, wiodąc za sobą Bajbuze.

Rad był, że miał przed kim się wylać ze swym żalem.

Rotmistrz idąc zanim mógł się domowi, o który szło, przypatrzeć. Nie wiedział dotąd, iż to była własność królewska, i wielu, tak jak on, mieli kamienicę za Zebrzydowskiego dom, tak ją nawet już zwano,

zapomniawszy, że się Gospodą poselską niegdyś zwała.

Wojewoda oddawna się w niej rozposażył, gospodarzył jak u siebie. Ściany były powybijane dla powiększenia izb, dobudowywano, przerabiano. Zebrzydowski nowe błony posprawał od czoła pomalował, ozdobił, był najpewniejszy, że tu do końca życia pozostanie.

Żądanie króla, którego podmuch przypisywał Myszkowskiemu, wpawiło go w okrutny gniew.

— Otóż to jak nas sobie ten niemiec chce pozyskać — mówił do Bajbuzy. — Wie dobrze, iż z Zamojskim trzymam, pomścić się inaczej nie może, to mi wydrzeć chce co się stało moją dożywotnią własnością. Słyszał to kto co podobnego? Jam się sobie spokojnie i ufnie rozłożył jak w domu, a oni mnie jak jakiego intruza, jak lada czeladź i służbę pędzą precz!

Alem ja tu przecie wojewodą! Nie ustąpię!

— Możebyś miłość wasza — wtrącił Bajbuza — sam o to się łagodnie z królem rozmówił?

— Ale ja łagodnie mówić nie umiem, kiedy we mnie wszystko kipi — zawołał Zebrzydowski — a potem to sprawa zauszników, a z tymi ja nie chcę mieć do czynienia.

— Więc użyćby pośrednictwa?

— Prosić i kłaniać się! ja? — przerwał wojewoda. — Nigdy w świecie. Król mi dał kamieniec, siedziałem w niej tyle lat, prawo mam. Wprost się oprę i nie ustąpię. Nie będą śmieli mnie rugować!

Widząc wielkie rozdrażnienie wojewody, który po komnacie chodził, bił pięścią o stoły i krzesła rozrzucał stojące na drodze, Bajbuza usiłował rozmowę sprowadzić na inne przedmioty, ale Zebrzydowski powracał do króla z zaciętością.

— Wypowiada nam wojnę — wołał — my mu taką odpowiemy, że ją popamięta. Czasu dosyć miał do zrobienia sobie nieprzyjaciół, a zwolenników, oprócz Jezuitów i obcych, nie ma. Właśnie w tej chwili, gdy

nas potrzebuje, abyśmy mu do ożenienia tego nie przeszkadzali, drażni i jątrzy. Zobaczymy co z tego wyniknie.

Cały kraj przeciwko temu małżeństwu oburzony. Nie dopuścimy go! Katolicy, dyssydenci, grecy, wszyscyśmy zgodni, że to małżeństwo występne, grzeszne, kazirodce.

Wojewoda wybuchał tak ciągle.

— Jedź, mój rotmistrzu — rzekł w końcu — rozgłoś co się to dzieje. Pana wojewodę krakowskiego król JMci z nadanego mu mieszkania ruguj! Niech ludzie sądzą. Nie ja, ale dostojęństwo moje dotknięte jest, w imię jego nie mogę ustąpić.

Jakie potem, gdy Zebrzydowski się z hetmanem naradził, wypadło postanowienie, Bajbuza nie wiedział.

Przez dni kilka nie spotykał się ani z hetmanem, który chory leżał, ani z Zebrzydowskim, ale go w końcu ciekawość wzięła dowiedzieć się na czym się to wszystko skończy i po tygodniu wstąpił do Gospody poselskiej. Było to w rannej godzinie. W bramie spotkał burgrabiego, który szedł powolnym krokiem ku kamienicy, z wielce zafrasowaną twarzą.

— Czołem.

— Czołem,

— Znowu tu waszmość do pana wojewody? — zapytał rotmistrz.

— Jak widzicie — westchnął burgrabia, podżyły człek, flegmatyk, który nie lubił się ujadać, a że powolnym był, chętnie się nim posługiwano i popychano. — Jak widzicie, idę po szósty czy po siódmy raz słuchać łajania i odgrózek pana wojewody, choć posłem tylko jestem. Wojewoda ustąpić nie chce, a król mocno zagniewany... Dziś mi kazano ostatecznie oświadczyć, że taka jest niezmienna wola królewska.

Burgrabia się poskrobał w głowę.

Wyprowadził go rotmistrz do pokojów Zebrzy-

dowskiego, którego zastał już i tak rozjątrzoną na ks. Tarnowskiego za jakąś winę, jemu przypisywaną.

Gdy mu oznajmiono burgrabiego, poskoczył wściekle.

— Tego już nadto! — krzyknął. — Puście go tu! Wszedł nieśmiałym krokiem stary urzędnik zamkowy.

— Co mi waćpan powiesz? — zawołał Zebrzydowski postępując ku niemu.

— Miłościwy panie, mnie nie winujcie, ja to niosę, co mi dają. Król JMość sam oświadczyć kazał raz jeszcze, iż kamienicy tej potrzebuje i prosi a domaga się, abyście ją w jak najprędszym czasie opuścili i opróżnili.

Wola ta i wyrok na żaden sposób zmienić się nie może, kazano mi to oznajmić i powiedzieć.

Zebrzydowski bladł, czerwieniał się, patrzył po otaczającym dworze i przyjaciółach, myślał...

— Dobrze! wyniosę się z kamienicy, wyniosę, ale niech król patrzy, aby się za to z królestwa onego nie wynióś!

Sluchający zdrętwieli, sam wojewoda żałował może wyrazów, które mu gniew na usta wyrzucił, ale ich już cofnąć nie mógł.

Burgrabia rad, że usłyszał przyrzeczenie wyniesienia się, nie odpowiadając nic, pokłonił się tylko, zawrócił i wyszedł.

Zebrzydowski głosem wrzącym od gniewu wołał marszałka dworu.

— Maczusi — wołał — precz ztąd pędzą pana wojewodę krakowskiego, rozumiesz. Natychmiast mi się wynosić, nie prosim o fryszt, bodaj w ulicę wyrzucić wszystko, ale ani ćwieczka im mojego nie zostawić. Blony moje pozabierać, com tu postawił zburzyć, posadzki kamienne moje wyrzucić precz. Król mojego nie potrzebuje, a ja się bez królewskiego obejdę.

Wnet mi się ztąd wynosić.

— Dokąd? — zapytał Maczusi nieśmiało.

— Jest dwór bratanka mojego, ja natychmiast tam jadę, znajdziemy i inne pomieszczenie. Zebrzydowski sobie pałac postawić może, stać go na to.

Konia mi dać konia.

We dworze ruszyło się wszystko, zamęt powstał. Zebrzydowski nie ochłonawszy jeszcze z gniewu, drżący wskoczył na siodło i jak nieprzytomny popędził ulicą, a czeladź nieodstępna za nim.

Przez cały dzień potem gawiedź uliczna stała dokoła kamienicy przypatrując się jak ją ludzie Zebrzydowskiego burzyli niemal. Starano się spełnić ściśle rozkazy pana i przejść nawet jego wolę gorliwością. Sywały się więc szyby, łamały drzwi, burzono ogrodzenia, a dwór niedawno jeszcze okazały, czysty, piękny, wyglądał jak pustka po najeździe nieprzyjaciela.

W takim stanie objął ją burgrabia, gdy w nocy ostatni wóz pełen desek, obdartych rynien i ladajackiego łomu z podwórza wyciągnął.

Tegoż wieczora, w maleńkiem kółku królewskim, O. Bernard składając ręce i podnosząc oczy ku niebu, pocichu opisywał jak niewdzięcznie znalazł się wojewoda względem swego dobroczyńcy i ze zgrozą powtarzał słowa jego świętokradzkiej odgródki.

— Ja się wyniosę z kamienicy, ale król się z tego królestwa wynosić będzie musiał.

Zygmunt, jak zawsze, pozostał napozór nieczułym i nie odparł ani słowa. Z tą krwią zimną, którą miał za atrybut konieczny królewskiego majestatu, znosił on wszystko w swem życiu. Nie zapomniał nigdy, ale się też gniewał i unosił tak rzadko, iż prawie go nie widywano w uniesieniu, poruszonego, a uśmiech na ustach był widocznie owocem jego woli, nie usposobienia.

Każdy ruch jego, słowo, wejrzenie było obrażające; królem nie przestawał być nigdy i może

tylko przed trybunałem pokuty czuł się na chwilę człowiekiem.

— Zebrzydowski — dodał O. Bernard — *quod Deus avertat!* niejedyn jeszcze kielich goryczy gotuje wam miłościwy panie, ale enota wasza umie każdą boleść uczynić zasługą i chwałą.

W mieście też tego wieczora niebaczna pogrożka wojewody była powtarzana i komentowana.

Znano Zebrzydowskiego energię, jego potęgę, stosunki i gwałtowność charakteru. Przyjaciele króla ubolewali nad wypadkiem, lecz raz zażądawszy oddania kamienicy, król nie mógł wydanego cofnąć rozkazu.

Stało się więc.

Ale wojna i tak się już zapowiadała, przybywał tylko jeden zuchwały bojownik do szeregu jawnie, gdy potajemnie byłby stał i tak za nimi.

Kaliński przyleciał z doniesieniem do Bajbuzy, gdy ten mu usta zamknął prostem:

— Jam tam był, słyszałem... Cóż mówią na dworze?

— Nikt się przecież pana wojewody nie ulęknie — odparł Kaliński. — Poważni ludzie litują się nad nim, iż nie umie ważyć i hamować słów swoich! Król ruszył ramionami, drudzy oburzeni. Jak sobie pościele pan wojewoda tak się wyśpi.

Bajbuza głową zaczął rzucać.

— Kaliński mój — odezwał się — bierzecie sobie lekko i człowieka i wypadek, który może później królowi siłą przyczynić frasunków. Dopóki hetman żyw, nie dopuści on wybryku żadnego, będzie prawdę mówił królowi, ale się zuchwale przeciwko niemu porywać nie da, coż gdy Zamojskiego dni policzone, jeśli się nie mylę. Chory jest, złamany, uchowaj Boże na niego śmierci, Zebrzydowski stanie w jego miejscu, a z tym niełatwa sprawa, bo w nim więcej krwi i cholery a żółci niż pomiarkowania.

— Cóż to? — zawołał Kaliński — miał król dla

fantazyi pana wojewody uleść i dom mu oddać, kiedy oto właśnie ma tyle poselstw przyjmować? Słyszałem jak O. Bernard mówił, pozwól kurze grzędy!... Byłoby tak, że po Gospodzie poselskiej, Zebrzydowski się i na zamek wnieść był gotów, a że się odgraża, to co? Odgrają się na naszego pana już od początku, a co mu zrobili? Ożenił się raz jak chciał, ożenił się i powtórę jak zechce. Będą na sejmach się burzyć i wyburzą, a król to uczyni, co mu się podobą.

— Kiedyście tak swego pewni, winszuję wam — odezwał się Bajbuza — i nie mówmy o tem więcej. Kaliński chwycił za kubek.

— I tak lepiej będzie — rzekł — mówmy o czem innem. A no! Wiecie i słyszeliście pewnie o tem, że Spytek, co się z waszą sąsiadką żenił, a pono miał z wami jakieś zajście...

— Ze mną! żadnego! — zawołał żywo rotmistrz.

— Spytek ów, pono w komitywie któregoś młodego Ostrogskiego udał się był do Włoch, a oto słyszę, z nim się poróżniwszy, w bardzo mizernym stanie przywłókł się nazad do kraju i do Krakowa.

— A co mnie on obchodzi! — zamruczał Bajbuza. — Szkoda tylko, że go włosi wypuścili.

Mówił wprawdzie rotmistrz, że go Spytek nie obchodził, lecz w istocie przykro mu było dowiedzieć się, że znowu go jejmość mieć będzie jako groźbę ciąglą nad głową swą.

Myślał jeszcze o tem, gdy następnego dnia w ulicy przed oknami dworku zjawił się Gubiata.

Przechodził się wzdłuż okien tam i sam, obdarty i oszarpany gorzej niż był w Zamościu, ale z twarzą zawsze czerwoną i minami a ruchami, jakby łamane sztuki chciał pokazywać. Zobaczywszy w oknie Bajbuzę, pokłonił mu się i stanął. Domyślił się rotmistrz, że go nie puszczano do niego i dlatego w ulicy wartę odprawiał. Zawołał Szczypiora, mając przeczucie, że Gubiata pewnie znowu coś mu o Spytku przyniesie.

— Uczyń tak, mój przyjacielu—odezwał się — aby Gubiaty nie puszczając, wszelako dali mu się wkraść do mnie. Ciekawym co ten pijanica przynosi, bo już oddawna snuje się około nas.

W pół godziny potem Gubiata niby przebojem, zdyszany wtoczył się do izby, po której rotmistrz się przechodził.

— A tyś tu znowu! — zawołał Bajbuza.

Gubiata ręce złożył.

— Rotmistrzu, widziecie—krzyknął—dla miłości waszej głowę ważę, bo mnie twa czeladź niepoczcziwa o mało nie na rohatynach nie rozniosła.

Wy sobie spokojnie siedzicie, a wróg wasz znowu czyha na zdrowie i życie miłości waszej. Spytek *redivivus* powrócił z Włoch, powiada, że go tam zieleniną karmili w lecie, więc się bał, aby zimą siana nie był zmuszony jeść. Na was on całe swe nieszczęście składa. — Ten — mówi — winien, żem z żoną zwaśniony, że u niej chleba nie mam ani kątą. Nie będę żyw, jeśli pomsty nad nim nie wywrę. Al' co gada! co gada! królu mój, uszy wiedzna słuchając! Musiałem do was przyjść i donieść, było to sprawą sumienia, a u mnie, gdy o sumienie chodzi — dodał — furda i życie. Zbiera już Spytek ludzi.

— Takich jak waszmość, Gubiato? — przerwał szydersko Bajbuza. — Czyż sądzicie, że się go zleknie?

— Pewno, że nie — zawołał litwin — ale i o najmniejszym nieprzyjacielu wiedzieć potrzeba. Mnie jak się raz prosty kleszcz w skórę wpił na karku, to go aż z nią wyrzynać było potrzeba. Dajmy, że Spytek kleszczem jest, a wpić się mu dać? musicie odboleć. Dlatego było moim obowiązkiem do was się z niebezpieczeństwem żywota dostać bodaj, i zawołać *Cave!*

Rotmistrz, którego retoryka Gubiaty zawsze do śmiechu pobudzała, uśmiechał się, a litwin któremu to pochlebiało, ciągnął dalej.

— Tak jest, zajadła sztuka ze Spytką, prawda, że jemu jak i mnie u uszczytu pomyślności straconym

być w błoto biedy i niedostatku, z onem wielkiem imieniem Spytków, które nosić musi, gdy suknie wytarte przy tem, a w żołądku burezy, niemiła to rzecz. Więc się pomścić chce, więc na was zwała ów wy-padek cały i głosi, że wy go zgubiliście.

I niechby sobie krzyczał—dodał Gubiata—wiadomo, że nie wszystkie głosy idą w niebiosy, ale Spytków Jordanów rodzina jest można, senatorska, więc choć małej odrośli swej nie da tak uschnąć marnie, albo raczej zgnić... ujmą się, będziecie mieli wrogów w nich strasznych.

Tu Gubiata oczyma rzucił badając usposobienie Bajbuzy i ciągnął dalej ostrożnie.

— Nie moja to rzecz, wam, wielki bohaterze, a panie mój, czynić refleksyę; jestem nędzną kreaturą i robakiem, ale wy trzymacie jawnie z hetmanem, o tem wszyscy wiedzą, wy chodzicie do pana wojewody krakowskiego, a do dworu nigdy, a Spytkowie właśnie około króla, więc tam wam nieprzyjaciół łatwo pomnożą.

— I co? — zapytał Bajbuza — albo ja od króla i dworu czego potrzebuje?

Gubiata zamilkł, potarł głowę i najeżył szorstkiego wąsa.

— Miłościwy panie — dodał — tego nadgniłego Spytką trzeba znać, to jest taki człowiek, co się na wszystko waży, bo nic do stracenia nie ma. Napaść, najsę, bodaj struć gotów. A któż nam i tej naszej rzeczypospolitej takiego heroicznego rycerza jak wy zastąpi?

Parsknął śmiechem Bajbuza na głos.

— No, czegoż chcesz więcej! — przerwał—jużes mnie ostrzegł, dziękuję ci, w sumieniu jesteś spokojnym.

— Tak, heroiczny panie — zawołał Gubiata — w sumieniu jestem spokojnym, ale nie w żołądku.

Uderzył się po nim.

Bajbuza T. II.

— Zredukowany wielce ten biedny żołądek — westchnął. — Nie kłamię, ale częstokroć dzień cały o surowej rzebie bez soli spędzać mi przyszło. Ofiarowałem to wprawdzie jako post Panu Bogu i różnym patronom, ale mi się nikt nie wywdzięczył.

Rotmistrz zwolna już dobywał sakwy.

— Mam litość nad wami — rzekł — ale czas mój Gubiato, abys się ustatkował, czas wielki.

— Rotmistrzu, miłościwy panie — przerwał litwin. Nikt nademnie stateczniejszym nie może być. Nie mam za co dokazywać, a we wszystkich tu browarach podły naród, ani darmo, ani na borg nie dadzą kropli. Zaś przyjaciół, którzyby mi to, co ja z nimi przepilem, odszukać nie mogę. Czas reko-lekcyi przyszedł dla nieszczęśliwego Gubiaty.

Na stole przed nim leżały już talary, które mu Bajbuza przez litość dał znowu, patrzył na nie okiem pożądlivem, ale zarazem ostrożnem.

— Serce wasze litośne jest — rzekł — ale co mnie po tej garsteczce grosza, to się pochłonie po długim poście i spragnieniu. Gdybyście miłość wasza chcieli mnie znowu do dworu swego na jurgielt wziąć, służyłbym jak... lew!

Choć z ciebie nietylko żołnierz lichy, ale ciura nawet niedobry, a no, gdy na wojnę będę iść, wezmę cię, ale tylko na wojnę.

— Ba — odparł Gubiata krzywiąc się i chowając do kieszeni talary — na wojnę! a gdzież nogi?

Tu wystawił obrzękłe swe, w butach brudnych stopy, zgrubiałe i niezgrabne.

— Około domu jeszczeby się zdał, ale na wojnę...

Głową potrząsnął. — Nogi całuję! — szepnął i wyszedł.

VII.

Z wyjazdem do domu ociągał się Bajbuza, chociaż miał już i miasta i wrzawy i niepokoju, w którym żył, dosyć. Szczypior, który go znał, widział i czuł, że w nim wewnątrz, jak on się wyrażał po prostu „robilo.”

A że w takich razach najlepiej go było samemu sobie zostawić i czekać, aż się coś urobi, nie nalegał ani na wyjazd, ani na żadne stanowcze postanowienie. Słuchał go przy misce i kubku roztrząsającego, czy lepiej było iść do Inflant z Chodkiewiczem, czy wracać do Nadstyrza i czekać, ażby hetman pozdrowiał a zaważwał go do siebie, bo nie wątpił, że Zamojski jeszcze w pole wyciągnie.

Kusiła go mocno walka z Sudermańskim, której już raz zakosztował.

— Tambyśmy my, mój Szczypiorze, zdali się Chodkiewiczowi — mówił. — Wódz to dzielny, prawda, że ogniście popędliwy, ale w wodzu czasem i to nie szkodzi.

Patrzył potem w oczy Szczypiorowi, jakby czekał, aż ten mu powie.

— A no, idźmy do Inflant — ale chorąży sobie dał słowo, że się biernie zachowa.

— Iśćby do Inflant? — powtarzał potem w kilka godzin — he?

— Jeżeli chcecie? czemu nie? — mruczał Szczypior.

— A tobie jak się zdaje?

— Ja pójdę zawsze gdzie wy zechcecie?

Bajbuza milczał, chodził i tarł czuprynę.

— Ja ci się przyznam — rzekł w końcu. — Jestem podłą kreaturą w oczach własnych. Proszę ciebie;

namby koniecznie potrzeba iść na Sudermańskiego! prawda? Otóż widzisz tak mi tej kobiety żal, że ja na Spytka napaść bezbronną muszę rzucić, iż siły nie mam iść, gdzie powinność woła.

Ale gdy mnie tu nie stanie — ciągnął dalej — ten podły człek zbierze takich łotrów jak sam, gotów najechać, porwać, ograbić. Żoną jest, nikt mu słowa nie powie

Co tu począć? co tu począć...

W tej niepewności pozostał Bajbuza dni kilka. Raz pod wieczór wysunął się z dworku bez Szczypiora, obiecując zaraz powrócić. Kazał na siebie czekać z wieczera. Tymczasem nietylko pora jej nadeszła, przeszła, ale noc się zrobiła, a rotmistrza z powrotem nie było. Nigdy się nie trafiło, aby tak nie dając znać o sobie, dał się komu zbalamucić. Szczypior choć wiedział, że się bardzo o niego obawiać nie było potrzeba, zaczynał być niespokojnym.

Okolo północy zrobił się rumur okolo domu, wybiegł chorąży i z przerażeniem spostrzegł rotmistrza na noszach leżącego, krwią oblanego, którego miejscy pachołkowie niesli.

Blady był ale przytomny, i zobaczywszy Szczypiora zawołał.

— Cyt, niema o czem mówić! przypadek... Zbóje mnie w ulicy napadli dla mieszka. Pięciu na jednego, co za dziw żem ranny, a no, nie niema! Krwi mi upuścili dużo.

Mówił to z pośpiechem wielkim i obszerniej nie chciał się tłumaczyć. Szczypior posłał zaraz po doktora, a sam zajął się wygodnem umieszczeniem ranego i opatrzył ranę.

Platnięty był haniebnie przez ramię raz aż do kości, a drugą rękę miał w kilku miejscach porąbaną. W głowę też go raz cięto, ale słabo, bo skórę ledwie rozplątał zbój.

Dla Bajbuzy rany takie nie były ani nowością, ani rzeczą straszną, tym razem utrata krwi, długie

leżenie bez pomocy, gdyz z początku przytomność stracił od uderzenia w głowę, czyniło wypadek dosyć groźnym.

Stary Buccella ruszył głową, mruczał i nie był wcale spokojnym o niego. On zaś sam nadrabiał wesołym humorem i żartował sobie.

Szczypior nadewszystko się pragnął dowiedzieć, jak przyszło do tego napadu, gdzie, słowem szczegółów żądał o nim, a rotmistrz zagadywał i zbywał powtarzając.

— Głupstwo... niema mówić o czem.

Znał nadto dobrze Bajbuze, aby się tem zaspokoić; dla niego cały ten wypadek jakoś tajemniczo wyglądał, niezrozumiale właśnie dlatego, iż rotmistrz o nim mówić nie chciał.

Co gorzej, gdy na pytanie Buccelli, Szczypiora i innych potem ciekawych przyjaciół odpowiadał, płatał się, i chorąży uważał, że raz inaczej, to znowu różnie opisywał i zbójów, i napaść samą, i walkę z nimi.

Nigdy się zaś nie trafiło rotmistrzowi, aby niecałą prawdę mówił, albo ją dobrowolnie przekreślał. Musiało więc coś być w wypadku tym, co Bajbuza chciał zataić, a nie mając w tem wprawy, płatał się.

Chorąży tego nie podnosił, ale słuchał milczący i głową kręcił, wása motał.

Napaści po ulicach oddalonych od miasta wprawdzie się trafiały; było dosyć ciurów i gawiedzi różnej, ale rotmistrz nie chadzał tam, gdzie się to mogło przygodzić. Zbóje też prości, bodaj najśmielsi, na takiego olbrzyma i siłacza, dobrze uzbrojonego, nie łatwoby się porwali.

Nie mieściło się to w głowie Szczypiorowi, lecz gdy sam na sam próbował badać, Bajbuza się niecierpliwił i usta mu zamykał.

— Cóż ty u licha mnie sekujesz tą inkwizycją? — wołał — ja sam wiem dobrze jak się to stało.

Jeden mnie uderzył zaraz w ramię, drugi w łeb, oszołomił... padłem...

Najdziwniejszem zaś z tego było, że gdy wedle własnego opowiadania padł i przytomność utracił, zbójce mogli go bezkarnie obedrzeć, tymczasem ani pieniędzy, ani oręża, ani najmniejszego strzępka nie brakło.

Bajbuza to tłumaczył, że ktoś zbójów musiał spłoszyć, lecz gdyby tak było, zarazby rannego zobaczył i ratował, nie dałby mu tak długo we krwi się pławić, aż nadeszli Viertelnicy i otrzeźwiwszy go, wzięli na nosze niosąc do dworku.

Takich niejasnych w tem rzeczy było wiele. Rotmistrz na pytanie, niecierpliwie się zżymając odpowiadał.

— Nie nie pamiętam! Kat ich wie! Daj mi pokój! Szczypior w końcu doszedł do tego przekonania, że w tem tkwiła jakaś tajemnica.

Rotmistrz burdy popelnić, ani się dać w nią wciągnąć nie mógł; zresztą byłby się przyznał do śmiertelnego grzechu, gdyby w tem coś do ukrywania w interesie cudzym nie było.

Rany doprowadzały go do rozpaczyny nie dla bólu i niebezpieczeństwa, na jakie narazić mogły, ale że powstrzymywały go w chwili, gdy, jak powiadał, gotowym już był na wyprawę infancką.

— A tu! nim człowiek wydobrzeje—wołał—oni tam Sudermańskiego zbija, i ja z łyżką po obiedzie bym chyba przyszedł.

Klął tedy a Szczypior mu dopomagał.

Jak skoro rany cokolwiek się zablizniać poczęły i opatrywanie ich już umiejętnej ręki balwierzy nie potrzebowało, natychmiast kazał rotmistrz do drogi się sposobić.

— Ja w Nadstyrze prędzej wyzdrowieję, mnie tam samo powietrze uleczy, kup łada brożek lub kot-cze, połóżcie mnie i wieście. Zlituj się.

Uparł się tak przy swoim, napierając się domu,

że się mu sprzeciwiać nie było można. Szczypior nawet wołał go ztąd wywieźć, bo nadchodzili ciągle znajomi, a opowiadając o tem, co się w kraju działo, drażnili go.

Wszyscy byli przeciwko królewskiemu małżeństwu z austriaczką Konstancją; chcieli mu się opierać siłą, wrzało więc ciągle, a że Zamojski był też przeciwny, doebodziło do tego, iż książę Ostrogski Janusz, kasztelan krakowski, pisał do Zamojskiego i mówił publicznie.

— Jeżeli się hetmanowi tak zdawać będzie, całą szlachtę wsadzę na koń i nie dopuszczę raku-szance przystępu do kraju!

Hamować musiał hetman.

Gorączkował się i chory słuchając tych rozpraw; lepiej więc było dla niego z tego zamętu go wziąć, aby spokoju zażył.

Wyruszono tedy, ale podróż, a raczej pochód to był jakby żałobny. Wlec się musiał po złych drogach noga za nogą; chory ciągle jeszcze uspokoić się nie mógł. Szczypior prawie nieodstępnie lub szedł przed nim albo z nim jechał. Po drodze zaś gdzie kogo spotkali, zatrzymywano, trzeba się było tłumaczyć, rozpowiadać.

Po tych śmiertelnych nudach w ostatku dowlekli się jakoś do Nadstyrza, gdzie już na nich oczekiwano.

Co żyło wybiegło przeciwko ukochanemu panu, nawet staruszcza o kiju.

A płakali widząc go tak wybladłego i osłabłego, ale on się śmiał i radował.

— Już co tam Bóg da, to da, aby w domu, na swem gnieździe—wołał—tu człowiek inaczej oddycha, mnie się zaraz polepszy.

Jednakże ta nadzieja nieraz się spełniła. Po długiej podróży choremu było gorzej i musiał leżeć a odpoczywać, odżywiając się rosolkami Leszczakowskiej.

Wszyscy domownicy służyli mu z tą miłością,

jaką natchnąć im umiał. Jeśli nie Szczypior, zawsze albo ks. Rabski lub z biedy Rożek i Przygodzki się dzieli na posłudze, bawiąc go jak umieli.

Na gościach też nie zbywało, ale jednym, którego się wcale nie spodziewał ani on, ani nikt, była Spytkowa, która pod pozorem, iż do Leszczakowskiej przybyła, zajechała do dworu w Nadstyrzu. Gdy mu o tem powiedziano, Bajbuza gwałtem chciał odziać się, choć na nogach utrzy- ać nie mógł, a Szczypior ledwie wymógł, że się okrywszy opończą, kazał pod ręce wyprowadzić do niej. Lecz nim się dźwignął, Spytkowa zawiadomiona we drzwiach już stała.

— Proszę—rzekła—od łoża ani kroku. Przybyłam tylko widzieć was na oczy własne i przekonać się o zdrowiu. Wiem, że odwiedziny dla chorego nie wczesne, ale wytrwać nie mogłam.

Rotmistrz coś bełkotał, rękę przyłożywszy do serca.

Spytkowa przystąpiła kilka kroków, usiadła, uśmiechnęła mu się, starała go ożywić i wlać otuchę.

Prawdziwie też czarodziejsko podziałały te odwiedziny.

— A! królowo moja — wołał Bajbuza — gdyby mnie dziesięćkroć srożej raniono, czyżby mi dzisiaj- szy dowód waszego dobrego serca dla mnie nie był setną nagrodą? Krwi nie żałuję.

Próbowała Spytkowa rozpytywać o wypadek, ale się strasznie zmieształ, i to co jej powiedział wcale nie objaśniło o nim.

Zabawiwszy chwilę, jejmość podała mu rękę i odjechała nazad, ale po sobie zostawiła wrażenie takie, iż Bajbuzy trudno było poznać.

Odżył, nawet o straconych dla siebie Infantach zapomniał, choć one mu na sercu leżały.

Było to właśnie pod ten czas, gdy listy i gońce o zwycięztwie odniesione pod Kirchholmem wieść przyniosły.

Lzy się toczyły rotmistrzowi, gdy czytał pismo owego Krajewskiego z chorągwi Niewiarowskiego,

którego dobrze znał, a co go Sudermański w niewolę wzięwszy, badał o polaków i wierzyć mu nie chciał.

Przyniesiono potem opis bitwy pod Kirchholmem. Cóż to była za rodość i zazdrość względem tych, co w niej uczestniczyć mogli.

— Zbójeom, co mnie zrabali, krew moją daruję—wołał Bajbuza—ale tego, iż mnie rozbroili i bezczynnym uczynili, nigdy!

Powoli jednak od tego dnia, gdy go Spytkowa nawiedziła, poczał Bajbuza coraz żywiej przychodzić do siebie. Szczypior codzień Leszczakowskiej donosząc jak spał, co mówił, jak się czuł chory, dodawał teraz.

— Już mi się tak widziało, jakby życia rotmistrzowi miało się odebrać, ale widzę, że znówu żywiej się porusza, i ma nadzieję wprędce siły odzyskać.

O ranach niema co i mówić; zdrowe ciało, to się goją w oczach niemal, choć ciężkie były.

Przywieziono z Krakowa osobiłwy i zalecony bardzo balsam gojący, którego użycie przyczyniło się także do prędszego wyleczenia. Jedno tylko ciężcie przez ramię głębokie bardzo, jeszcze się całkiem nie zamknęło, ale rana coraz zmniejszała.

Bajbuza się niecierpliwił przy codziennem opatrywaniu, znajdując, że nigdy jeszcze tak się opieszale nie zabliźniały rany jak teraz.—Wieku to winna!—mówił wzdychając.

Sejm pod ten czas miał być zwołany na początek następnego roku do Warszawy, a rotmistrzowi stęsknionemu za ludźmi i za publicznymi sprawami, do których zawsze czuł pociąg, chciało się koniecznie na nim znajdować. Zapowiadał on się burzliwszym jeszcze niż poprzedzające z powodu małżeństwa królewskiego i buty szlacheckiej, która wyrosła znacznie w ostatnich czasach. Pomiędzy pospolitem rycerstwem a panami i senatorami, co dawniej się nigdy nie dało czuć, rozdział się tworzył i dwa obozy przeciwnie. Dotąd bowiem jedno w rzeczypospolitej szla-

cheetwo było, a w niem stopnie dawała tylko zasługę pojedynczym ludziom. Nie było dostojęństw dziedzicznych i tytułów żadnych. Panowie zaś, którzy jeżdżąc po krajach obcych napatrzili się i nasłuchali różnych zaszczytów zagranicznych, grafów, margrafów, baronów, książąt, naśladować to chcieli w Polsce i od cesarzów i królów wyjednywali sobie różne denominacje, których w domu też zażywać próbowali. Tak Myszkowscy od Gonzagów sobie ich nazwisko i tytuł wyprosilili, a drudzy, jak Radziwiłłowie, mieli je od cesarzów. Szlachta na tę inowację niechętnem okiem patrzyła i opierała się jej jako nowemu stan w rzeczypospolitej stworzyć mogącej.

Ztąd na ostatnich sejmach już coraz dobitniej między izbami senatorską a poselską czuć się dawał antagonizm, nienówność, wypowiedziana niemal walka. Panowie się więcej około tronu i króla skupiali, szlachta przy hetmanie, Zebrzydowskim i przeciwnikach rakuzkich praktyk i związków.

Zamojski głosił otwarcie niebezpieczeństwo podziału szlacheckiego stanu na magnatów tytułowanych i prosty gmin herbowny. Liczbą czując się silniejszą, szlachta przygotowana była bodaj tłumnie i gromadnie swoich praw dochodzić, a nowych przywilejów nie dopuścić, czując, to, że magnaci *absolutum dominium* popierać będą.

Listy, które od Urowieckiego czasem odbierał Bajbuza, zachęcały też, aby na sejm następny zjechał do Warszawy. Rotmistrz pisał, iż Zamojski na zdrowiu czuł się coraz gorzej i w dniu urodzin swych kończąc rok sześćdziesiąty trzeci życia, gdy mu winoszowano, iż szczęśliwie klimakteryczne lato przebył, odparł wzdychając.

— Po sześćdziesięciu i trzech leciech, każdy rok klimakteryczny.

Pragnął więc mocno Bajbuza, choć o tyle się wygoić, aby móżdż do Warszawy zjechać dla przysłuchania się narodowi. Szczypior był temu przeciwnym.

— Ledwieście wypoczęli i wydobrzelili po ramach—mówił do niego—już was tam coś ciągnie, aby się znowu zburzyć, zmęczyć i nadaremnie nagniewać na sejmie. Nie pomożecie tam nic, a ucierpicie siłą. Rotmistrz nie dawał sobie mówić tego.

— Szczypiorze ty mój — wołał — chcesz mnie tu uwędzić w Nadstyrzu, ale ja ruchu i życia potrzebuję, dajże mi, kiedym bezczynny, choć posłuchać jak drudzy pracują, a wreszcie i hetmana starego zobaczyć a pokłonić mu się. Urowiecki pisze, iż postarzał bardzo, posmutniał; kto wie jak długo pożyje. Zawsze na mnie łaskaw był, rad mnie widywał, chciałbym u jego boku jeszcze na tym sejmie stanąć. Niech ludzie widzą, że przyjaciel ma, którzy go nie odstępują.

Zaczęto się więc zawczasu do Warszawy spsobić, posłano dwór nająć, poszły przodem wozy ze spiżarnią i obrokami dla koni, bo czasu pobytu rotmistrza swój szlachecki dom trzymał otwartym. W ostatku i Bajbuza dla siebie dzień odjazdu naznaczył, ale wprzód jeszcze pojechał pożegnać Spytkową.

Przyjęła go jejmość tak uprzejmie i serdecznie jak zwykle, i choć się nie spodziewała go wstrzymać, próbowała mu podróż tę odradzić.

— Zaledwieście siły odzyskali—mówiła—a już znowu się narażać chcecie na stratę ich, bo sejm was zmęczy.

— Tęskno mi do hetmana—odparł rotmistrz—chcę go widzieć koniecznie, a i ten konflikt z królem o małżeństwie jak się rozwiąże, dobrze zbliżka widzieć i słyszeć.

Rozśmiała się Spytkowa.

— Was bo—rzekła—nie od zajęcia sprawami publicznymi nie odciągnie, do nich byliście stworzeni. Domowego szczęścia cichego nigdy by wam nie było dosyć.

— Nie miałem go nigdy—odparł Bajbuza—ani o niem marzyłem. Jako żołnierz musiałem być zaw-

sze gotowym się na koń, więc z moim losem niczyich wiązać nie chciałem. Życia tak znaczniejsza część upłynęła, a dziś jam już stary! Czemuś jednak żyć potrzeba i człowiek się żywi sprawą ogólną, gdy własnej mu braknie.

— Wracajcież rychło — przy pożegnaniu eicho dodała Spytkowa — wszyscy my tu na was niecierpliwie i tęskno oczekiwać będziemy, a ja o sobie nie mówię, bo wyście mi jednym opiekunem na świecie.

Lzy jej w oczach błysnęły, rotmistrz do ręki się pochylił, ucałował ją i umknął coby prędzej.

Podróż do Warszawy w porze chłodnej przy zmiennem powietrzu nie była wygodną, ani pośpieszną, ale Bajbuzie ruch i czynniejsze życie przywróciły trochę dawnego rycerskiego ducha i humoru.

Po drodze mało nie na każdym popasie i noclegu spotykali się ze szlachtą tłumnie na sejm ciągnącą, a bardzo niechętnie dla króla i dworu usposobioną. Narzekano też na panów senatorów, iż posłom na poprzedzających już sejmach wszelką władzę prawodawczą wydrzeć usiłowali, izbie poselskiej głos odejmowali, sami rozstrzygać wszystko pragnęli. Zachęcano się do czynnego oporu, spodziewając wodzów w Zamojskim i Zebrzydowskim.

W samej Warszawie jeszcze burzliwiej wrzało wszystko i miotano się, a oczy były na Zamojskiego zwrócone. Przybywał on, ale gdy go raz pierwszy zobaczył rotmistrz, uląkł się i serce mu się ścisnęło. Nie ten już był człowiek co przedtem; na twarzy i w mowie czuć było znużenie żywotem, a gdy o przyszłości mowa przychodziła, oglądał się na Zebrzydowskiego, jakby mu ją chciał powierzyć.

W początkach zaraz pomiędzy posłami a senatorami przyszło do sporów, cisnęli się posłowie do izby, nie dawano im miejsca, odszychali się więc i osobno naradzać chcieli.

Raziły ubogą szlachtę dwory panów, z którymi

na sejm zjeżdżali, jak Sieniawski, który oprócz dworu i przyjaciół, stu hussarów prowadził jak na wojnę.

Wystąpił zaraz Zamojski z mową o sprawach rzeczypospolitej, w której nikogo nie oszczędzał, ani króla, ani opieszalej szlachty, która na obronę kraju nie tak gorliwie śpieszyła jak była powinna.

Mówił hetman przeciw rozłożonej karności wojskowej i związku, wspominał o sprawie tytułów cudzoziemskich, i chociaż na niego samego kładziono tę potwarz, iż się dla siebie i syna o tytuł książęcy starał, otwarcie rzekł, zapierając się tego.

— „Co do mnie, wolę z tą całą bracią moją równą wolności zażywać, jakoż, daj Bóg i najmniejszego szlachcica równym sobie kładę we wszystkim. Z tej to nierówności pochodzi *luxus*, każdy bowiem puie się i chce się jak najhojniej okazać“.

Tknął wreszcie owego nieszczęsnego małżeństwa króla z rakuszką i rzekł otwarcie: „Zamysł W. Król. Mości żenienia się z siostrą nieboszczki s. p. królowej polskiej, wcale mi się nie zda. Przez ożenienie dom rakuzki poujarzmał królestw tyle; nadto, jestto obrzydliwe, zakazane od Boga, a wiesz W. Król. Mość, że Pan Bóg za grzechy królów, zwykł lud wszystek karać. Z miejsca więc mego i sumieniem senatorskiem nie pozwalam na to i przeczę.“

A że i to na króla kładziono, że za życia swego miał zamiar królewicza Władysława koronować, napomknął hetman, iż toby monarchię na dziedziczną zmieniło i pozwolić też na to nie godziło się.

— „Nie mnie korona syna W. Król. Mości — dodał — ale dwie rzeczy potrzeba po temu. Daj mu W. Kr. M. przystojne wychowanie, wyjmij go z pod opieki kobiet. Druga rzecz potrzebna, aby cudzoziemcy byli od wychowania królewicza oddaleni.“

Z otwartością potem zarzucał hetman królowi, że obietnicę narodowi uczynionych nie spełnił, zamków na Ukrainie nie wznosił, innych nie poprawiał, a sam otaczał się cudzoziemcami, szwedami, niemca-

mi, hiszpanami i radą młodą, której się dawał powodować, potajemnie korespondując z cudzoziemskimi monarchami.

„Z pokojów swoich królewskich tajemne listy posyłać raczysz—mówił—do innych krain, przez cudzoziemce targujesz, albo pono sprzedajesz nas W. Kr. Mość, a rzeczpospolita dlatego przysięgłe pieczętarze mieć chciała, aby żaden list królewski bez wiadomości ich nie był pisany, ani posłany.“

Naostatek nawet groźbą zakończył to ostre nadtrzymujące przysięg, wyganiano z korony, a innych w ich miejsce wybierano.

„Jeżeli więc W. Król. Mość nie obaczysz się, ani poprawisz, nam nie pozostanie nic, tylko W. Kr. Mość za morze wyprawić...“

Był to łabędzi śpiew wielkiego męża, przejęty goryczą, jaką go napoiły lata ostatnie.

Można sobie wystawić, jak na to usposobienie umysłów, z którym sejm się zebrał, podzielać musiała mowa ta, z otwartością nieograniczoną wygłoszona, którą chciwie pochwycono komentowano, roznoszono, zwiększając nawet jej znaczenie.

Była w niej w istocie nieublagana, ostra, może za rzeźko i nieopatrnie, ale z potęgą wielką wypowiedziana prawda. Naganiał surowo Zamojski zadarcie się z Moskwą o Dymitra Samozwańca: „Dziś, niektórzy ichmość, mimo woli stanów wtargnęli do Moskwy, jakiegoś Dymitra na tron prowadzą. Słyszeliśmy, że ten Dymitr był zadławiony, dziś znowu żyje! Cóżto, czy jaką komedię Plauta lub Terencyusza grają przed nami!“

Przypomniął hetman, że radził przymierze z Iwanem Wasilewiczem uczynione zachować.

Mowa jego, można powiedzieć, sejmowi cały jego charakter nadała. Śmiałość Zamojskiego pobudzała też innych do odwagi. Posłowie zawezwani

do izby senatorskiej, odmówili przyjścia, póki by im godnego ich miejsca nie uczyniono.

Spierano się o wszystko, i już przewidzieć było można, iż sejm zamiast sprowadzić uspokojenie w umysłach, zwiększył rozdrażnienie i zasieje niebezpiecznych rozszewnień ziarno.

Skończyło się na tem, że coraz mocniej się rozgorączkujący posłowie poszli do grodu i artykuły przeciwko królowi podawszy do ksiąg, powrócili tylko pożegnać Zygmunta, rozjeżdżając się do domów.

Mówiono, że król potem zapłakany wyszedł z sali.

Nikt nie przewidywał wszystkich następstw tego nowego rozjątrzenia i rozdarcia, ale na dworze króla mówiono niemal głośno, że jeśli dalej się posunie burzliwość szlachty, korona do siły uciec się będzie musiała dla obrony praw swoich i dostojeństwa.

— Zarzucają królowi J. M., że się szwedami i niemcami otacza, a może być inaczej, gdy swoi wszyscy przeciwnicy niemu powstają?

Winę tego podburzenia składano całą na Zamojskiego; najbliżsi tylko, Zebrzydowski, Tylicki, Gębicki, w obronę go brali i męstwo obywatelskie wynosili pod niebiosa.

Sam on mileżał posępnie, może zbytnej swej żalując otwartości, wiedząc, jakie wywarła skutki.

Na ustach Zebrzydowskiego już drgał złowrogi wyraz rokosz. Był on tak zapomnianym, tak niejasne dawał pojęcie prawa, na którym się opierał, iż za ledwie rzucony, potrzebował objaśnień i tłumaczenia. Wielu go wcale nie rozumiało.

Powtarzano sobie pytanie, na które odpowiedź gotował się Zebrzydowski, Smogulecki: *Quid est rokosz?*

Zdaje się, że ani myśl, ani zamiar obwołania rokoszu nie zrodziła się za życia hetmana.

Oslabiony już, wedle ówczesnego zwyczaju, Zamojski przygotowując się do corocznej kuracji wiosennej, wyruszył w kwietniu z Warszawy do Zamościa.

Bajbuza żegnając go raz ostatni, gdy zobaczył w krześle siedzącego, posępnego z czołem pofalowanym, niespokojnego, rozdrażnionego sobą i sprawami Rzeczypospolitej, miał jakby przeczucie, że go już nie ujrzy więcej. Wszyscy jednak hetmana i siebie tem się pocieszać starali, iż wiosna siły mu powróci, odżywi i pokrzepi.

Rotmistrz także wśród poruszonych do zbytku żywiołów szlacheckich, dłużej wytrzymać nie mogąc, natychmiast wybierał się do Nadstyrza. Wiół z sobą zamiast pociechy troskę. Zdawało mu się, że co chwila posłyszeć może złowrogą wieść.

— Umarł Zamojski!

Przezucie to nie było daremne, i pierwszych dni czerwca rozeszła się już pogłoska, że hetman życie zakończył. Bajbuza wierzyć temu nie chciał, wyprawił bojarzyna swego do Zamościa z listem do Urowieckiego, który smutną przyniósł odpowiedź.

— „Stało się — pisał rotmistrz — wszyscyśmy sierotami, tego, który tyle lat przewodniczył nam, a stał na straży Rzeczypospolitej, już niema.

„Zdawna w nim odzywało się to zgonu przedwczesnego przeczucie. Liczył lat sześćdziesiąt i trzy zaledwie, ale mu ich wiele znoje i troski podwójnie rachować kazały. Od śmierci Batorego, albo raczej od Zborowskiego sprawy, nieustanną walką były dni jego.

„Myśmy się wraz z jejmością i synaczkiem ludzili nadziejami lepszymi. Wiosenna kuracja chociaż jak zwykle osłabiła go nieco, obiecywała potem nowym odżywić wigorem.

„Od kilku niedziel na zmienne powietrze wiosenne wychodzić mu nie dawano, siedział więc, niecierpliwie oczekując końca leków.

„Dnia wtórego czerwca cieszyliśmy się rumianemu licu, któremu świeżość zdawała się powracać. Wstał dnia następnego zdrów i wesół, z rodziną, jejmością, Tomaszem, z przyjaciółmi i z nami rozmawiając uprzej-

mie i dobrą myślą. Razem z nami siadł do stołu, a choć nie wiele jadł, wstał pokrzepiony, udając się włoskim obyczajem na poobiednią siestę i drzemkę.

„Czuwał zawsze ktoś przy nim na zawołanie, gdyby się przebudził. Wtem jejmość zawołano. gdyż po śnie otwartłszy oczy słabym i mdlejącym się uczuł. Przybiegła pani i synaczek, myśmy też pospieszyli niemało strwożeni, chociaż groźnego jeszcze nie przewidywano.

„Tymczasem z onych mdłości, na rękę jejmości, modląc się skonał spokojnie“.

Okazało się później, jak donosił Urowiecki, iż wszystko zawczasu przygotowane było i rozporządzone, począwszy od skromnego pogrzebu, aż do opieki nad dziecięciami i wdową.

Ta, jak zdawna wiedziano, powierzona być miała Zebrzydowskiemu, którego śmierć hetmana odrzuca na wysokie stanowisko zastępcy jego podniosła.

Ciężar to był na ramiona silne, ale niespokojne, zbyt wielki.

Wojewoda krakowski w pierwszej zaraz chwili okazał to, mową nieopatrzoną zapowiadając nieublaganą walkę i spełnienie wszystkich tych wszystkich żądań zmarłego, które on w ostatniej swej wyraził mowie.

— Spadkobiercą mnie swym uczynił — mówił głośno Zebrzydowski — niegodzienbym był tego zaszczytu, gdybym bodaj życie stawiając, nie starał się, aby jego dezyderya się spełniły, a te też cały naród podziela, krom tych, którzy królowi schlebiają i do zdrady mu posilkują.

Listy, które z wszystkich stron nadechodzić zaczęły do Nadstyrza, wprawiły i rotmistrza w niepokój wielki.

Dopóki hetman żył, ślepo szedł za nim, teraz się uczuł znowu na rozdrożu. Z królem i dworem nie myślał wcale się jednoczyć, a od Zebrzydowskiego dzieliła go nie jakaś niechęć ku niemu, ale obawa, ażeby zbyt gwałtownie się nie rzucił przeciw królowi, szlachtę za sobą ciągnąc.

Bajbuza. T. II.

Jak bardzo wielu innych, Bajbuza niedobrze rozumiał znaczenie wyrazu tego, który teraz z ust do ust sobie podawać zaczęto.

Krażyły wprawdzie wykłady i odpowiedzi na pytanie: *quid est rokosz*? ale dzieje nie dawały jasnej odpowiedzi, zatarły się tradycje jego, jeśli jakie były. Musiano w ostatek tworzyć fałszywe, aby się podeprzeć niemi.

Oprócz Zebrzydowskiego, zięć jego, pełen energii, ruchawy, czynny, śmiały a wymowny Smogulecki, wielkopolanin, którego czasu sejm rotmistrz widywał często, już naówczas podrzucał tę myśl, że jeśli król uparcie przy małżeństwie stać będzie i rakuszkich praktykach, rokosz przeciwko niemu zwołać potrzeba.

Nie co innego też Zamojskiemu narzucał Janusz Ostrogski, ofiarując całą szlachtę na koń wsadzić i postawić na granicy, aby rakuszanek nie dopuściła.

To, czego następstw się lękał Zamojski, Zebrzydowskiemu ze Smoguleckim wydawało się narzędziem najdzielniejszym. Z ust do ust podawano sobie: rokosz, to jest pospolite ruszenie szlachty przeciwko królowi i jego stronnictwu.

Bajbuza miał wstręt i do wyrazu i do tego, co on mógł w sobie zamykać jako ziarno.

— Więc wojna domowa?—mówił do Szczypiora—najstraszniejsza klęska, jaka na naród spaść może. Bracia przeciwko sobie. Kainowska walka. Uchowaj nas Panie od niej! Uchowaj Panie!

— A cóż będzie, gdy szlachtę powołają—mruzczał Szczypior—czy myślicie w domu siedzieć, patrzeć i słuchać z założonemi rękami, zostać neutralistą? albo pójść króla ratować.

— Gdyby nie to, że hetman stał przeciwko niemu, odparł Bajbuza, kto wie, co bym uczynił, ale wierzę tak testamentowi zmarłego, jako ślepo wierzyłem żyjącemu. Około króla obozem cudzoziemcy i kortezany.

Ledwiebym nie życzył tatarów, wolny, niebezpieczeństwa jakiego, któreby nas od domowej zawieruchy salwowało. Co pocniemy?

— Możemy czekać—rzekł Szczypior.

Codzień zrana zrywał się tak Bajbuza spragniony wiadomości. Te, które mu przynoszono z Łucka i Ostroga, wszystkie brzmiały ogólnem przeciwko królowi oburzeniem.

Zebrzydowski nanowo podrażniony, że po Zamojskim starostwo grodeckie krakowskie, zamiast jemu, dostało się Myszkowskiemu, głośno już do wystąpienia się gotował. Dyssydenci i grecy z nim się łączyli.

Znowu sejm zapowiadano na rok następny, gdy ze swojej strony Zebrzydowski szlachtę wołał do Proszowic.

Zerwał się Bajbuza do tej podróży, rozmyślił potem i nie jechał.

Poślał Szczypiora już samego, aby mu języka przywiózł z tego zjazdu, który w czasie sejmu niemal zwołany, zapowiadał głoszony rokosz.

Chorąży z Proszowic dał tylko znać, że dla lepszego rozsluchania się do Korezyna jechać musi i czekać kazał na powrót swój.

W marcu wreszcie zjawił się oczekiwany niecierpliwie chorąży, przeciw któremu wybiegł Bajbuza.

— Co przywozisz? wojnę czy pokój?

— Sam nie wiem, wszystką szlachtę ciągnie i woła na zjazd do Stężycy w kwietniu Zebrzydowski. Król na sejm, wojewoda ciągnie do siebie na obrady przeciwko niemu.

Rotmistrz nie rzekł nic zrazu, wypytywał, badał, słuchał i męczył się.

— Spadkobierca jest po hetmanie, zamruczał w końcu, nie przyjsz na jego zawołanie, byłoby zdradzić nieboszczyka!

Dziej się woła Boża! pojedziemy do Stężycy!

IX.

Rzekło się to łatwo, do Steżycy, ale gdy Szcypior, który nie tać i umalować nie umiał, począł opowiadać o Proszowicach, a o tem, co w Steżycy zamierzano, Bajbuza się wahał.

Chwytał się za włosy wołając.

— Zgadnij Jezu, kto cię bije! Co tu robisz? co tu robisz? Do Steżycy jechać, jak ze wszystkiego widać na bratnią wojnę, a nie jechać nigdzie, to człek się nie zdał na nic, a ruszyć na sejm, to regaliści pociągną ku sobie, przeciw testamentowi hetmana!

Potem znowu w godzin kilka wołać kazał Szcypiora.

— Niema tu co myśleć i czynić, ja do Steżycy muszę. Zwołują wszystką szlachtę. Tam zobaczymy dopiero czy pójdziemy z Zebrzydowskim, czy nie. Gotować się do podróży, musimy do Steżycy!

Przy wieczerzy zwracał się do księdza Rabskiego.

— A ty co mówisz księżuniu? z kim tu iść? Nie stało nam hetmana, sami nie wiemy, co czynić z sobą. Otóż to co jeden człowiek w Rzeczypospolitej znaczy. Cegielka klucz w sklepieniu! Wyjmia ją, runie wszystko!

Ks. Rabski rozumnie mówił.

— Czemuż nie jechać? niech rotmistrz jedzie, a nie podoba się tam narada i postanowienie, można powrócić.

— Już cię mnie bez przekonania nie wezmą! — wołał Bajbuza. Rzeczypospolitej służyć do zgonu, ale pyszałkom i warchołom nigdy!

Szcypior, który się wszelakich rzeczy nasłuchał, wtrącał.

— E! prawdą a Bogiem i jedna strona za nadto

krzyczy i rzaca się i druga zbyt nieszczerze a podstępnie postępuje. Ja króla JMei nie winię, ale mu radzą nie zważać na wrzawę, swoje robić. Uspokoić ich lada czem, a postawić na tem, co postanowione. Król też mileży albo mówi niewyraźnie. Ci grzeszą siłą i zuchwalstwem, a regaliści chytrąsią.

— Niech nas Bóg ratuje! — wołał Bajbuza.

Gdy już podróż do Steżycy postanowioną została rotmistrz wziął na stronę Szcypiora i uściśkał go naprzód.

— Radź ty mi.

— W czym?

— Gdy my się ztąd oddalimy. Spytkowa nie pewna w domu. Wrócił jej mąż i czyha na to, aby ją pochwycić. Mnie się trochę lęka, a gdy się dowie, że ja w Steżycy, on tu przybieży.

— Na to rada łatwa — odparł Szcypior — ja was nierad rzucam, to prawda, ale wiem, jak wam o tę niewiastę chodzi, zostanie ja na straży, a bądźcie spokojni, że tak obstawię dwór i wieś a sam będę na czatach, iż go nie dopuszcze.

Rożkowi tego powierzyć nie sposób, bo burdę zrobi i hałasu tyle, że naokół wszyscy wiedzieć będą, co grozi. Innego nikogo nie znam. Zostawcie mnie.

— Nie może być inaczej, pojedę sam — westchnął Bajbuza. Czas jest do Steżycy, naznaczony dzień, drogi kawał. Ruszę jutro.

— O Spytkową bądźcie spokojni, włos jej z głowy nie spadnie.

W milczeniu uściśkał go rotmistrz i zaraz mu się lice rozjaśniło.

Teraz już jechał do Steżycy spragniony tego co się tam dziać miało.

Zdala dochodziły głosy: rokosz!

— Nie rokosz ci jeszcze, bo na niego nie wołano, ale może w Steżycy go uchwała.

Leszczakowska, która o swego wychowanka tak się lękała, jakby on jeszcze niedoświadczonym był

wyrostkami, poczęła mu zalecać, aby warcholów unikał.

— Wszyscy mówią, stękała, że tam się straszne gotują rzeczy.

— Byle nie wojna! — westchnął Bajbuza. Nie mam ci ni brata, ni swata, ale gdyby przyszło na swoich iść z szablą dobytej, zdawałoby mi się, że rozdanych morduję. O Jezu miłosierny.

Z takimi myślami wyruszył rotmistrz z domu. Kawał dobrej drogi prawie się z nikim nie spotykał i nie mówił, ale na większym gościńcu zaczęło być gęsto od ludzi.

Szlachta ciągnęła nie jak na sejm, albo na pospolity zjazd, ale niemal jak na wojnę. Niektórzy możniejsi jechali we dwadzieścia i pięćdziesiąt koni i zbrojnych hajduków lub husarzy.

Po sejmach się od lat wielu, dla tego swego niespokoju ducha włóczęg Bajbuza, na dworze Zamajskiego mnóstwo ludzi poznał. A że gościnnym był i schodzili się do niego chętnie znani i nieznani, nabył takiej wziętości, do której się i dziwaczne nazwisko przyczyniało, iż mało go kto nie znał.

A znali go i z tego, że chorował na dobro i miłość rzeczypospolitej, że jej służył, a nigdy żadnej nagrody, żadnego urzędu nie przyjął.

Były to owe czasy, gdy jeden naprzykład Opałowski Łukasz umiał sobie piętnaście starostw wyprosić, więc ten co służył ciągle a żadnego nie chciał, rósł w oczach szlachty.

Zwali go, śmiejąc się, Katonem.

Na gościńcu jak się tylko mijać począł, zatrzymywano go ciągle.

Niezmiernie rozogniona szlachta ciągnęła do Stężycy, gotowa królowi, gdyby wszystkich jej wymagań nie zaspokoił, wypowiedzieć posłuszeństwo, wydać wojnę, ogłosić kaptur i nową elekcję.

Krzyczano publicznie, że tak a nie inaczej być musi.

Dnia jednego w małej mieścinie na noclegu już tak wszystkie gospody znalazł zajęte Bajbuza, że gotów był na rynku namiot kazać rozbijać.

Wtem z pobliskiego domu wyszedł szlachcic lat średnich, skromnie ubrany, niepoczesny wcale, w szarej opończy, a rotmistrz w nim poznał Piotra Smolika.

Kto bo go naówczas nie znał.

Jak Stańczyk był za Zygmunta słynny z dowcipu, tak teraz Smolik, rodzaj ubogiego Diogenesa, który od nikogo nie potrzebując, prawdę wszystkim mówił. A było go pełno wszędzie. Wchodził do największych panów nie kłaniając się zbyt nisko, a ubiegano się za nim, tak zdrowe zdanie miał, które zawsze tak przystroił, iż się niem ubawił każdy, nawet ten, kogo ubodło. Smolik poznał Bajbuzę po samym wzroście i zamachu.

— Rotmistrzu — krzyknął — w izbie u mnie na dwu miejscach dosyć, niechaj ludzie obozują, ty się rozgość ze mną. Ja niewiele potrzebuję, byle ławy szmat pod noc, gdziebym grzeszne kości do snu położył.

— Al pan Piotr! — zawołał rotmistrz.

— Do usług.

Wszedł witając go Bajbuza.

— Zgoda — rzekł — wy mnie dajecie dach, a ja proszę na wieczernę, bo wóz mam z sobą i kopci-dyma, który nam co przyskwarzy.

— Zgoda — odparł Smolik.

— Do Stężycy? — zapytał Bajbuza.

— A już ci! — rozśmiał się szlachcic. — Jakżeby się tam bezemnie obeszli! Gdy rozumnym zabraknie rozumu, muszą go u trefnisia, jakim mnie zowią, pozyczyć.

— A wy? — dodał.

— Ja też do Stężycy — westchnął rotmistrz — nie taje, że z niepokojem w duszy, bo co to z tego wszystkiego będzie?

— Może nie! — rzekł Smolik.

— Tobo jeszcze nienajgorzej było.

— A może się pocznibimy—dokończył szlachcie, i toby może nie złe było. Teraz na Sudermańskie-go, na tatarów nas nie stawalo, a na rokosz gromady płyną. Znak to jest, że nam się kara Boża należy i nie minie.

— Cóżście wy? regalistą? rozsmiał się Bajbuza.

— Ja? Różnie bywa—odparł Smolik—pod czas bywam rogalistą, pod czas warcholę... czasem mi króla żal, a czasem szlachty.

Spotkałem dziś po kolei dwóch Pękosławskich. Prokopa naprzód, onego męznego zbója, którego pewno znacie, potem Stanisława sandomierskiego starostę. Pytam się pierwszego, choć wiedziałem dobrze, iż do Zebrzydowskiego ciągnie: Wasza miłość dokąd? Moja miłość tam—zawołał—gdzie jak najprędzej szabli będzie dobyć potrzeba... więc do wojewody. Nauczymy króla rozumu... Ja go zatem:—Zgoda, a was kto go będzie uczyć?

— Nie wiem—odparł i pojechał.

Mil parę dalej zjeżdżam się ze Stanisławem.

— Czołem, a wy dokąd?

— A no do Warszawy na sejm.

— Na sejm? do boku króla? — A juścić? warcholów trzeba przetrzepać i pokazać im co to jest *Majestat Regia*, której nie szanują.

A ja mu na to: Tylkom co pominął pana Prokopa, ten do Zebrzydowskiego pociągnął pod Stężyce. A co będzie, gdy wy z królem, a on z wojewodą na placu boju się spotkacie?

— Palnę po łbie pana brata—odparł Stanisław, nie moja wina, że między rokoszan wlaź.

Spojrzał Smolik na Bajbuzę.

— Co wy na to?

— Ja? ja? — zawarczał rotmistrz — niech Bóg uchowa i nie dopuści, aby do tego przyszło. Takich Pękosławskich znalazłoby się wielu więcej... i braciaby się mieli zabijać dla...

— Dlatego, że król Zebrzydowskiego wyrugował z uzurpowanej kamienicy!—dodał śmiejąc się Smolik. Tak powiedzą głupcy.

Nawpół żartując, wpół bolejąc siedli za stół do wieczerzy, przy której Smolik, choć o smutnych mówił konjunkturach; zachował wesołe ciągle usposobienie.

— Szczęśliwieście—westchnął Bajbuza—bo was ten zamęt nie pozbawia spokoju umysłu i nie karmi goryczą.

— A coby pomogło, gdybym płakał! — odparł pan Piotr. Śmiechem człowiek prędzej ludzi naprowadzi niż gniewem i fukaniem, ja też wszystko w śmiech obracam, aby nie płakać.

— Cóż wy myślicie? co się stanie? — niespokojny wtrącił znów Bajbuza.

— Na burzę się wielką zebrało—mruknął Smolik, bywa z takich wielkich chmur mały deszcz, ale też i obrywają się one a niszczą? Kto tu zgadnie, co nas czeka.

Z jednej strony król, pan Wolski, Bobola, Myszkowski, O. Bernard, Jezuita, a z drugiej Stadnicki, Djabeł, Herburt, co go Szczęsnym zowią, a złyby go przystało, Pękosławski Prokop i co było warcholów. Sam Zebrzydowski za kilku stanie.

— A Żółkiewski? — westchnął rotmistrz—bo on w mych oczach następcą hetmana, jako rycerza, gdy wojewoda zastępuje go jako statysta.

Smolik głowę w ramiona zanurzył (był to ruch mu własny, gdy miał czem bryznąć).

— Żółkiewski musi iść z Zebrzydowskim, boć dwie rodzone sobie Herburtowny mają, a wojewoda statystą... takim jak i ja. Pierwszemu nie dadzą Potoccy zastąpić Zamojskiego, drugi nie potrafi nikogo... Ale ja na komedye patrzeć lubię—dodał Smolik—a tu się nam ucieszna gotuje. Kto lepiej zagra przykłaśnięmy, a wszystkim aktorom rzeczpospolita zapłacić musi!

Oj zapłaci! zapłaci!

— Byle bez krwi się obeszło?

— Hm?—wtrącił Smolik— a toć waszmość czytał pewnie, że gdy u greków grano teatrum, kozła bito na ofiarę... Ktoś tu i u nas nim musi być.

Mało nie do północy gwarząc tak przesiedzieli. Smolik drwił i żartował, ale wzdychał.

Nazajutrz Bajbuza nie wstał jeszcze, gdy szlachcica, który konie miał liehe, powoli jechał, a może się ich wstydził, w gospodzie już nie było.

Pociągnął przodem.

Ale na towarzyszach w podróży tej tak nie zbywało, a coraz ich więcej przybywało ku Stężycy i niektórzy jechali z takimi pocztami, jakby istotnie przeciwko nieprzyjacielowi ciągnąć mieli.

Stroili się wszyscy do tony pana Zebrzydowskiego.

— Kaptur ogłosić i nową zwołać elekcyą, jeśli król wszystkim żądaniom wnet zadość nie uczyni, (a były między niemi i takie, które nie w jego mocy zaspokoić było).

Mało kto tem zuchwalstwem przerażony, widział niebezpieczeństwo i starał się umysły uśmierzać a uspokajać. Na niektórych jednak twarzach czytał rotmistrz zafrasowanie i z ust wyrwały się wyrazy łagodniejsze.

Dobrze było rzec: kaptur, ale co on za sobą pociągał?

Pod Stężycą już całe pulki spotykał Bajbuza i zrobiło mu się markotno a straszno, ale dowódcy tych sił, Szczęsny Herburt, Stadnicki, Zebrzydowski, Smogulecki, zwycięzko zawczasu podnosili głowy i wesoło już tryumfy zapowiadali.

Nie dojeżdżając rotmistrz stanął w lesie obozem koniom odpocząć.

Sam był a na duszy niewymownie stało się ciężko. Musiał sobie powtarzać dla uspokojenia sumienia iż Żółkiewski przecież w tym obozie się miał znajdować.

Noc była wiosenna ale chłodna, księżyc w pełni, las liście puszczać zaczynał. Nietylko Bajbuza, ale

wielu jemu podobnych pod noc do Stężycy nie chcąc ciągnąć, namioty tu porozbijało, Nad gościńcem paliły się ogniska, pasły konie.

Rotmistrz wyszedł nade drogę, którą i teraz bezprzestannie jezdni i wozy ciągnęły. Stał tak spoglądając na to obozowisko, które mu czasy wojenne lepsze przypominało, gdy duży wóz kryty się zbliżył, roślemi końmi ciągniony.

Na wozie w czarnych sukniach, w czapkach z kunk charakterystycznych siedzieli dwaj duchowni. Jeden z nich bladej twarzy, z krótko postrzyżoną bródką, różaniec w rękę trzymał i modlił się cały zatopiony w Bogu.

Księżyc oświecał wóz tak jasno, iż w jednym ławo poznał Bajbuza dawno już niewidzianego księdza Skargę.

Było to dla niego tak pożądanem zjawiskiem, iż nie mógł się powstrzymać, aby do wozu się zbliżywszy nie pozdrowił go po chrześcijańsku.

Skarga się żywo przeżegnał i pochylając przypatrywał stojącemu nad drogą.

Nazwisko swe wymienił rotmistrz. Kazał się zatrzymać woźnicy ks. Skarga i zwolna z wozu wysiadł ku niemu.

Niech konie wytehną — rzekł do wiozącego — zawsze jeszcze w czas staniemy. A wy co tu robicie, mości rotmistrzu? — zapytał łagodnie.

— Ciągnę z inną szlachtą do Stężycy — rzekł Bajbuza. — Jeszczem tam nie był, więc i nie wiem co poczynąć mają.

— Nic dobrego pewnie! — westchnął ksiądz Piotr— bo się po tych co zwolują spodziewać nie można aby im istotnie na sercu troskliwość o dobro rzeczypospolitej leżała. Daj Boże, aby wielkich nieszczęść nie stali się przyczyną.

— Nie przypisuję sobie — odezwał się powoli rotmistrz— abym w tych rzeczach widział jasno następstwa, alem nawykł był pod chorągwią nieboszczyka

hetmana iść, a gdy tego nam nie stało, za tym po-
dążam, komu on ją zlecił.

— Człowiekiem był — rzekł Skarga — i omylił
się. Nie o rzeczpospolitą im idzie, ale o to, aby
królem zawładnęli i nim rządili.

A zacz nie widzicie kto tu teraz sprężyną i po-
budką?

Zatrzymał się chwilę i dodał.

— Rozpatrzcie się, dyssydenci są wszędzie,
różnowierców dłoń i nieprzyjaciół kościoła porusza
wszystkiem. Ci, co najgwałtowniej krzyczą, Janusz
Radziwiłł, Ostrogski, Zebrzydowski, Stadnicki, Smo-
gulecki z kościołem albo zerwali, lub dają się tym,
co nań nastają, prowadzić.

Smogulecki wprowadzie przez lat cztery teologii
się uczył i księdzem chciał zostać, a teraz na złe za-
żywa, co mu nauka dała!

Przypatrzcie się bliżej, dyssydentów to dzieło,
nieprzyjaciół wiary sprawa. Nie może kapłan z Prze-
najsświętszym Sakramentem ulicą przejść, aby go
panowie dyssydenci nie zelżyli, a gdy ich ukarać
przyjdzie, krzyczy Radziwiłł o gwałt na jego pa-
chołkach popełniony.

Skarga mówił wzruszony wielce i głos mu za-
marł w piersiach.

— A wy ojeze tu? — przerwał Bajbuza — jakimże
wypadkiem?

— Nie wypadkiem, umyślnie jadę — rzekł Skarga
— posłał mnie król w tej nadziei, że słowem potrafię
nawrócić zbłąkanych. Szczególniejby na to łaski Bo-
żej potrzeba, aby mnie posłuchać chcieli.

Rotmistrz, któremu ciągle po myśli chodził Żół-
kiewski, cicho zapytał o niego.

— Niestety — odparł ksiądz — zdaje mi się, że
i jego znajdę z Amalecytami, ale nie rozpaczam, iż
prędko omyłkę uzna, i choć go krwi węzły z nimi
łączą, do końca nie pójdzie z nimi.

Po chwili ośmielił się rotmistrz natrącić, iż król
pewnym słusznym żądaniom zadość czyniąc, mógłby
może ten pożar ugasić.

— Nie wiecie więc, że na wszystkich sejmach
N. Pan nasz przyrzekał i zaręcza, że spełni, co tylko
jest w jego mocy, ale go słuchać nie chcą.

Na małżeństwo nieprawne krzyczą ci, co w wie-
łożeństwie lub grzechu jawnym żyją. Rzym przecież
dla ważnych pobudek dyspensę dał, a ten co wiązać
i rozwiązywać ma prawo, błogosławi związkowi. Ja-
kimże prawem mu się sprzeciwia, którzy dla siebie
żadnemu ulegać nie chcą.

Bajbuza byłby go bodaj całą noc słuchał, tak
rzewny ten, przejęty głos kapłana do duszy mu tra-
fiał, ale woźnica mruczał, a ks. Skarga przypomnił
sobie podróż pilną. Pożegnał więc rotmistrza.

— Jedziesz — rzekł — a więc pamiętaj, że do zgo-
dy i pokoju każdy ma nakłaniać obowiązek.

W chwilę potem wóz potoczył się dalej szlakiem
przez księżyc oświeconym ku Stężycy, a Bajbuza dłu-
go stał zamyślony ze sumieniem się swem rachując.

Następny ranek odsłonił oczom rotmistrza widok,
który wszelkie jego przewidywania i to, o czem po
drodze słyszał, przechodził daleko.

Okolo sześciu tysięcy szlachty obozem leżało
dokoła, wśród rozbitych namiotów i poustawianych
w tabory wozów, a działo się właśnie w chwili, gdy
zwolany był sejm. Król stał odosobniony, kupiono się
około zbuntowanych kilku przywódców. Ks. Skarga
swoje do Zebrzydowskiego poselstwo sprawował,
ale jaki był jego skutek, o tem nie się dowiedzieć
nie było można. Brzmiało i warczało wszystko ro-
koszem jako nienniknioną ostatecznością. Zebrzy-
dowski powołany, aby na sejmie przed senatem swe
żądania przedkładał, odpowiadał uparcie, nie chcąc ich
poddąć sądowi nieczyjemu.

Żądał niemal posłuszeństwa bez roztrząsania
i rozsądzania sprawy. Zła wola była widoczną.

Nasz miłośnik Rzeczypospolitej, który dobra jej tylko szukał, pocziwy a nigdy niepewien w którą ma iść stronę, liczący się z sumieniem, trwożliwy o nie, wpadł w ten tłum już nagromadzony pod Stężycą, jak w falę rozbukanego morza. W głowie chodziło mu jeszcze to, co słyszał od księdza Skargi, a tu już dookoła przejeżdżającego zatrzymywały głosy ochryple, rozgorączkowane, namiętne.

Szło naprzód o to, aby sobie znaleźć bodaj jakiegokolwiek ciasne miejsce i na niem się taborkiem położyć, a potem iść między panów braci i od nich się uczyć co dalej czynić przystało. A tu nawet proste zajęcie kawałka ziemi, gdzieby namiot rozbić było można i ognia rozłożyć wykopawszy ognisko, stawało się nadzwyczaj trudnem.

Gdziekolwiek stanęły wozy i konie, przybiegał już *primus occupans* jakiś i wrzeszczał, że tu zatknął wczoraj jeszcze chorągiewkę swego pana, tylko nie wiedzieć, kto ją śmiało naruszyć. Z miejsca więc na miejsce błędzić przyszło Bajbuze, nie mogąc stanąć i spocząć. Inni gwałtem zajmowali sobie stanowiska, czego on czynić nie chciał. Czas upływał, konie i ludzie się męczyli, pędzono nieszczęsnego z miejsca na miejsce.

Błądził więc ponury i kwaśny, gdy zdala ujrzał w cwał nadbiegającego ku sobie, a potykającego się co krok z powodu nóg obrzękniętych Gubiata. Ten tu już był jak w domu.

— Rotmistrzu, a co? miejsca widzę niemacie? — krzyknął — to wszystko przez to, że Gubiata odprawiliście... ja natychmiast was obsadzę.

Obejrzał się. Kawał pola przy płocie, który od niego ogród oddzielał, stał wolny. Miejsce było pochyłe, tak, że woda na wypadek deszczu spływała z niego.

Gubiata pochwycił od kopijnika półkopię i wbił ją w ziemię.

— Tu — krzyknął

W tem przypadł z wrzaskiem niedaleko na ziemi z garnkiem między kolanami siedzący szlachcic.

— Miejsce to ja okupowałem wczoraj!

— A jam je pozawczoraj zajął — odparł Gubiata stając przeciwko niemu — Ruszaj precz, chceszli być cały i z garnuszkiem.

Zaczynali się z sobą ujadać już, a Bajbuza chciał dalej jechać, gdy szlachcic z garnkiem popchnięty, salwował się ucieczką. Kopia wbita została.

— Tu, rozkładać obóz — zawołał Gubiata — a kto będzie śmiało rościć do placu prawa, po łbie go, to argument najlepszy.

Nikt się już jednak nie sprzeciwiał. Stały wozy, rozbito coprędzej duży namiot Bajbuzy, ludzie natychmiast zaczęli rozgospodarowywać i dla koni wbijać koły, które naturalnie, niedaleko ich szukając, z cudzego plotu powyrywali. Gubiata korzystając z okazji weisnął się między czeladź i objął rodzaj zwierzchnictwa nad ciurami.

Tymczasem Bajbuza pod namiotem conajspieszniej suknie podróżne zrzuciwszy, odziewał się, aby wyjść i szukać tych, z którymi się naprzód widzieć i rozmówić potrzebował, z Zebrzydowskim i Żółkiewskim przedewszystkiem. Innych Zamojskiego przybocznych nie widział tu, ani o nich słyszał.

Na placu gwar panował straszliwy. Zbierano się gromadkami. Gdzieś tam stał na pieńku lub na podstawionej ławce mówca, szeroko rozwijając granawami przeciw królowi. W innych kupkach czytano paskwilusy i śmiechy się rozlegały.

Niektóre z nich były gwałtowne i bezwstydne, zuchwałe i pełne obelg najbrutalniejszych przeciwko Zygmuntowi, rakuszanom i jezuitom.

Niedaleko od miejsca, które z pomocą Gubiata udało się opanować rotmistrzowi, widać było nędzny stoliczek, pochwyciony gdzieś w chacie mieszczanina, pochyło stojący, choć grudkami ziemi popodpierany.

i przy nim siedzącego z zakasanemi rękawami skryptora, który z ogromnem piórem gęsiem, maczając je we fłaszeczce na sznurku uwieszanej, spisywał coś na arkuszu żółtego papieru.

Skryptor z głową pochyloną na ramię prawe, z zakąszonemi usty, rzucał oczyma wkoło i to się porywał do pisania, to zatrzymywał nagle, bo go stojący dokoła odrywali, jedni krzykiem, drudzy nawet rękami targając.

Pochyleni nad stołem, dalej zwieszeni na ich ramionach, ichmość panowie szlachta spór zajadły mieli o dyktowanie grawamina.

Szło o spisanie ich jak najbardziej szczegółowe. Jeden podawał do punktów, iż król JM. przyrzekł komuś z dóbr swych wydzielić grunt, a nie dotrzymał tego; drudzy chcieli tylko, aby główniejsze spisywać przeciw królowi zarzuty.

Wrzawa nie dawała dobrze zrozumieć o co chodziło, bo zarazem kilka punktów roztrząsano namiętnie.

Skryptor był w rozpacz. Zaledwie rozpoczął punkt nowy, gdy mu niecierpliwy palec szlachecki zmazywał i plamił akt ledwie zagajony.

Grawamina, których w Proszowicach było punktów dwadzieścia kilka, a w Korczynie pono czterdzieści, w Steżycy dochodziły do pół seciny i nie wiadać im było końca.

Nalegano szczególnie na to, ażeby król wszystkich cudzoziemców preecz od dworu usunął, z arcyksiążętami się nie ważył ani obcować, ani listować, najemnego żołnierza oddalił, a rozdawnictwo i szafunek urzędów i starostw nie od faworów, ale od zasług uczynił zależnem. Kto zaś o tych zasługach sądzić miał, nie było jasno.

Wnosili inni, aby dla dozoru nad królem JM. zawsze trzech senatorów u boku jego z obowiązku przemieszkiwało. Nieufność była jawną. Podejrzanie, iż koronę chciano rakuszanom sprzedać, wyrażało się bardzo szorstko i dobitnie.

Bajbuza stał i słuchał tych płaczących się z sobą grawaminów coraz nowych, które skryptor zapisywał i mazał, rozpaczliwie palce sobie potem ze stawów wyciągając, gdy ktoś go w bok potracił.

Tuż stał przy nim Smolik ze swą skromną i niepozorną postawą człowieka, który umyślnie ubogiego na duchu gra rolę.

— Czołem panie Piotrze—odezwał się, rad, że go spotkał Bajbuza — co?

— *Optime* — odparł Smolik — chodzę i zbieram do torby grawamina, aby ich jak najwięcej zgromadzić. Sądzę jednak, że je przewiać będzie potrzeba, bo plewy w nich duże.

— Nie wiecie co o panu hetmanie Żółkiewskim?—zapytał romistrz.

— Tyle tylko, iż tu jest, ale Żółkiewski niewidocznym, cicho siedzi.

— A wojewoda?

— Ten też na naradach z Ostrogskim zamknięty i oblicza nam nie ukazuje.

— A Stadnicki?

— Słysząc go aż tu! — rozśmiał się Smolik — nastawcie ino ucho. On to powtarza: Kaptur! kaptur!

— Oho!—przerwał Bajbuza—toć chyba za szparako! bo pierwaj się trzeba jednego zbyć, nim drugiego obierać będzie.

Smolik mu się do ucha pochylił.

— Oni bodaj z Herburtem już *pacta conventa* zanadraj mają dla Batorego.

Położył palec na ustach.

— Ale o tem cicho, sprawa gardłowa — szepnął.

Tymczasem grawamina się sypały, a każdy swoje przodem chciał stawić, aby na szarym końcu ich nie zaniedbano.

Bajbuza słuchając marszczył się, bezład i rozterki przyprowadzały go do rozpacz.

Smolik się uśmiechał i głowę przerzucał z ramienia na ramię.

Bajbuza T. II.

— Zapiszcież p. Gładzkiego — krzyczał jeden z za ramię — małżonce jego Krystynie... za zasługi wojenne.

Smolik parsknął,

— Pięćdziesiąt włók za Żmudzi! — kończył krzykliwy.

— Ale naprzód wpiszeć Unikowskiego Mikołaja, bo to datuje od króla Augusta... Słyszysz..., pisz... Przyłuki i Pieszonomie dwie wiosce.

— Pobór łanowy i szosowy, czopowe i dawne żydowskie pogłówne — wołał inny — prywatą na bok. Zmazano palcem Przyłuki.

Ścisk około stolika zaczynał być tak wielki, iż sam stół przechylił się na pisarza, a pisarz z pieńkiem, na którym siedział, obalił na ziemię. Tumult powstał.

— Chodźmy — rzekł Smolik — tu już grawaminom koniec położono, ale się z niemi dalej spotkamy.

— Ja ich słuchać nie myślę — wtrącił Bajbuza — muszę pójść do Żółkiewskiego, ten dla mnie miarą będzie co czynić mamy.

Nie zatrzymywał go Smolik. Rotmistrz z wielką trudnością się przedzierając wśród tłumu, który częścią konno, w części pieszo zalegał przestrzeń ogromną, dopytywał o hetmana Żółkiewskiego. Nie wszyscy wiedzieli o nim.

Tymczasem otwarty namiot mu się nastęczył, w którego podniesionem wnijsciu kilku stało. Zdaleka już dostrzegł gwałtowne rąk ruchy i poznał z widzenia sobie znanego Djabła Stadnickiego, który podniesionym głosem coś dowodził, a pięścią w górę rzucając popierał. Przy nim, niemniej gorączkowo miotając się Herbut, na którego licu brzydkim, ale wyrazu pełnem i rozumnem, namiętność poznała stare ścieżki, któremi chodziła od młodości jego. Rysy to były ruchome, zmieniające się, w których grał temperament niepohamowany.

Dokoła dwóch tych najgorętszych rokoszu zwo-

lenników, tworzyła się gromada ciekawa, która powoli coraz mocniej odczuwała gwałtownie jej na pastwę rzucane słowa, w których już miary ni powściągliwości najmniejszej nie było. Obelżywe przezwiska dodawano do imienia króla, a szlachta je witała wesolemi śmiechy.

Tu różnowiercy szczególnie pobożny faryzeizm karcili. O. Bernard stał z Bobolą pod pręgierzem.

Gdy w innych kołach, o Esthonię, o stosunki w Prusiech i Inflantach głównie naciskano, tu osobistości wychodziły na plac, ulubieńcy króla: Wolski z alchemią swą, niemiecka służba, zausznicy, aż do czeladzi. Malowano króla jako sybarytę jakiegoś, który zamknięty rozkoszował się z faworytami swymi pustymi zabawkami, nieprzystającymi do dostojeństwa panującego.

Któs z boku rozpoczął czytanie mszy świętej przerobionej dla króla, aby go podać z jezuitami w ohydę i pośmiewisko.

Tu i owdzie głośno brzmiało *absolutum dominium* a wyrazu tego dosyć było, aby roznamiętnić najchłodniejszych.

Bajbuza niedługo tu postawszy, dopytał wreszcie do wojewody Zebrzydowskiego, ale ten był zamknięty jeszcze i nikogo nie dopuszczano do niego.

W tłumach opowiadano, że panowie senatorowie przybywali z Warszawy wystąpić dla rokowania z Zebrzydowskim. Pocieszyło to nieco rotmistrza, bo mniej rokoszowo się zapowiadało.

Odprowadzony z niczem u wojewody, zniechęcony nieco, poszedł Bajbuza do Żółkiewskiego, ale i ten na naradzie gdzieś się znajdował i mówić z nim nie było można.

Pół dnia tak przewędrowawszy pomiędzy kołami i kółkami, nasłuchawszy się pogroźek coraz ku wieczorowi gwałtowniejszych w miarę jak się ludzie wzajem rozgrzewali, rotmistrz z niemłą trudnością dobił się napowrót do swoich ludzi, przy których

znalazł nieodstępne już, dla samego kociolka, Gubiata.

Ten, choć od namiotu niedaleko odcodził, doskonale wiedział co się gdzie działo, lecz z jego sprawozdania czuć było tylko, że się wahali wszyscy i krok dalej do rokoszu każdy ważył, widząc w nim wojnę.

Nazajutrz bardzo rano Bajbuza był u hetmana. Znalazł go w domku lichym, za stołem, samego jeszcze i smutnie zadumanego.

— W. miłość nie wiem czy mnie sobie przypomnieć raczysz — odezwał się rotmistrz. Dopóki żył Zamojski, szedłem ślepo za nim, nie stało go, jam nie statysta a Rzeczpospolitej chcę służyć, przychodzę do was, dajcie wskazówkę. Sam ja niewiele ważę, ale uchowaj Boże siły będzie potrzeba, ludzi mam dobrych do boku, wedle przemożności postawić mogę.

Hetman wstał witając go, ale chmurnem obliczem.

— Chcecie tego odemnie — odparł smutnie — czego ja sam nie mam pewności, w którą się pokierować stronę.

Szwagier mój wojewoda krakowski za gwałtownie przeciw królowi sprawę podnosi, już się głosy o rokoszu odzywają, ale w wielu gawaminach ma on słuszość i w tem, że nas król niejedną raz zawiódł, bo go źli doradcy uwodzą tem, że bezkarnie może co chce.

Zaburzy się kraj rokoszem, zło z tego wyniknąć może większe, niż z królewskiego wahania się i nieśłowności. Powiedźże sam, azali jasnem, co czynić mamy?

— Tymczasem szlachta już kipi i wre. Rokosz w powietrzu — odparł Bajbuza.

— Któż wie? panowie senatorowie wczoraj przybyli, wprawdzie nie odniosą do Warszawy nie

pocieszającego, rzekł hetman, bo Zebrzydowski wezwany na sejm się iść wzbrania, ale układy niezerwane, może porozumienie nastąpi, gdy król pęstrzeże, iż coś uczynić musi. Jam niepewien, ani też waszmość rotmistrzu, nie śpieszcie z tem co postanowicie, nie wiążcie się.

Na te słowa wszedł Bykowski kasztelan łączący i rotmistrz się cofnął.

Błądził znowu, rad pomiędzy dniem wczorajszym a następnym upatrzeć różnicę. Mała była ona, i nie na korzyść tych, co pokoju pragnęli, bo żywioły burzliwe, jak drożdże rzucone do kadzi, całą ją poruszały. Nawet ci, co wczoraj chodzili zimni, poczynali się szymać.

Najnieprawdopodobniejsze potwarze w końcu powtarzane, nabierały jakiegoś pozoru rzeczywistości.

Nad wieczór na placu rumor powstał. Nowy jakiś ferment przybywał. Gubiata już biegł, aby świeżego dostać pieczywa, dopóki by nie ostygło. W godzinę potem był z powrotem wraz z Syrejką litwinem, którego najlepszym swym przyjacielem, kumem, bratem i pokrewnym nazywał. Syrejko służył Radziwiłłowski był naocznym świadkiem tego, co zaszło w Warszawie, a teraz się na Stężyce odbić miało.

— Mów serdecznie, a nie lżyjże — dokończył przedstawiając go Gubiata — mów.

— Ot jak to było, króliku mój — poczał Syrejko, który już po kilkakroć opowiadanie to powtarzając, dobrze się go nauczył.

— Król Jmóść w senatorskiej izbie siedział, do której posłów powołał. Prawda, że gdy senatorowie razem i posłowie do jednej się zepchną, ciasno bywa, ani słóweczeczka, ale Myszkowski marszałek koronny, który wiadomo jak stoi u króla, stanął na przesmyku i nie puszczał.

A tyś co zacząć? posel?

Tedy nasz pan Zienowicz księcia Jegomości przyjaciel i sługa, gdy go odepchnął laską pan Myszkowski, porwał się na niego do szabli. Krzyk! wrzawa, zawołał Myszkowski na straż i nie patrząc, że Radziwiłłowski sługa, kazał go wziąć pod halabardę. Miotającego się i krzyżącego uprowadzili.

Wtem my, których nas w podwórzu było więcej niż królewskiej straży, uderzyliśmy na alarm; Pobiegl Szargiello do księcia, który na górze był. Zienowicza pod straż wzięto!

A tu nasi na wschody i straż króla cisną. Szczęściem, że zobaczywszy to książę z okna począł wołać na swoich, aby się nie ważyli szabel dobywać, o włosby była krew pociekła... ale sam jak piorun spadł zaraz na dół, pniąc się z gniewu i krzyżąc: Co ty mi będziesz tu dokazywał i przewodził, ludzi złych, wypychał i imać kazał? Dlatego, że on domownikiem mym, a jam u was nie w laskach, znęcacie się nad nim. Nie zniosę tego! nie zniosę.

I zawołał na posłów, aby go przemocą uwolnić pomogli.

Tumult się stał aż w izbie senatorskiej, król pobladł, bo i szczeł szabel słycać było.

Posłowie jednym głosem zawtórowali księciu: Puszczaż Zienowicza.

Ze strony zaś Myszkowskiego poczęli wołać: Jak śmiał pod boki króla szabli dobywać, kara za to na gardle.

Ot jak było... ale zmusili Zienowicza, że marszałka przeprosił i puścili go bez sądu.

A no, księciu naszemu tego było nadto—dodał Syrejko—nazajutrz posłów zabraliśmy litewskich do nogi i z sejmu precz do Steżycy.

Przybycie to Litwy i Radziwiłła dało się zaraz uczuć. Dolało oliwy do ognia. Dnia tego rokosz się

coraz gęściej i gwałtowniej rozlegał. Króla nie po-
prawi—wołano.

— Wypowiedzieć mu posłuszeństwo i kaptur ogłosić — kończył Djabel Stadnicki — *remedium* je-
dyne, rokosz. Gdy człek zachorzeje niebezpiecznie,
krwi puszczenie jedno leczy. *Remedium unicum*,
rokosz!

I wkoło echem brzmiało: rokosz!

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

WZELA
JIK
ROMANOW
308

